

# Kaliber 6,35

Tadeusz Kostecki



calibre 0.9.27

**Tadeusz KostECKI (W.T. Christine)**

## **Kaliber 6,35**



### **I. NA POLOWANIE.**

Sir Percy Gordon, nie zwracając uwagi na zgromadzone w obszernym salonie Worceya towarzystwo, rozsiadł się wygodnie w miękkim fotelu klubowym, przysunawszy go bliżej kominka, i niechętnie powrócił do rozmyślań o czekającym go polowaniu. Za oknami wirowały pojedyncze płatki śniegu. Na razie nie wyglądało to groźnie, ale zbadany poprzednio przez Gordona barometr zapowiadał z całą pewnością pogodę, która do polowania bynajmniej nie zachęcała. Kontrast pomiędzy przytulnym salonem z wazą ponczu stojącą na stoliku, a perspektywą wystawiania Bóg wie jak długo w śnieżnej zadymce był zbyt rażący. Nie łagodziła go też bynajmniej nadzieja upolowania jakiegoś mizernego zająca, nie stanowiąca w tych warunkach specjalnie ponętnej atrakcji. Pomysł tego całego polowania wydał się nagle Gordonowi całkowicie chybiony, jak zresztą wszystkie niemal pomysły gospodarza. Gdyby Worcey nie był starym przyjacielem i gdyby nie pewne wspólne interesy, które szczególnie ostatnio dyktowały konieczność podsycania tej przyjaźni, Gordon nie namyślałby się w ogóle nad wyborem decyzji.

Znowu zerknął w kierunku okna. Śnieg sypał coraz gęstszy, opadające płatki zaczynały się kłębić pod podmuchami wiatru. Nie, nie da zrobić z siebie wariata. Wykręci się nagłym atakiem podagry. Zresztą od czasu do czasu rzeczywiście łamało go coś w stawach.

Cienki dźwięk dzwonek zwrócił uwagę zebranych w salonie gości. Nadjeżdżał szereg sań, który zatrzymał się przed domem.

Sir Gordon ściągnął twarz grymasem powstrzymywanego bólu. Odpowiednio sformułowane zdania czekały na pojawienie się Worceya, który manewrując niezdarnie pomiędzy grupą zbierających się do wyjazdu gości, zbliżał się do przyjaciela. Stał przy stoliku Gordona, spojrzał troskliwie na jego zmienioną bólem twarz i zapytał z niepokojem:

- Źle się czujesz?

- Hm... widzisz... ja... - zaczął Gordon. Worcey jednak nie dał się zbyć tak łatwo. Nie dając mu skończyć, zaczął mówić pospiesznie i z wyraźną troską w głosie:

- Bo jeżeli jesteś niedysponowany, musisz zostać w domu. Doniesiono mi właśnie, że w tej okolicy włóczy się kilka wściekłych wilków. Sprawa jest zbyt ryzykowna...

Cały misternie zbudowany plan Gordona runął nagle w gruzy. Troskliwość gospodarza miała jak zwykle posmak niedźwiedziej przysługi. Taki powód jak podagra to jeszcze ujdzie w najlepszym towarzystwie, ale narażenie się na opinię tchórza komponującego na poczekaniu ze strachu przed wilkami bajeczki o chorobie, było zbyt kompromitujące. Powstał ociężale z fotela. Nie było innego wyjścia.

- Głupstwo mruknął - już przeszło... Worcey złapał sir Gordona za rękaw.

- Naprawdę, posłuchaj mnie i zostań. Źle wyglądasz... Nie jesteśmy już tacy młodzi, a wściekły wilk to nie zabawka...

Jego tubalny szept dobiegał bez wątpienia do najdalszych zakątków rozległego salonu. Sir Gordon machnął ręką, przecinając dalsze słowa.

- Daj spokój. Jadę...

- No... jeżeli naprawdę tak się dobrze czujesz - Worcey wciąż nie puszczał rękawa Gordona - wiesz, za sąsiadów wyznaczyłem ci sir Brambleya i Woodsona. Dobrze, co?

Minę miał przy tych słowach, jakby był dumny z własnego pomysłu i oczekiwał uznania.

To, że twarz sir Gordona pozostała niewzruszona, zawdzięczać należy jedynie jego niezwykłemu opanowaniu. Bo nie było chyba w całym Zjednoczonym Królestwie drugiego człowieka, którego by nienawidził z równą siłą jak właśnie Woodsona. Dla nikogo nie było to zresztą tajemnicą.

Ale od Worceya nie należało wymagać zbyt wiele. Posunięcia przypominające ruchy słonia w składzie porcelany stanowiły jego cechę charakterystyczną.

- Doskonale - zaaprobował sir Gordon tonem najbardziej niefrasobliwym - przy waszej skłonności ostrzeliwania wszystkich czterech stron świata nie zaszkodzi mieć w pobliżu słynnego lekarza.

Miał na myśli radcę królewskiego Brambleya, bo Woodson nie był lekarzem.

## II. DWAJ PREZESI POKREWNYCH TRUSTÓW

W sankach było ciasno. Sir Gordon wetknął marznący nos w wysoko podniesiony kołnierz futra. Na szczęście nie potrzebował wysilać się na rozmowę. Woodson był wyjątkowym gadułą. Przez całą drogę usta mu się nie zamykały ani na chwilę. Z wyrazu twarzy sir Brambleya widać było, że z trudem tłumi ziewanie. Zachowanie się sir Gordona niczym nie zdradzało znudzenia. Chociaż mało było ludzi, którzy potrafiliby przeniknąć jego myśli, nie miał jednak pewności, czy właśnie Woodson nie należy do tych nielicznych. Dlatego też raz po raz przesłaniał oczy powiekami. Gęsto lecące

śnieżne płaty stanowiły do tego doskonały pretekst. A mózg pracował tymczasem, ze sprawnością maszyny, segregując fakty. Nadchodził okres, w którym każdy najdrobniejszy szczegół mógł mieć decydujące znaczenie.

Woodson. Korzenie całej sprawy tkwiły w dawnych już czasach. Obydwaj byli młodzi. Obydwaj starali się o rękę Lucy. Wybrała sir Gordona, który zresztą nie posiadał wówczas jeszcze tytułu. Woodson odszedł. Wydawało się, że przebolewał i zapomniał. Było jednak inaczej. Czekał w ukryciu na odpowiednią sposobność. Przy którejś z ostrzejszych gier giełdowych wypłynął niespodziewanie po przeciwnej stronie, usiłując niedwuznacznie odegrać w stosunku do Gordona rolę hieny. Nie udało mu się wtedy. Był jeszcze za słaby i przecenił swe siły. Odszedł raz jeszcze. Odszedł, ale nie zrezygnował, walka podjazdowa trwała. Od pewnego czasu stanął na pewniejszych nogach. Nauczył się występować w odpowiednim momencie. Kilka transakcji Stalowego Trustu rozchwiało się w ostatniej chwili. Sir Gordon miał dobry wywiad. Wszystkie nici prowadziły do jednego: Trust Niklu. Trust Niklu to właśnie Woodson.

Sanki mknęły wśród tumanów białych strzępków.

Woodson kończył którąś z rzędu anegdotę. Sir Brambley miał minę, jakby go bolały wszystkie zęby.

- Kochany sir Percy zdaje się zasnął - zawołał nagle Woodson, uderzając ośnieżoną rękawicą po kolanie sąsiada - a może rozmyśla o Tampico?

Twarz sir Gordona pozostała nieruchoma. Oczy nie straciły ani trochę z podobieństwa do niebieskich brył lodu, chociaż sprawa z kopalnią w Tampico należała właśnie do celnych strzałów przeciwnika. Trafienie to kosztowało go ciężki grosz i komplikowało wiele innych spraw.

- Cóż - głos Gordona rozległ się zza futrzanego kołnierza bez żadnej intonacji - w życiu zdarza się rozmaicie. Ale pewne przysłowie wcale nie jest takie głupie, jakby się to komuś zdawało.

Woodson rzucił nań spojrzenie z ukosa.

- Jakie przysłowie?

Sir Gordon niedbałym ruchem strzepnął śnieg narosły na kołnierzu.

- *Rira bien qui rira la dernier*. Woodson zaśmiał się zgrzytliwie.

- Święte słowa - zatarł rękawice z ukontentowaniem - I wierz mi, kochany Percy, że ten ostatni śmiech będzie należał do wyjątkowo przyjemnych. Nie dla wszystkich niestety - pokiwał głową z udanym ubolewaniem i zaczął mówić o czym innym. Ale w uszach sir Gordona wciąż dźwięczało echo jego śmiechu. Ten śmiech potwierdzał raporty o pewnych zamierzonych przez przeciwnika posunięciach.

Woodson opowiadał rozwlekłe jakąś starą jak świat anegdotę. Sir Brambley tarł ośnieżoną rękawicą zmarznięty czubek nosa, wyraźnie już nie słuchając.

Na horyzoncie zarysowała się ciemna linia odległego lasu. Mózg sir Gordona pracował bez przerwy. Sytuacja gmatwała się coraz bardziej, wymagała czujności i decyzji.

### III. W ZADYMCE

Białe płatki śniegu wirowały coraz gęściej w podmuchach potężniejszego wiatru, stwarzając ruchliwą, coraz mniej przezroczystą, wilgotną zasłonę. Zimno zaczęło się wciskać pod futra, wywołując krótkie urywane dreszcze.

Sir Gordon zacisnął w gniewnym grymasie siniejące wargi.

Do diabła z polowaniem w taką pogodę! - myślał - Kochany, stary Worcey... Świat stanowczo niewiele by stracił bez niego.

Najmniejsze oznaki nie zdradzały zbliżania się nagonki. Kto wie, jak długo trzeba będzie jeszcze sterczeć w śnieżnej zadymce.

Brr... zimno.

Z tęsknotą pomyślał o zacisznym salonie. Dezercja ze stanowiska na polowaniu była jednak nie do pomyslenia. Z rezygnacją zaciskał szczelniej futrzany kołnierz.

Minuty wydłużały się w nieskończoność. Rzucił ponure spojrzenie w kierunku szarzejącego w oddali krzaka.

Stanowisko Woodsona.

Ostatni śmiech będzie przyjemny, ale nie dla wszystkich - przeżuwał w myśli. - Tak. Jeżeli Woodson doprowadzi do skutku swój zamiar, dla sir Gordona nie będzie okazji do śmiechu. A na to tym razem wygląda, że Woodson zdoła wreszcie osiągnąć upragniony cel.

A gdyby tak... Nie - wzruszył ramionami - kombinacja nie miała żadnych szans. Trzeba wymyślić coś innego. I to zaraz. Natychmiast. Woodson nie będzie zwlekał, bo w żadnym wypadku nie odsłoniłby przyłbicy, jak to uczynił przed kilkunastu minutami w sankach. Musiał już mieć w ręku wszystkie atuty.

A gdyby jednak? - medytował chwilę - Cóż! Właściwie nie czas na skrupuły. Trzeba z tym skończyć za wszelką cenę.

Twarz sir Gordona krzepła powoli w zaciętej determinacji.

- Albo ja, albo on - mruknął półgłosem. W tej sytuacji, jaka się kształtowała, trzeciego rozwiązania nie było. Odwrócił się powoli.

Zmarznięte palce zaczęły się mocować z oporną rękawicą. Szczęki zwarły się w twardą linię. Trudno!



Śnieżna burza przechodziła w białe szaleństwo.

#### IV. ZABIŁEM WŚCIEKŁEGO WILKA

Leśniczy wysunął się niespodzianie z zarośli. Minę miał strapioną. Polowanie zdecydowanie się nie udało. Parę nędznych zajęcy i...

- O - nagle przystanął w pół kroku, zdumiony wzrok utkwił w rewolwerze trzymany w rękę przez sir Gordona. Obok leżał porzucony sztucer.

- Jakiś wypadek, sir? - zapytał troskliwie.

Sir Gordon robił wrażenie zaskoczonego. Był wyraźnie zmieszany i speszony. Rewolwer na polowaniu? Szok. Chyba nie mniejszy niż ma przykład ostrzelanie lisa z karabinu maszynowego.

Gwałtownym ruchem wsunął pistolet do kieszeni futra.

- Atakował mnie wściekły wilk... A że sztucer się zaciął...

Twarz leśniczego pozostała nieruchoma. Wprawdzie nikt z nagonki nie meldował o żadnym wilku, ale...

Zerknął ukradkiem na płaszczyznę śnieżnego puchu wokół stanowiska sir Gordona. Żadnych śladów. Nie wyciągał jednak wniosków. Co go to wszystko razem mogło obchodzić? Wielcy panowie miewają niekiedy bardzo dziwaczne fantazje.

W tej samej chwili zatrzeszczały łamane gałęzie. Worcey sapał jak lokomotywa, patrząc z wyrzutem na krzaki, które mu nie chciały ustępować z drogi.

- I jak poszło, Percy?

Rybie oczy natknęły się na tonący w śniegu sztucer. Na twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia. Broń w śniegu?

- Co... - zająknął się - ach tak. Pewno dotknięcie zimnej stali oparzyło ci skórę na rękę? Na takim mrozie nie należy ściągać niepotrzebnie rękawic.

Sir Gordon wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Nic podobnego - zaprotestował ze źle ukrywaną irytacją. - Po prostu sztucer się zaciął.

Worcey nachmurzył się.

- Ooo... bardzo mi przykro. - Spojrzał z wyrzutem na leśniczego. - Słyszysz pan? Sztucer sir Gordona się zaciął. Jak pan sprawdzał broń przed polowaniem?

- Sprawdziałem osobiście każdą sztukę i... nie wiem, co się mogło stać...

- To bardzo nieprzyjemna historia - martwił się głośno Worcey. - Musimy sprawdzić, co się stało... nachylił z trudem swoją pękatą sylwetkę nad porzuconą bronią - a do czego chciałeś strzelać? - rzucił przez ramię, nie odwracając głowy.

- Ooo... - sir Gordon nagle zakrztusił się gwałtownym kaszlem. Gdy odzyskał wreszcie zdolność mowy, zaczął wyjaśniać, że do wilka - ...wściekły wilk szedł prosto na mnie. Ponieważ sztucer okazał się nie do użytku... - zawahał się króciutką chwilę - musiałem sięgnąć po rewolwer. No i zastrzeliłem go. - Roześmiał się, śmiech jednak brzmiał zupełnie sztucznie. - Trochę to nieprzepisowy sposób, ale w obronie życia...

Worcey podniósł się, trzymając ośnieżoną strzelbę w rękach.

- Zastrzeliłeś? - powtórzył. - A gdzie się podział?

- W każdym razie musiałem go postrzelić. Pudło wykluczone. Po strzale się zwinął. Pewno gdzieś tam leży. - Wskazał niedbałym ruchem na czerniejącą opodal ścianę gęstych zarośli.

Był coraz bardziej zirytowany. Polowanie z rewolwerem! Będą mieli temat do anegdotek we wszystkich klubach Zjednoczonego Królestwa.

Ostro skrzypiał pod podeszwami zmarznięty śnieg. Myśliwi zwołani sygnałem rogu oznajmiającego koniec polowania ściągali ze swoich stanowisk. Ten i ów zatrzymywał się przy gospodarzu.

Drobnymi kroczkami przymaszerował sir Brambley.

Worcey, nie bacząc na mróz, ściągnął rękawice i manipulował przy zamku podniesionego sztucera. Leśniczy czekał z napięciem na wynik badania.

- To dziwne - odezwał się wreszcie Worcey - mechanizm działa bez zarzutu.

Sir Brambley zapytał ze zdumieniem:

- A dlaczego miałby nie działać? Worcey pokiwał niezdecydowanie głową.

- Właśnie Percy mówi, że sztucer się zaciął. Do tego w potrzebie. Więc... - Umilkł. Dalsze słowa przerwał podniecony okrzyk dobiegający od pobliskiego krzaku.

- Mister Woodson, co panu?

Przy krzaku zapanowało poruszenie. Sir Brambley wyjął wargi:

- Jakaś nowa historia. Zwierzyny nie ma, za to jeżeli chodzi o sensacje...

- Halo! Na pomoc! Lekarza!

Okrzyk ten poderwał nieruchomą grupkę z miejsca.

Ruszyli pośpiesznie w kierunku krzaków, gdzie już czerniało kilka postaci pochylonych nad czymś niewidocznym.

- Lekarza!!!

Sir Brambley dreptał nerwowymi kroczkami posapując. Sir Gordon włókł się na samym końcu. Mocno ściągnięte brwi wskazywały na głęboką zadumę.

## V. MORDERSTWO

Sir Brambley podniósł się powoli z klęczek, otrzepując śnieg ze spodni i futra.

- Niestety - wycierał starannie ręce w podaną przez kogoś chustkę - tu już żadna ludzka pomoc nie jest potrzebna.

Panujący w stłoczonej grupie myśliwych gwar podniecenia ucichł. Zapadła ponura cisza.

- Wypadek z bronią? - zapytał czyjś nieśmiały szept.

Radca królewski zaprzeczył ruchem głowy.

- Niestety, muszę panom zakomunikować, że... - zawahał się, przy czym wzrok jego utkwiał w nieregularnych konturach rdzawej plamy na śniegu u boku nieruchomej postaci Woodsona - że - podjął po chwili - wykluczone jest, by kula mogła paść z broni zabitego. Strzał nastąpił z odległości nie dopuszczającej tego rodzaju przypuszczeń.

- Zabójstwo?! - spytało naraz kilka wzburzonych głosów.

Sir Brambley z uwagą wciągał rękawice na poczerwieniałe od mrozu ręce.

- Pewne okoliczności świadczą, że raczej tak - odpowiedział, odmierzając każde słowo.

- Przepraszam - niepozorny jegomość, przypominający kościanego dziadka, przecisnął się przez stłoczoną gęsto grupę myśliwych. Był to sędzia Thompson, równie zabawny w wyglądzie, co surowy w ferowaniu wyroków.

- Przepraszam - powtórzył, podchodząc do Brambleya - więc sądzi pan, że to jednak zabójstwo?

Radca królewski wsunął ręce głęboko w kieszenie.

- Tak - potwierdził - wszystko na to wskazuje. Oczywiście, jest to moja całkiem prywatna opinia.

Sędzia Thompson wyprostował niepozorną figurkę.



- W każdym razie uważam, panowie, że naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, co w naszej mocy, by ułatwić zadanie władz w wykryciu... hm... zabójcy - nosowy, z początku nieco drżący głos krzepł niemal z każdym słowem, stawał się opanowany i twardy.

Do stojących bezpośrednio przy zwłokach przyłączył się Worcey. Uznał widocznie, że powaga chwili wymaga, by jako gospodarz zabrał głos.

- Panowie! - sapnął - to, co powiedział przed chwilą sędzia Thompson, jest chyba samo przez się zrozumiałe. Skoro na jednym spośród nas zostało popełnione morderstwo...

Sędzia podniósł ostrzegawczo rękę:

- Nie nazwałem tego morderstwem - zastrzegł się.

- Jak to? - spojrzał na niego zaskoczony Worcey - przecież...

- Mówiliśmy tylko o zabójstwie. Brak podstaw, by zakwalifikować to jako wypadek.

Worcey strzepnął rękawicą:

- Przepraszam. Nie znam się na subtelnościach prawniczych. Dość, że jeden z nas został zastrzelony. Jest rzeczą oczywistą, że sir Thompson, jako sędzia, najlepiej wie, co należy w takich wypadkach czynić, by wszystko było w porządku. Proszę nami dysponować. Co mamy robić?

- Dziękuję panom - sędzia Thompson w zamyśleniu przesunął wierzchem rękawicy po gładko ogolonym podbródku - otóż przede wszystkim uważam za konieczne, byśmy wszyscy bez wyjątku pozostali na miejscu do czasu przybycia przedstawiciela miejscowej policji. Poza tym dobrze by było, by nikt nie rozstawał się z bronią, którą miał w czasie polowania.

- Słusznie - Worcey pośpiesznie wyciągnął trzymany dotychczas sztucer w kierunku Gordona - bierz!

Zatopiony w głębokiej zadumie Gordon nie reagował.

- Bierz - wtykał mu niemal do rąk karabinek.

Gordon drgnął.

- Co? - zamrugnął oczyma, patrząc bezmyślnie na podany sztucer - o co chodzi?

Nagła śmierć Woodsona wymagała natychmiastowego rozplanowania pewnych posunięć na najbliższy okres czasu. Najmniejsze niedociągnięcie mogło grozić katastrofą.

- Masz wziąć swoją broń - wyjaśnił Worcey. W głosie jego brzmiało ukrywane zniecierpliwienie.

- Po co? Przecież polowanie skończone. Nie mam teraz co robić z tą przeklętą flintą.

- Nic, musisz ją tylko trzymać aż do przybycia policji. Sędzia Thompson zarządził.

Gordon wziął z ociąganiem winchester.

- Przecież nie strzelałem z niego ani razu - mruknął niezdecydowanie.

Worcey nachylił się, przytykając niemal usta do ucha sir Gordona.

- Tym lepiej, - szepnął - tym lepiej... dla ciebie. Bo przecież ktoś musiał jednak wystrzelić, skoro Woodsona trafiła kula. A tyś stał najbliżej jego stanowiska, więc...

Na twarzy sir Gordona nie drgnął żaden muskuł. Mogłoby się wydawać, że nie rozumiał znaczenia szeptanych mu słów.

Ręka z karabinkiem opadła niedbale. Znowu pogrążył się w zadumie.

Worcey miał rację. Ktoś musiał wystrzelić kulę, która pozbawiła życia Woodsona. I człowiek, któremu najbardziej mogło zależeć na śmierci zastrzelonego, znajdował się w chwili morderstwa najbliżej ofiary. Człowiekiem tym był właśnie sir Gordon. Ale Worcey nie wiedział jeszcze wszystkiego.

Nie znał pewnej okoliczności, która zawisała nad głową sir Gordona jak miecz Damoklesa. Tylko jakiś cud mógł rozstrzygnąć rzecz na korzyść Gordona. Ale sir Gordon nie wierzył w cuda. I dlatego właśnie wyraz jego twarzy stawał się z każdą chwilą coraz bardziej beztroski.

Worcey obserwował go przez chwilę, jakby oczekując na coś, co powinno nastąpić, a jednak nie następowało.

Wreszcie zrezygnował.

Odwróciwszy się, podszedł ciężko powolnymi krokami ku sędziemu.

- Milordzie - głos jego zabrzmiał twardo - chciałem panu zakomunikować, że...

Sędzia spojrzał na niego uważnie. W stłoczonej grupie myśliwych zapanowało nagłe poruszenie. Użycie przez Worceya urzędowego tytułu Thompsona zapowiadało coś niezwykłego.

Kilkanaście par oczu skupiło się w oczekiwaniu na wargach gospodarza. Błyskawiczne spojrzenie Worceya przemknęło po twarzy Gordona. Tylko te jedne rysy pozostały obojętne. Milczenie zaczęło się przeciągać.

Worcey wciągnął ze świstem powietrze.

- Słucham - sędzia zmarszczył krzaczaste brwi. - Co mi pan chciał powiedzieć?

Nikt nie mógłby twierdzić, że sir Gordon słyszy choćby jedno słowo z odbywającej się w odległości niespełna dwóch jardów rozmowy. A przecież wszystkie jego zmysły zestrzeliły się w

słuch. Czyżby miał nadejść już ten ostateczny moment?

- Milordzie - powtórzył Worcey - głos jego jednak brzmiał teraz już zupełnie inaczej - chciałem panu zakomunikować, że jest piekielnie zimno. Czy uważa pan, że zaszkodziłoby to śledztwu, gdybyśmy w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków łyknęli dla poratowania zdrowia po parę kropeł czegoś rozgrzewającego?

Sędzia Thompson zamrugał powiekami. Widać było, że jest zupełnie zaskoczony.

- Rozgrzewającego? - powtórzył z nie ukrywanym zdumieniem.

- No, tak - potwierdził z najnaturalniejszym uśmiechem Worcey - przygotowaliśmy w termosach pewną ilość gorącego krupniku, więc...

Sędzia wreszcie zrozumiał. Przełknął ślinę. Zimno rzeczywiście przenikało do szpiku kości. Dopiero teraz na skutek kuszącej propozycji zdał sobie sprawę, jak bardzo przemarzł.

- Ale nic podobnego - zaprzeczył pośpiesznie - nie zaszkodzi w najmniejszym stopniu.

Na rozkaz Worceya służba zaczęła wyciągać z wysciewanych wojsłokiem pudeł, pękate termosy.

Wśród myśliwych zapanowało nagłe odprężenie.

Wystąpienie Worceya w takiej chwili miało oczywiście pewien posmak dziwactwa. Ale Worcey był tylko Worceyem.

Sir Gordon przyjął z pobłażliwym uśmiechem kubek parującego alkoholu. Nikt nie słyszał westchnienia ulgi, które stłumił całym wysiłkiem woli.

Decydujący moment jeszcze nie nadszedł.

A kto był w stanie przewidzieć, jaki niespodziewany ratunek mogły przynieść nadciągające chwile?

Mózg pracował bez przerwy. Przybył jeszcze jeden temat do przemyślenia.

Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim niedźwiedziowaty Worcey?

I na czym polegała jego gra?

## **VI. KULA MAŁEGO KALIBRU**

Sierzant White początkowo wykazywał nadzwyczajną ruchliwość. Automatyczny ołówek śmigał w jego palcach. Nieco nadęta minia świadczyła o przejęciu się rolą. Jak myśliwski ogar uganiał się wokół miejsca, gdzie leżał zastrzelony. Chciał wszystko wiedzieć. Nie ma błałych szczegółów. Każdy może się okazać ważny dla śledztwa.

Zabójstwo stanowiło nie byle jaką gratkę. Niespotykana okazja w tym zapadłym kącie, gdzie ludzie są zbyt tępi, by popełniać przyzwoite przestępstwa, mogące dać policjantowi sposobność do odznaczenia się i awansu.

Zwrotny moment nastąpił dopiero przy spisaniu personaliów obecnych.

Bagatela! Jeden w drugiego same figury! Radca królewski? Sędzia Thompson? Słyszał już coś nie coś o tym zrzędzie. Ołówek pracował coraz wolniej. Opięta w podniszczony mundur korpulentna sylwetka sierżanta sztywniała z każdą chwilą. Osoba zamordowanego zwiększała jeszcze doniosłość wypadku. Prezes Niklowego Trustu!

W końcu osowiał do reszty. Poczul się wyraźnie nieswojo.

Jak pech, to pech!

Ani mowy, by śledztwo pozostało w rękach prowincjonalnej policji. Scotland Yard nadjedzie naturalnie z całą paradą i wszystko, co się zrobiło przed nimi, zostanie wykpięte bez reszty. Dżentelmeni ze stolicy nie lubią dzielić się sukcesami. Dla sierżanta nie zapowiadało się z tej całej sprawy nic ciekawego. Raczej wręcz przeciwnie. Jeden nieostrożny krok i gotowa awantura. Wielcy panowie mają nader delikatną skórę.

Relacji sir Brambleya wysłuchał niemal w postawie służbowej. Wiedział oczywiście, kim jest ten starszy jegomość o stalowych oczach. Wystarczyło nazwisko. W szkole policyjnej nieraz powoływano się na opinię radcy królewskiego w bardziej skomplikowanych wypadkach morderstw, stanowiących tematy wykładów.

Nosowy, chłodny głos referował rzeczowo wynik oględzin zwłok.

- Śmierć nastąpiła prawdopodobnie wskutek rozerwania lewej komory serca. Strzał oddano z odległości kilku, do kilkunastu jardów. Otwór wlotowy pocisku po lewej stronie klatki piersiowej. Pocisk po przebiciu serca utkwiał w mięśniach lub w kręgosłupie...

Wzrok sierżanta przesunął się po licznej grupie myśliwych. Każdy z nich trzymał w rękach sztucer. Na oko wyglądało, że większość karabinków jest tego samego kalibru. Strzelano, na pewno nie żałując amunicji, jak zawsze na tego rodzaju polowaniach dla przyjemności. Zrobiło mu się jeszcze bardziej nieswojo. Jak tu z tej przeklętej gromady łuf wyłowić właśnie tę jedną, której właściciel trafił nie tam, gdzie celował? W rezultacie może przyjazd panów ze Scotland Yardu nie będzie takim nieszczęściem, jak to początkowo wyglądało?... W każdym razie kłopot spadnie na ich głowy. Tymczasem nie mógł czekać z założonymi rękami. Należało doraźnie sprecyzować pewne okoliczności. Zamyślił się, rozważając w duchu każde słowo sir Brambleya.

- Pocisk pochodzi oczywiście ze sztucera? Radca królewski wyraźnie się zawahał.

- Hm - odchrząknął - nie mogę odpowiedzieć na to pytanie do czasu wydobycia kuli.

White nadstawił uszu. Pytanie rzucił raczej dla formalności. Uderzył go dziwny ton słów lekarza, który patrząc na niego, zdawał się czegoś oczekiwać.

- W takim razie... - przestąpił z nogi na nogę, - czy nie byłoby możliwe wydobyć kuli tutaj na miejscu?

Zerknął niepewnie na sędziego Thompsona. Wyraz jego twarzy wydawał mu się raczej aprobujący.

Sir Brambley również nie okazał żadnego zdziwienia.

- Owszem - powiedział krótko. - Z pewnych względów uważam to nawet za konieczne. - Przyklął znowu na śniegu. W palcach jego zamigotała stal.

Worcey wycofał się pośpiesznie.

- Nie mogę patrzeć na tego rodzaju historie - wyjaśnił, odwracając się plecami. Jednym łykiem wypił kubek alkoholu. Sir Gordon pozostał na miejscu. Nie przyglądał się specjalnie manipulacjom lekarza, ale też nie odwracał wzroku. Po prostu nie widział. Miał w tej chwili daleko ważniejsze sprawy na głowie, niż obserwowanie zaimprovizowanej sekcji. Zresztą widok krwi nie działał na niego w najmniejszym stopniu.

Powierzchnia lancetu traciła niepokalany połysk, pokrywając się coraz liczniejszymi plamami.

Wokół panowała niesamowita cisza. Zdawało się, że obecni wstrzymują oddech, by nie przeszkadzać.

Wydobywanie kuli przeciągnęło się w nieskończoność.

Wreszcie sir Brambley powstał z klęczek. Dźwięk nosowego głosu powitała powszechna ulga. Skończyło się.

- Tak jak przypuszczałem kula utkwiała w okolicach kręgosłupa. - Na wyciągniętej ku sierżantowi dłoni przebłyskiwał spod rdzawego nalotu kawałek metalu.

White wytrzeszczył oczy.

- Ale - bąknął wyraźnie zaskoczony - to przecież wcale nie wygląda na pocisk ze sztucera?

- Nie - potwierdził chłodno sir Brambley - jest to opancerzona kula kalibru 6,35, pochodząca z automatycznego pistoletu.

Sierżant wciągnął powietrze ze świstem. Pokręcił głową. Dotychczasowa teoria co do przyczyny śmierci upadła. Gąszcz sztucerowych luf przestał istnieć. Wizja nieudolnego strzelca, który przez nieostrożność spowodował śmiertelny wypadek rozwiewała się bezpowrotnie.

- Dlatego też uważałem za konieczne wydobyć kulę bez zwłoki - dorzucił radca królewski. - Otwór wlotowy pocisku od razu nasuwał podejrzenie małego kalibru.

Wśród obecnych zapanowało widoczne poruszenie. Kula rewolwerowa, a więc nie może być mowy o nieszczęśliwym wypadku. Morderstwo!

Sir Gordon tym razem nie potrafił zapanować nad odruchem. Na dźwięk słów lekarza po twarzy jego przebiegł skurcz. I chociaż trwało to zaledwie tak krótko jak mgnienie oka, byli tacy, co grymas ten zauważyli i zanotowali w pamięci.

## VII. REWOLWER KALIBRU 6,35

White znowu nabrał energii. Smętne refleksje znikły bez śladu.

- Przepraszam - w palcach White'a zaczerniał kształt automatycznego ołówka - czy któryś z panów posiada rewolwer?

Odpowiedziało powszechne milczenie. Rewolwer na polowaniu? Nonsens!

Worcey ściągnął brwi, rzucając przeciągłe spojrzenie na leśniczego. Ten wyprostował się odruchowo. Nerwowym ruchem obciągnął szamerowaną kurtkę. Trudno. Zanim jednak zdołał postąpić krok ku sierżantowi, podszedł sir Gordon.

- Ja mam pistolet - sięgnął do kieszeni. Wzrok policjanta nabrał wyrazu czujności.

- O! - spojrzał na podawaną broń - kaliber 6,35?

W głosie nie było żadnego specjalnego akcentu, jednak spojrzenie baczących oczu utkwilo w twarzy Gordona.

Sir Gordon wzruszył niedbale ramionami.

- Nie sądzę, by w tej okolicy był to jedyny okaz.

- Oczywiście - potwierdził pośpiesznie White - tego rodzaju pistolety nie stanowią bynajmniej rzadkości.

Zdawał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Prezes Stalowego Trustu to nie pierwszy lepszy, którego można z miejsca złapać za kołnierz. Człowiek o piekielnie długich rękach. Najdrobniejsze choćby fałszywe posunięcie i wyleci się z posady jak z procy.

Chustka do nosa wyciągnięta z kieszeni munduru nie odznaczała się specjalną czystością. White jednak zbyt dobrze pamiętał instrukcje, by zwracać uwagę na takie drobiazgi. Jest jaka jest, w każdym razie wystarczy by zabezpieczyć ewentualne odciski palców. Nie zapomniał ani na chwilę o obecności sędziego Thompsona. Ten w razie czego potrafiłby przypiąć człowiekowi odpowiednią łatkę.

Ostrożnie ujął pistolet przez chustkę, podnosząc wylot lufy do nosa.



- Strzelano z niego niedawno?

Maska twarzy sir Gordona pozostała nieruchoma.

- Tak - potwierdził.

Głos jego brzmiał najzupełniej obojętnie.

- A... jeżeli wolno zapytać, kiedy? - ołówek White'a zaczął pracować z pośpiechem.

Sir Gordon wsunął obie ręce w kieszenie futra.

- Może przed niespełną godziną. - Tu, na polowaniu?

- Tak.

Wśród słuchaczy zapanowało poruszenie. Słowa sir Gordona stanowiły niewątpliwą rewelację. Sprawa zaczynała się rozwijać z błyskawiczną szybkością. Nikt wprawdzie jeszcze nie odważyłby się na głośne wypowiedzenie tego, co się nasuwało na myśl, ale... Nienawiść panująca pomiędzy sir Gordonem a zabitym nie stanowiła specjalnej tajemnicy. Poza tym ostatnio rozmaicie przebąkiwano o zamierzeniach Woodsona względem Stalowego Trustu.

- Strzelałem do wściekłego wilka - dorzucił po chwili milczenia sir Gordon. Brwi White'a uniosły się ku górze.

- Z rewolweru?

- Sztucer się zaciął, więc nie miałem innego wyjścia. Owinięty troskliwie w chustkę pistolet zniknął w kieszeni munduru.

- Ach tak. Czy to właśnie ten sztucer? - wyciągnął rękę.

Sir Gordon wręczył mu bez słowa broń. White zsunął rękawicę, badając pedantycznie zamek winchestera.

- Jednak - spojrzął po chwili z ukosa - mechanizm jest w zupełnym porządku.

Sir Gordon znowu wzruszył ramionami.

- Może niewypał, czy coś w tym rodzaju...

Palce sierżanta wyłuskały nabój z karabinka. Spłonka lśniła niepokalaną powierzchnią.

- W takim razie pozostałby ślad uderzenia iglicy - potwierdziła sucho.

Sir Gordon przygryzł niecierpliwie wargi:

- Przecież mówiłem panu, że nie wiem, jaka była przyczyna. W każdym razie pociągnąłem za

cyngiel, wystrzał zaś nie nastąpił. Ponieważ zdarzyło się to, w momencie, gdy wilk szedł już bezpośrednio na mnie, nie miałem czasu na szukanie defektu. Wolałem sięgnąć po pistolet.

Ołówek White'a zawisł w powietrzu.

- Z tego wynika, że strzelał pan do wilka z bardzo bliskiej odległości?

- Tak. Może najwyżej z dwóch, trzech kroków.

- I nie trafił pan?

- Trafiłem z całą pewnością - zachnął się Gordon - Słyszałem, jak zaskowyczał. Leży na pewno gdzieś w zaroślach - wskazał ruchem ręki na czerniejący w pobliżu gąszcz.

Sierżant wezwał dwóch stojących w pobliżu konstabli.

- Przeszukać krzaki! - rozkazał - powinniście gdzieś w pobliżu znaleźć zastrzelonego wilka. Bo chyba nie mógł ujść daleko? - spojrzał pytająco na Gordona.

- Na pewno nie uszedł.

Trzask łamanych gałęzi oznajmił, że rozpoczęto poszukiwania. Worcey podszedł powoli do sierżanta.

- Chciałem panu zakomunikować, że w tym lesie rzeczywiście włóczy się kilka wściekłych wilków - oświadczył głośno - leśniczy kilkakrotnie meldował mi o tym. Nawet przed wyjazdem na polowanie ostrzegłem gości.

- Ostrzegł pan gości? - powtórzył z dziwną intonacją White. - A czy w czasie dzisiejszego polowania zauważono wilka?

Worcey pokręcił niezdecydowanie głową.

- Nie... dzisiaj nie. Ale mogło się łatwo zdarzyć, że pojedyncza sztuka uszła uwadze nagonki i myśliwych...

- Różne dziwne rzeczy zdarzają się na świecie - wycedził przez zęby White.

Czas oczekiwania na wynik poszukiwań upływał wolno, w napięciu. Trzask gałęzi oddalał się coraz bardziej.

Sir Gordon wolnym ruchem wyciągnął skórzany portcygar. Powoli odcinał koniec brunatnej hawany. Gdy podnosił płomień zapalniczki, spojrzał uważnie na własną rękę. Nie drżała ani trochę.

Wreszcie z gęstwiny wysunęły się ośnieżone postacie konstabli. Spojrzenia wszystkich skierowały się na nich. Wracali z niczym.

- Nie znaleźliście więc tego wilka? - zapytał White.

- Ani śladu.

Sir Gordon poczuł nagle wokół siebie pustkę.

Najbliżej stojący odsuwali się z niedwuznacznym pośpiechem. Serce ścisnął lodowaty chłód. Pułapka zamykała się.

White wyprostował się służbowo:

- Sam pan powinien zrozumieć, sir, że w tych okolicznościach...

Sir Gordon sztywno podniósł głowę:

- Chciałbym zawiadomić swego adwokata, poza tym...

- To nie jest formalne aresztowanie, sir - zastrzegł się ostrożnie sierżant, przerywając dalsze słowa.

## **VIII. PUŁKOWNIK REGINALD PENTHAM WKRACZA NA WIDOWNIĘ**

Pułkownik Pentham po raz niewiadomo który mieszał bezmyślnie kawę. Druk gazety zamazywał mu się przed oczyma. Był ogromnie śpiący. Reprezentacyjny bal przeciągnął się daleko poza świt. Flo promieniała aż do końca. Z wyraźnym rozzaleniem patrzyła na orkiestrę grającą pożegnalnego marsza. Była niekoronowaną, królową balu, jak zawsze zresztą.

Opanowywała go coraz większa senność.

- Żeby tak jeszcze przespać się z godzinkę - pomyślał tęsknie.

Nagle drgnął wyrwany z sennego bezwładu trzaskiem gwałtownie otwieranych drzwi. Spojrzał zaniepokojony. W drzwiach stała Flo wzburzona i zdenerwowana.

- Stało się coś? - spytał szybko z troską w głosie.

- Tak - oparła ręce o krawędź stołu - ojciec... Dyszała ciężko. Dopiero teraz dostrzegł, jak była blada.

- O - podniósł się pośpiesznie z krzesła - jakiś wypadek?

Chwytała powietrze rozchylonymi ustami.

- A... aresztowany.

Podszedł ku niej, gładząc zwichrzone loki.

- Uspokój się małeńka. Jakoś na to poradzimy... Wiesz przecież, że mam jakie takie stosunki. Przekroczenie szybkości? - zapytał lekkim tonem.

W fiołkowych oczach zalsniły siłą powstrzymane łzy.

- Aresztowany pod zarzutem zabójstwa - wyszeptała przerywanym głosem.

Spoważniał.

- O... aż tak? - mruknął. - Przejechał kogoś?

- To nie to... - opadła ciężko na krzesło - nie chodzi o wypadek samochodowy. Zarzucają mu zamordowanie Woodsona.

Mimo woli gwizdnął przez zaciśnięte zęby.

- Woodsona? Ładna historia!

Wiedział doskonale o zatargach pomiędzy nimi, znacznie więcej niż inni. Ale i to, co stanowiło publiczną tajemnicę, wystarczyło, by nadać sprawie bardzo poważny charakter. Senność znikła natychmiast. Jeżeli go aresztowano, policja musiała mieć silne poszlaki. Albo nawet dowody. Prezes Stalowego Trustu nie należał do osób, które by można pozbawić wolności pod byle jakim pretekstem.

- Ttak - zabębnił palcami po stole - jak się to stało? Nie była jednak w stanie mówić. Płakała, coraz

gwałtowniej.

- Uspokój się, kochanie - przytulił ją mocno do siebie - uspokój się. Zrobimy, co tylko w ludzkiej mocy. To na pewno jakieś nieporozumienie, które się wkrótce wyjaśni. - Usiłował nadać głosowi najbardziej przekonujący ton. Sam jednak nie bardzo wierzył w to, co mówił.

Szloch powoli cichł. Jeszcze kilka chwil i pokonując nawroty płaczu, Flo zaczęła opowiadać.

Słuchał uważnie, zastanawiając się nad każdym słowem. Przez cały czas nie wypuszczał jej drżącej ręki, zachęcał ją uściskiem do mówienia, gdy przerywała.

Niewiele zresztą sama wiedziała. Zawiadomił ją sir Grenshaw, doradca prawny ojca. Stało się to na polowaniu u Worceya. Ojciec znajdował się najbliżej stanowiska Woodsona. Nie... o przypadkowym postrzale podobno nie może być mowy. Woodson został zastrzelony z rewolweru.

Pentham aż podskoczył.

- Z rewolweru? - przeciągnął zdumiony.

- Tak... I właśnie ojciec miał rewolwer. Tego samego kalibru, co pocisk wyjęty z ciała

Woodsona.

Potarł czoło.

- Cóż z tego, że miał rewolwer? Ale przecież z niego nie strzelał?

Splotła kurczowo palce obu rąk.

- Właśnie to najgorsze, że podobno strzelał do wilka. Bo sztucer mu się zaciął.

Zaklął mimo woli przez zęby. Sprawa wyglądała coraz gorzej.

- To wszystko? Pokiwała ponuro głową.

- W każdym razie wszystko, co wiem. Może sir Grenshaw potrafi ci wyjaśnić dokładniej.

Ale sir Grenshaw nie miał właściwie nic do dodania. Robił wrażenie mocno zaaferowanego. Wybierał się do Worceya do Blackshirre, nie potrafił jednak dokładnie określić terminu.

- Dziś i jutro niestety na pewno nie będę mógł - ssał bez przerwy olbrzymie cygaro - akurat wypadły mi terminy nie cierpiące zwłoki. A pojutrze, jeżeli mi się uda przełożyć konferencję... - minę miał jednak niepewną.

- W każdym razie, pułkowniku - oświadczył na pożegnanie uspokajającym tonem - proszę być dobrej myśli. Sam pan wie... sądy przysięgłych to instrument, który można przy pewnej umiejętności nastroić na pożądany ton. A w tej sprawie mamy do zademonstrowania pierwszorzędne efekty. Momenty emocjonalne i tak dalej. To bierze panów przysięgłych. Przecież wojna, jaką od kilkunastu lat prowadził Woodson przeciwko sir Gordonowi, nie stanowi dla nikogo tajemnicy. Nie - strzepnął z uwagą narosły na końcu cygara stożek popiołu - jestem niemal pewien, że nie może być mowy o najwyższym wymiarze kary. Przy sprzyjających warunkach możemy mieć nadzieję na stosunkowo łagodny wyrok.

Pentham spojrzał na niego z ukosa.

- Niechże pan zrozumie, że tu nie chodzi o łagodny wyrok, lecz o to, by w ogóle wyroku nie było - powiedział z naciskiem.

Adwokat rozłożył bezradnie ręce:

- Czy pan wierzy w cuda, pułkowniku? Bo ja - nie bardzo. A opierając się na dotychczasowych danych...

Pentham zrozumiał, że na jego pomoc w obecnym stadium sprawy nie ma co liczyć. Grenshaw robił wrażenie zapatrzonego w swoje „pierwszorzędne efekty” i na pewno w skrytości ducha przygotowywał już wspaniałe przemówienie obrończe, bynajmniej nie zmartwiony perspektywą sensacyjnego procesu. A do procesu za żadną cenę nie można dopuścić. Sprawa sądowa niezależnie od jej wyniku, oznaczała ostateczną klęskę sir Gordona, Stalowego Trustu, maleńkiej Flo i wielu

jeszcze innych ludzi, Penthama nie wyłączając.

Flo zastał spakowaną. Chciała natychmiast jechać do Blackshirre. Musiał jej to długo perswadować.

- Zrozum, maleńka, muszę tam mieć zupełną swobodę ruchów. Czasami w tego rodzaju sprawach zachodzi konieczność stosowania chwytów niezupełnie przewidzianych w drukowanych paragrafach. A gdy będę cię miał przy sobie... Zresztą do ojca i tak cię na pewno teraz nie dopuszczą...

Ustała w końcu, popłakując jak skrzywdzone dziecko.

- Trudno, skoro twierdzisz, że tak być musi...

## IX. KOLKA SIĘ ZAZĘBIAJĄ

Sir Henry Drake naczelnik Scotland Yardu zamknął ostrożnie cienką teczkę akt. Niewiele tam tego było, a jednak...

W zamyśleniu obserwował dym cygara ulatujący ku sufitowi. Nieprzyjemna sprawa. Sir Gordon i Woodson... Znał co nieco zakulisowe stosunki prezesów obu Trustów. Ale żeby Gordon miał się posunąć aż do morderstwa? I do tego dokonanego własnoręcznie? Absolutnie to do niego nie pasowało. Jakiś zręcznie zaaranżowany wypadek, spotykający wroga w momencie, gdy Gordon znajduje się o setki mil w towarzystwie gwarantującym murowane alibi, znacznie bardziej odpowiadałby metodom postępowania biznesmena. Teczka zawierała jednak aż nadto dowodów, by nie pozostawiać wątpliwości. Obfitość dowodów była niemal żenująca.

Oszalał chłop, mając nóż na gardle, czy co do diabła? - rozmyślał, otaczając się kłębam dymu. Najgorsze to sensacyjny posmak całej sprawy. Prasa nie omieszka rzucić się na ten żer. W wyobraźni już widział tytuły: „Dlaczego morderca nie został jeszcze aresztowany?”, „Kto ponosi winę za przeciąganie śledztwa?”, „Kiedy wreszcie morderca stanie przed sądem?”, „Czy nie czas przypadkiem przewietrzyć kadry naszej policji?” i tak dalej w tym samym stylu.

Sir Drake nie przejmował się oczywiście nagonką brukowców. Ale ci, co bezpośrednio prowadzili śledztwo, zazwyczaj posiadali bardziej wrażliwe nerwy.

Najprościej byłoby zamknąć dochodzenie i zebrany materiał przesłać do prokuratora. Ale sir Drake nie lubił najprostszych dróg. Poza tym kto wie, czy w tym całym Blackshirre czegoś nie naknócili. Prowincjonalna policja miewa niekiedy wprost fenomenalne zdolności pod tym względem.

Nacisnął dzwonek.

Nadinspektor Sharke zjawił się tak szybko, jakby oczekiwał pod drzwiami na wezwanie. Sir Drake wskazał na akta.

- Sprawa Gordona - mruknął. Nadinspektor spojrzał pytająco.



- Przecież prawie załatwiona?

- Powiedzmy. Uważam jednak za konieczne posłać na miejsce kogoś z naszych ludzi, by sprawdził raporty. Pełnomocnikiem Gordona jest Grenshaw. Sam pan wie, nadinspektorze, co to za typ.

Sharke pokiwał melancholijnie głową.

- Ba. Potrafi wyciągnąć każde najdrobniejsze nawet niedociągnięcie. A potem w toku procesu porozstawia nas po kątach. Nie, lepiej nie. Pan naczelnik ma rację. Trzeba kogoś wydelegować.

- Kogo pan proponuje inspektorze? - Sharke skrzywił się.

- Mowy nie ma o proponowaniu. Morderstwo podsekretarza stanu zmobilizowało cały niemal personel. Gosby ciągnie sprawę swoich fałszerzy... Winch na urlopie. Do dyspozycji pozostał tylko inspektor Mallone.

- Mallone? - powtórzył Drake przeciągle - tylko Mallone?

Sharke z wysiłkiem stłumił uśmiech. Znał doskonale opinię naczelnika o zdolnościach Mallone'a. Zresztą nie była ona w Scotland Yardzie odosobniona. I nie tylko na tym terenie.

- Tak, jedynie on. Ostatecznie sprawa nie robi wrażenia trudnej, a Mallone prowadząc dochodzenia w Gordons Hill, spisał się całkiem nie najgorzej.

Sir Drake pokiwał głową w nieokreślonym geście. Co do historii z Gordons Hill miał zupełnie odmienne zdanie. Nie uważał jednak za stosowne dzielić się nim z podwładnymi. Gdyby przebieg tej sprawy stał się wiadomy ze wszystkimi szczegółami, nie podniosłoby to na pewno prestiżu Scotland Yardu. Podsunął nadinspektorowi pudełko z reprezentacyjnymi cygarami.

- Cóż! Skoro nie ma innego wyjścia, pojedzie Mallone. Aha, jeszcze jedno - udał, że dopiero teraz sobie przypomniał, choć rozmyślał nad tym od pół godziny - przy tej sprawie niewątpliwie wypłynie pułkownik Pentham.

Sharke pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Oczywiście. Zięć Gordona... Na pewno nie pozostawi go własnemu losowi.

- Otóż to. Pod jednym względem musimy być wobec niego twardzi jak skała. Za żadną cenę nie można dopuścić, by w czasie trwania dochodzenia porozumiewał się osobiście z sir Gordonem. Bo jeżeli Gordon jest naprawdę winien, a coś mi na to mocno wygląda, potrafiliby we dwóch tak zapłatać sprawę, że później dziesięciu Mallone'ów nie zdoła jej rozwikłać. Niech pan zapowie inspektorowi... Pod żadnym pozorem.

Ciekawym - rozmyślał, obserwując drzwi, które zamknęły się za wychodzącym - czy Mallone da sobie radę z pułkownikiem?

Znał metody Penthama z czasów, gdy ten jeszcze pracował w Intelligence Service.

Mallone przejrzał pobieżnie akta.

- Głupstwo! Nawet wstyd, że posyłacie mnie z tak dziecinnym zadaniem. A co do Penthama, proszę być zupełnie spokojny. Nieraz już przecież zetknąłem się z tym panem. Dam sobie radę.

Ton inspektora brzmiał niezachwianą pewnością siebie. W głębi serca jednak inspektor Mallone nie był tak zupełnie pewny powodzenia. Bo w czasie swej kariery policyjnej kilkakrotnie miał już do czynienia z pułkownikiem Penthamem.

## X. PUŁKOWNIK PENTHAM ROZPOCZYNA AKCJĘ

- Ależ oczywiście pułkowniku. Bardzo się cieszę. Na tak długo, jak tylko pan zechce. Proszę rozporządzać domem i gospodarzem jak swoją własnością - grzmiał dobroduszny bas. Okrągła jak księżyc w pełni twarz Worceya jaśniała demonstracyjnym zachwytem.

Wysubtelniony słuch Penthama zarejestrował w jego głosie jakiś dziwnie brzmiący, ledwo uchwytny ton. Spojrzał z ukosa. - Radość wygląda na sztuczną - stwierdził w duchu - ściskając rękę wylewnego gospodarza - ciekawe.

- Sir Gordona jeszcze nie przewieziono? Worcey spochmurniał.

- Biedny Percy. Siedzi na górze obstawiony ze wszystkich stron. Oczywiście nie wierzę ani przez chwilę, by to on miał... - zawahał się - no, by miał to zrobić. Mówiłem chyba ze sto razy o tym inspektorowi Mallone'owi... ale on...

Pentham aż chrząknął z wrażenia.

- Inspektor Mallone?

- Tak. Przysłał go tu Scotland Yard. Bardzo sumienny policjant. Sprawdza osobiście każdy najdrobniejszy szczegół sprawy.

Pentham stłumił westchnienie. Biedny ojciec... Jeżeli istniał naprawdę jakiś cień śladu nie uwiecznionego dotychczas w aktach, ten słoń zadepce go bez żadnej wątpliwości.

Inspektor nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok Penthama. Zachowanie jego cechował wyraźny odcień wyższości.

- Czekaliśmy na pana, pułkowniku - oświadczył z pobłażliwym uśmiechem. - Tak się jakoś dziwnie składa, że los stawia nas coraz częściej na jednej drodze.

Pentham skłonił się lekko.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział znacząco.

Inspektor zaciął wargi. Ukryte znaczenie słów nie było zbyt trudne do odgadnięcia. Rzeczywiście, jak dotychczas, Pentham był tym, który wyłącznie odnosił przyjemność z tych spotkań.

- Zresztą - dorzucił Pentham - jedna droga nie zawsze prowadzi dwóch podróżników do tego samego celu.

- Tak pan sądzi? - Mallone znowu poczuł grunt pod nogami - no, w tym wypadku kres drogi będzie niewątpliwie ten sam dla nas obu. Pytanie tylko, czy osiągnięcie go sprawi nam równą przyjemność.

Podłoga zatrzeszczała pod ciężkimi krokami Worceya. Sapał, popędzając lokaja dźwigającego zastawioną tacę.

- Zmarzliście pewno, pułkowniku, do szpiku kości? Nie odmówicie chyba szklaneczki? Pan inspektor także da się namówić do towarzystwa?

Inspektor dał się namówić. Piwnice Blackshirre były zaopatrzone w pierwszorzędne gatunki whisky, jak to zdołał już stwierdzić uprzednio. Zasiedli do stołu.

Pentham odstawił powoli opróżnioną szklanę.

- Mam do pana, inspektorze - sięgnął widelcem po zakąskę - małą prośbę... Mallone napuszył się.

- Prośbę? - przeciągnął - no cóż, jeżeli tylko zadośćuczynienie jej będzie leżało w granicach moich możliwości...

Pentham wydawał się zajęty bez reszty nabieraniem sałatki.

- Oczywiście - powiedział lekko - w gruncie rzeczy chodzi o drobnostkę.

- Słucham?

Pentham przeczekał, aż lokaj napełni szklanki.

- Chciałbym mianowicie porozmawiać parę minut z teściem - wyjaśnił.

Oczy inspektora zabłyśły triumfem. Małymi łyżkami sący alkohol.

- Tylko tyle? - w głosie dźwięczała nieukrywana ironia - rzeczywiście można powiedzieć: drobnostka. Niestety jednak - pokiwał z udanym ubolewaniem głową - zmuszony jestem odmówić panu tego drobiazgu.

- Nie da się pan uprosić?

- Nie! A może zatelefonuje pan w tej sprawie do sir Drake'a - zaproponował zjadliwie.

Pentham nie odpowiedział. Od samego zresztą początku był przygotowany na odmowę. Telefonowanie zaś do naczelnika Scotland Yardu nie miało żadnego celu. Rozmawiał z nim na ten temat osobiście przed odjazdem z Londynu. Sir Henry był nieubłagany.

- Wybacz Reggi, żądam czego chcesz za wyjątkiem tego jednego. Sam pomyśl: przecież to twój teść. Jesteś niewątpliwie zainteresowany w wyniku sprawy. A pamiętam dobrze, jak potrafisz zagmatwać ślady, jeżeli ci na tym zależy. - Omal się nawet lekko nie pokłócili na pożegnanie.

- Trudno - rzucił w przestrzeń - będę się musiał obejść bez pozwolenia.

Mallone przetarł binokle.

- Sądzi pan, że mu się uda rozmawiać z sir Gordonem wbrew memu zakazowi?

Pentham milczał zaaferowany przyrządzaniem sobie zakąski.

- Próżne marzenia - uprzedził inspektor, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Pokój, w którym przebywa sir Gordon, jest odpowiednio strzeżony. Proszę mi wierzyć. I policjanci mają rozkaz strzelania, gdyby ktoś przemocą usiłował się tam dostać.

Pentham odłożył widelec.

- Boże, jak to wszystko groźnie brzmi. Niemal stan oblężenia w miniaturze. Miałem jednak raczej na myśli, że będę się musiał obejść bez rozmowy z teściem. Bo chyba nie zabroni mi pan przeprowadzić dochodzenia w całej tej sprawie na własną rękę?

Mallone strzepnął z obrusa jakiś okruch na podłogę.

- Cóż... tego panu nie mogę zabronić - mruknął niechętnie.

- Chyba nie chciałby pan zabronić? - głos Penthama brzmiał mocno podejrzaną słodyczą - bo przecież panu również zależy, by wynik śledztwa odpowiadał rzeczywistości? A może się mylę?

- Wynik śledztwa jest przesądzony.

- Przywiózł więc pan tutaj swoją kulę? - zapytał niewinnie Pentham.

- Jaką znów kulę? - Mallone spojrzał na Penthama ze zdumieniem. Pentham wypił powoli resztę whisky.

- Nie - zaprzeczył z uśmiechem - nie mówię bynajmniej o kuli, która utkwi w ciele zuchwalca usiłującego przekroczyć pańskie rozkazy. Chodzi mi o kryształową kulę jasnowidza, w której potrafi pan zawsze tak bezbłędnie odczytać przyszłość...

## **XI. PIERWSZE POSUNIĘCIE PENTHAMA**

Cały dom tonął w sennej ciszy. Tylko przytłumione puszystym chodnikiem ciężkie kroki inspektora Mallone'a dudniły głucho wzdłuż korytarza. Raz po raz przystawał przed drzwiami pokoju, w którym umieszczono Penthama. Nic. Cisza. Znowu dziesięć kroków w kierunku tkwiącego sztywno na fotelu policjanta, mającego zlecenie pilnowania Gordona. W porządku. Policjant ani myślał o drzemce. Kroki inspektora stawały się coraz wolniejsze. Dochodziła dwunasta.

- Aaach - ziewnął szeroko. Czuł się piekielnie znużony. Z wysiłkiem pokonywał senność. Diabli przywieźli tutaj tego Penthama. Sprawa jasna jak słońce, a on gotów wszystko pokręcić. Za drzwiami Penthama wciąż panowała cisza. Obejrząwszy się na wszystkie strony, Mallone przyłożył oko do dziurki od klucza. Ciemno. Chyba zasnął. Ostatni nawrót.

- Pamiętajcie - podniósł ostrzegawczo palec - ani zmrużyć oka. Chwila drzemki mogłaby was kosztować posadę. Albo nawet coś jeszcze więcej - ton brzmiał bez wątpienia groźnie. - Na wszelki wypadek rewolwer w pogotowiu.

Policjant sprężył się służbiście.

- Rozkaz, panie inspektorze. Proszę na mnie polegać.

Mallone powędrował w kierunku swego pokoju. Rozbierając się, nadśluchował czujnie. Nic jednak nie mąciło ciszy.

- W porządku - odetchnął z ulgą, kładąc się do łóżka. Postanowił jeszcze przez pewien czas czuwać. Zbyt jednak był zmęczony. Ledwo przyłożył głowę do poduszki, z ust jego zaczął się wydobywać odgłos przypominający sapanie starej lokomotywy. Zasnął jak kamień.

Pentham przeczekał jeszcze kilka minut. Nie należało działać zbyt pochopnie. Przeciągnął się całym ciałem, rozprostowując zdrętwiałe od niewygodnej pozycji mięśnie.

- Nareszcie. Ależ łązega!

Nacisnął kłamkę, nie zachowując żadnej ostrożności. Ostre światło uderzyło bolesnymi promieniami przyzwyczajone do mroku źrenice. Zamrugął powiekami.

Świąteczna iluminacja, można powiedzieć - spojrzął z dezaprobatą w kierunku oślepiających żarówek wkręconych w lampy korytarza.

- Stój! Kto idzie?

Barczysta sylwetka policjanta wyrosła przed nim jak mur. Ruch ręki w kierunku rewolweru był niedwuznaczny. Pentham uśmiechnął się uprzejmie.

- Swój. Kominek w pokoju nawalił, więc chciałem sobie przynieść z dołu łyk czegoś rozgrzewającego. Czy to zabronione?

Policjant pokiwał niezdecydowanie głową. Inspektor nic nie wspomniał o schodach

- Chce pan zejść na dół? - zapytał nieufnie.

- Tak. Do holu. O ile pamiętam, na stole została jakaś butelczyna.

- *Ali right* - policjant cofnął się na swój fotel. Butelka stała na miejscu. I na szczęście metalowy kapsel był nienaruszony. Ten ostatni szczegół miał bardzo poważne znaczenie. Pentham doskonale pamiętał podejrzliwe spojrzenie oczu policjanta, który tkwił bez ruchu wpatrzony w klatkę schodową. Widocznie czekał na powrót Penthama. Pentham nie wszedł do swego pokoju. Zatrzymał się przed progiem.

- Ależ zimno - zaszczekał zębami - przemarzłem na kość.

Policjant skulił się.

- Rzeczywiście zimno - potwierdził ponuro, myśląc o czekającej go nocy. Pentham podniósł butelkę.

- A może by tak łyczek - mrugnął porozumiewawczo.

- Hm... - policjant zerknął niepewnie na drzwi pokoju inspektora, przenosząc z kolei wzrok na butelkę - jeszcze nie otwarta?

- Drobnostka - Pentham sięgnął do kieszeni, wydobywając scyzoryk. Zdjęcie kapsla poszło błyskawicznie. Na stoliku obok fotela policjanta stała na wpół napełniona szklanka.

- Whisky? - zapytał Pentham. Policjant wykrzywił się z niesmakiem.

- Gdzież tam. Zwykła woda.

Stojący na marmurowej kolumnie wielki wazon z palmą bardzo się przydał. Pentham wlał powoli alkohol do szklanki. Nagle trzasnęła podłoga.

- Kto tam? - spojrzał z udanym przestraczem w głąb korytarza. Policjant odwrócił mimo woli głowę. Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Wystarczyło jednak, by maleńka biała pastylka opadła na dno szklanki. Rozpuściła się momentalnie.

- Nikogo nie ma - wzrok policjanta znowu przywarł do rozkołysanej powierzchni płynu. Pentham czym prędzej usunął nogę z obluźnionej tafli posadzki.

- Rzeczywiście. Pewno podłoga trzaska od zimna. No - podał szklankę - wasze zdrowie.

- Dziękuję, sir - policjant wychylił napój duszkiem. Whisky miało zupełnie normalny smak. - Rzeczywiście zrobiło się cieplej - skonstatował.

- Może jeszcze łyczek?

Policjant potrząsnął z przerażeniem głową.



- Nie ma mowy, sir. Muszę czuwać jeszcze trzy godziny.

- W takim razie dobranoc.

- Dobranoc, sir - stuknął obcasami, po czym usiadł powoli z powrotem na fotelu. Pentham zamknął za sobą drzwi pokoju.

- Trzy godziny? - świetnie - żeby tylko ten łązega nie zbudził się tymczasem. Przysiadł na skraju łóżka. Ściągnął pantofle. Na tym jednak poprzestał. Wyciągnął się w ubraniu na kołdrze i zapalił fajkę. - Pięć minut powinno wystarczyć - spojrzął na zegarek - no dla pewności niech będzie dziesięć. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do działania białej tabletki. Specyfik wypróbował niejednokrotnie w czasach, gdy wędrował po wojennych ścieżkach.

Zegarek tykał monotennie. Pentham łykał chciwie tytoniowy dym. Na zapas. Później odrobina dymu stanowiłaby zbyt wielkie ryzyko.

Już - zeskoczył elastycznie z łóżka, nachylając się nad walizką. Czerwony - szperał pomiędzy zwiłkami cienkiego drutu oplecionego jedwabiem - dobrze, że wziąłem kilka kolorów. Bo wszędzie raczej używają zielonego. Kieszeń marynarki odstawała. Oprócz drutu wetknął w nią niewielką paczuszkę - Gotowe!

Tym razem klamka zapadła bez najmniejszego szmeru. Cicho jak cień sunął wzdłuż korytarza. Głowa policjanta leżała na oparciu fotela. Sprężysta przed paroma minutami sylwetka była całkowicie bezwładna.

- Konstablu! - syknął przenikliwie w samo ucho śpiącego. Policjant ani drgnął.

- W porządku.

Teraz role się odmieniły. Z kolei Pentham przystanął przed drzwiami Mallone'a, przytykając ucho do dziurki od klucza. Donośne chrapanie docierało przytłumionym odgłosem poprzez drzwi. Poczekał chwilę.

Spi jak suseł - nabrał pewności. Nie uważał Mallone'a za zdolnego do udawania na dłuższą metę.

Jeszcze kilka kroków. Tak, to na pewno tu. Za dnia zbadał dokładnie rozkład.

Drzwi były zamknięte na głucho. Otwór zamku prześwitywał mdłą szarością, świadcząc o braku klucza. Uśmiechnął się złośliwie. Pewno klucz jest u Mallone'a pod poduszką - w palcach zamigotał dziwnie powykęcany drut. Cichutko szcęknął zamek. Zadźwięczały sprężyny łóżka. W mroku zarysował się niewyraźny cień postaci.

- Kto tam?!

- Tss - syknął ostrzegawczo, zamykając za sobą ostrożnie drzwi. Błysnął promień latarki. Pentham skierował go na siebie. - To ja, Reggi...

Nasunął niebieski filtr.

- Musi nam to światło wystarczyć - uściśnął kościstą rękę. - Jak się ojciec miewa? - przysiadł na taborecie.

- Dziękuję - szept sir Gordona przypomniał warknięcie. - Jednak cię ten cały Mallone wpuścił? A zapowiadał solennie, że pod żadnym pozorem...

Pentham popatrzył w przestrzeń.

- Nawet taka perła Scotland Yardu nie zawsze jest w stanie wszystko przewidzieć. Ale do rzeczy. Nie powinniśmy tracić czasu. Opowiadaj, co i jak. Tylko dokładnie. Każdy najmniejszy szczegół może mieć decydujące znaczenie.

Słuchał, nie przerywając ani słowem. Ważniejsze fragmenty utrzymywał w pamięci. Mógł jej zaufać. Nie zawiodła dotychczas ani razu. Wreszcie sir Gordon skończył.

- No i jak ci się podoba ta przeklęta historia? Pentham skrzywił usta w kwaśnym uśmiechu.

- Trudno powiedzieć, żebym był zachwycony - zresztą zobaczymy, co się da zrobić. Tymczasem chciałbym ustalić pewne okoliczności, których mi brakuje. Przede wszystkim, czy Worcey wiedział, jakie żywiście do siebie z Woodsonem uczucia?

Gordon zastanowił się.

- Ba...! - wzruszył lekko ramionami - Powinien właściwie wiedzieć. Wszyscy wiedzieli... Miał jednak taką minę, jakby nas uważał za najlepszych pod słońcem przyjaciół.

- Hm, a czy Worcey miał jakiś specjalny powód, by pragnąć śmierci Woodsona albo by ciebie skompromitować?

- Niestety. Na to pytanie nie potrafię ci dać odpowiedzi.

- Szkoda. Wiązałbym z tą hipotezą pewne nadzieje. Trudno, jedźmy dalej. Czy w chwili, gdy chciałeś strzelać ze sztucera do wilka, kula była w lufie?

- Raczej tak. W każdym razie była tam na pewno, gdy policjant otworzył zamek strzelby.

- Schneller był odsunięty?

- Tak. Nacisnąłem go jeszcze raz w chwili nieudanego strzału.

- A czy po pociągnięciu za cyngiel usłyszał ojciec jakiś trzask?

- Hm... nie powiem, żebym tak się specjalnie wsłuchiwał. Zrozum: najeżona kłami paszczyka na odległość wyciągniętego ramienia, a tu winchester zawodzi. Ale chyba iglica nie spadła, jeżeli ci o to chodzi.

- Właśnie o to. A później, gdy karabinek badał policjant, spust działał bez zarzutu?

- Tak... poczekaj - sir Gordon nagle uderzył się w czoło - że też mogłem o tym zapomnieć. Przed policjantem manipulował przy zamku tej przeklętej pukawki Worcey.

Pentham wyprostował się.

- Znowu on? Po pierwsze wyznacza ci stanowisko obok Woodsona, choć powinien wiedzieć, że nienawidzicie się wzajemnie. Po drugie on właśnie daje ci broń, która w decydującym momencie nie strzela. Po trzecie manipuluje przy strzelbie i strzelba cudownym sposobem znowu zaczyna działać w momencie, gdy ogląda ją policjant. Żeby tylko zdołał rozgryźć, jaki cel mógłby mieć, aranżując tę makabrę, potrafiłbym zwinąć prowadzące do niego nici w mocny sznur.

Sir Gordon uśmiechnął się z sarkazmem. - W moim pokoju nie mówi się o sznurze... Pentham machnął ręką.

- Jeszcze można. Aha. Czy jesteś zupełnie pewien, że trafiłeś tę apokaliptyczną bestię?

- Jak najpewniejszy. Z tej odległości trafiłbym do asa, a cóż dopiero do takiego celu.

Pentham wpadł w zadumę.

- Dziwaczna historia - mruknął - bydlę poczęstowane kulką rozwiewa się jak dym, nie pozostawiając najmniejszego śladu... No - wstał z ociąganiem z taboretu - spróbujemy jakoś rozplatać ten kłębek, choć robi wrażenie mocno zasupłanego. Tymczasem mam tu do wykonania pewną robotę...

- Robotę? - powtórzył z niekłamany zdumieniem sir Gordon.

- Maleńka instalacyjka. Powtarzane dowcipy mogą się znudzić nawet panu Mallone'owi. A na pewno jeszcze nie raz będę się musiał z tobą porozumieć. Przedtem jednak wolałbym sobie cokolwiek zabezpieczyć tyły. Kto wie, czy inspektora nie dręczą niespokojne sny, jako kara za wieczorne obżarstwo? Śpiące licho zawsze może się obudzić w najmniej odpowiednim momencie.

Wysunął się bezszelestnie na korytarz.

Sir Gordon opadł z powrotem na poduszki.

Ciekawym, czy i tym razem pomoże mu jego dobra gwiazda? - pomyślał leniwie. - Bo jeżeli nie... Cóż... jeżeli nie, sprawa nie budzi żadnych wątpliwości. Piękny konopny sznur i *finita la comedia*. Perspektywa nie wyglądała zachwycająco. Nawet dla stalowych nerwów starego biznesmena. Ledwo uchwytny szelest przerwał tok ponurych rozmyślań. Błysnęło niebieskie światełko. W jego poświacie uspokajający uśmiech Penthama robił nieco niesamowite wrażenie.

- Załatwione. Można się brać do pracy. - Wyciągnął z kieszeni zwój drutu. - Puścimy razem z instalacją dzwonek, - objaśniał, manipulując przy listwie podłogi - wyglądają tak samo. Ktoś bardziej spostrzegawczy może by zwrócił uwagę na zbyt wielką ilość przewodów, ale Mallone... -

machnął lekceważąco ręką - Mallone na pewno nawet nie wie, ile drutów powinien mieć dzwonek w przyzwoitym angielskim domu.

Prowadząc przewód, znowu zanurzył się w gęstym mroku wypełniającym korytarz. Tylko słaby odbłask niebieskawej plamy światła znaczył postęp robót.

- Uff - odetchnął z ulgą, wracając do pokoju - skończone. Nie miałem nadziei, by poszło tak gładko. Teraz uważaj - podał mały krążek z czarnego ebonitu - to jest mikrofon. Działa bez zarzutu. Można go łatwo ukryć gdziekolwiek. Sygnał daje się, pukając końcem paznokcia w membranę. Gdy jeden mówi, drugi słucha i czeka, aż tamten skończy. Cała aparatura w jednym kawałku. Będziesz umiał się z tym obchodzić?

- Chyba tak - sir Gordon obejrzał dokładnie mikrofon. - Słuchaj, Reggi - przytrzymał za rękaw Penthama - chciałem cię jeszcze zapytać... - zawahał się.

- Słucham.

- Widzisz, pragnąłbym wiedzieć, czy ty wierzysz, że ja tego nie zrobiłem?

Pentham roześmiał się bezgłośnie.

- Taką partacką robotę? No... gdybym przypuszczał choć przez mgnienie oka, natychmiast wyzbyłbym się wszystkich akcji Stalowego Trustu. Przedsiębiorstwo mające na czele takiego niedołęgę z góry byłoby skazane na zagładę. - Głos tchnął nie udawaną szczerością. Drewnianą twarz sir Gordona rozjaśnił uśmiech serdecznej wdzięczności.

- Dziękuję... Dodałeś mi otuchy.

Trzask... Obydwaj zamarli w bezruchu. Potrącona przez sir Gordona słuchawka spadła na podłogę. W panującej wokoło ciszy stuk ten robił wrażenie ogłuszającego hałasu. Pentham zaklął przez zęby, nad słuchując intensywnie. Gdzieś za ścianą słyhać było niepokojący szmer.

- Będzie heca. Muszę zniknąć - błyskawicznym ruchem wysunął się na korytarz. W odległości paru zaledwie jardów wyraźnie trzeszczała podłoga. Zatrzymał się jednak, by zamknąć za sobą drzwi na klucz. Od tego zależało niemal powodzenie całej wyprawy.

## XII. NIESAMOWITA NOC

- Co to?

Zbudzony nagle ze snu Mallone usiadł gwałtownie na łóżku. Ależ tak. To nie złudzenie. Jakiś hałas. Strzał, czy też... Przed oczyma stanęła mu wizja Penthama ostrzeliwującego stojących na warcie policjantów. Dla takiego, co w czasie wojny pracował w Inteligence, zastrzelenie człowieka to na pewno nic nieznaczący drobiazg. Trzeba natychmiast działać. Sięgnął pod poduszkę. Odetchnął z ulgą, namacawszy rękojeść pistoletu. Pentham miał piekielny dar dematerializowania najbardziej w danej chwili potrzebnych przedmiotów.

Przekreślił wyłącznik nocnej lampki.

Zaklął. Lampa nie działała. Że też akurat musiała się teraz zepsuć! Trudno. Pozostawała latarka elektryczna. Leżała na swoim miejscu. Nacisnął na guzik. Ciemność. Przeklęty zbieg okoliczności. A może... poczuł się nieswojo. Ostatecznie ma jeszcze pistolet w garści. Wskoczył jednym susem z łóżka. Szarpnął klamkę. Drzwi ani drgnęły. Wpadł we wściekłość. Prawda. Przecież sam zamknął na klucz. Znowu zwłoka. A tymczasem na korytarzu wyraźnie działo się coś niezwykłego. Słuch łowił podejrzaną szmery. Nareszcie! Szarpnął z rozmachem drzwi. Znowu nieprzenikniona ciemność. Co u licha?! Szczęk przypominający odgłos zaskakującego zamka. I to właśnie gdzieś w okolicy prowizorycznego aresztu Gordona. Przecież klucz leży pod poduszką! Czy jednak leży naprawdę? Głupstwo. Potem się sprawdzi. Naprzód, trzeba złapać tego ducha wałęsającego się, gdzie nie trzeba. Podłoga znowu zatrzeszczała. Błogosławił w duchu stary rozluźniony parkiet. - Stać! - ryknął, wyciągając rewolwer.

Skrzypienie podłogi zaczęło się oddalać.

Strzelanie na oślep nie miało sensu.

- Już ja cię dostanę, gagatku! - Gwałtownym zrywem skoczył w kierunku, skąd dochodziło trzeszczenie podłogi.

- Ojej! - przed oczyma stanęły iskry.

Na czoło wystąpił chłodny pot od przejmującego bólu. Noga w cienkim pantoflu natrafiła z rozmachem na jakiś twardy przedmiot. Dla pewności wołał zbadać nową zasadzkę po omacku. Niemal tuż przed drzwiami leżał przewrócony stołek. Podłoga wciąż jeszcze trzeszczała. A więc tamten nie zdążył uciec. Kulejąc, Mallone ruszył dalej w gęsty mrok. Po schodach ktoś szybko cicho schodził. Kilkoma susami dopadł poręczy. Ciche kroki słyszać było już na parterze. Zbiegł, przeskakując po trzy stopnie. Przy każdym kroku stłuczony palec bolał coraz dotkliwiej.

Nagle wszystko ucichło.

Przystanął u podnóża schodów zupełnie dezorientowany. Co za licho? Przecież przed sekundą słyszał kroki tuż przed sobą. Wzdłuż krzyża przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Przeczekał chwilę. Nic. Wodził wokoło lufą rewolweru. Tym razem jego wytrzymałość osiągnęła kres. Jeżeli coś się poruszy, żadna siła nie zdoła go powstrzymać od strzału. Nic się jednak nie poruszyło.

Oczekiwanie w ciemnościach zdawało się przeciągać w nieskończoność. Nagle drgnął. Prawda! Na stoliku przed kominkiem leżały zawsze zapalki. Ostrożnie postawił stopę.

Podłoga trzasnęła alarmująco. Nie wywarło to jednak żadnego oddźwięku w otaczającej ciemności. Drugi krok zrobił już trochę śmieiej. Niezmacona cisza napawała otuchą. Brzuchem uderzył o brzeg stolika i zaklął przez zaciśnięte zęby. Był przekonany, że stoi znacznie dalej. Strącona szklanka rozbiła się z przeraźliwym brzękiem. Zamarł w bezruchu.

- No jeżeli i teraz nic...

Cisza. Zaczął macać palcami po stoliku. Pudełko.

- Nie - odsunął z niechęcią kasetkę z papierosami. - Nareszcie.

Trzasnął żółtawy płomyk. Rozejrzał się bacznie w nikłej poświacie. Nikogo. Dopalająca się zapałka parzyła mu palce.

Do diabła z taką robotą! Gdzieś na kominku powinna stać świeca. Miał wyrażenie, że szukał jej całe wieki. Tym razem zrobiło się o wiele widniej. Zatoczył lichtarzem koło. Kąty tonęły w mroku, ale przynajmniej mógł widzieć w promieniu kilku kroków.

Nagle osłupiał, ujrawszy na podłodze but. Leżał przed nim w całej okazałości, odbijając w lśniącej cholewie płomień świecy.

- But? - wytrzeszczył oczy. - W takim razie gdzie się podział właściciel?...

Skądś z góry dobiegł odgłos dziwnie przypominający stłumiony śmiech. Drgnął. Podniósł świecę, usiłując oświetlić schody. Słaby odblask nie docierał jednak na piętro, gdzie znowu zatrzeszczała podłoga.

- Ach tak - zorientował się wreszcie - ktoś zrzucił but, by zmylić pogoń. Stary kawał. Że też dał się na niego nabrać! - Aż poczerwieniał z wściekłości.

- Ręce do góry! - wrzasnął, kierując lufę w stronę schodów. Od razu zresztą przewidział, że nie odniesie to żadnego skutku. Gdzieś szczyknął przekręcany w zamku klucz. Mallone zaklął. Tym razem bardzo grubo.

Nagle odetchnął i uśmiechnął się z zadowoleniem. Ale tamten jednak przechytrzył. Mając but, znajdzie jak amen w pacierzu właściciela. Zupełnie jakby pozostawił bilet wizytowy. Trafi się po nitce do kłębka, a wtedy... aż zgrzytnął zębami. Los, jaki gotował niefortunnemu właścicielowi buta, był nie do pozazdroszczenia. Z butem w ręku bez pośpiechu ruszył po schodach, oświetlając sobie drogę świecą. Gdzież podział się ten niedołęga Drews? - Hałas, że nieboszczyka by zbudził, a jego ani śladu Mallone zbliżył się do śpiącego policjanta i stanął nad nim, zaciskając pięści.

- Naturalnie. Chrapie jak bydlę! Drews! Wstawać - wrzasnął - baczność! - Tamten nie drgnął nawet wtedy, gdy inspektor zaczął nim potrząsać za ramiona. Mallone gwizdnął przeciągle.

- Ach więc to tak? Oczywiście uspiony.

- Porwał szklankę stojącą na stoliku

- Narkotyk! - nie miał najmniejszych wątpliwości. - Podniósł ją powoli do nosa, wciągając ostrożnie powietrze. Na twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Woda? No cóż. Ostatecznie narkotyk można podać i w wodzie. I nawet niekoniecznie musi mieć specjalny zapach. Nagle odstawił szklankę. Dopiero teraz zauważył, że śpiący policjant był bez jednego buta. Z wściekłością cisnął trzymanym w ręku butem i z miejsca postanowił skończyć z tym wszystkim. Ruszył ostro na obolałej nodze w kierunku drzwi Penthama i zapukał energicznie. Cisza. Zapukał znowu, tym razem

jeszcze mocniej.

- Kto tam? - odezwał się senny, nieco ochrypnięty głos.
- Niech pan otworzy pułkownik. Zaszły pewne okoliczności...
- Zaraz.

Ciche stąpanie nieobutych stóp. Przewlekła manipulacja kluczem. Gdy drzwi się otwarły, inspektor zmrużył oczy pod wpływem światła.

- To u pana elektryczność działa? Pentham miał minę mocno zaspaną.

- A dlaczego miałyby nie działać? Czy specjalnie ściągnął mnie pan z łóżka o wpół do trzeciej w nocy, by o to zapytać?

- W całym domu zgasło światło.

Pentham wsunął się z powrotem pod kołdrę i robił wrażenie jakby za chwilę miał zasnąć na dobre.

- Nie jestem elektrotechnikiem.

- Nie? - inspektor rozglądał się ciekawie po pokoju. Na oko wszystko wyglądało, tak jak być powinno. Porządnie złożone ubranie. Fajka na nocnym stoliku. Piżama również nie robiła wrażenia włożonej naprędce. - Chciałbym pana o coś zapytać...

- Słucham - Pentham dopiero teraz nasunął kołdrę pod brodę - proszę mi wybaczyć, ale zimno staje się po prostu nie do wytrzymania. Och, te kochane stare wiejskie domy...

Inspektor przygotowywał plan zamierzonej rozmowy. Z Penthamem należało się mieć na baczności w każdym słowie.

- Drewno śpi - rzucił zniecierpliwiony. Pentham sięgnął po fajkę.

- To bardzo ładnie z jego strony. O tej porze każdy, jako tako przyzwoity dżentelmen o czystym sumieniu, powinien spać snem sprawiedliwych. Nie mam tu oczywiście na myśli osobników, którzy w sobie tylko wiadomych, a na pewno podejrzanych celach, włóczą się po nocy - dorzucił niewinnie.

Inspektor opanował się i rzekł:

- Ale on został uśpiony.

- Czyżby? - zdziwił się Pentham - to w Blackshirre na dobytek kręcą się jacyś podejrzani hipnotyzerzy? Nic o tym nie wiedziałem. - Zaczął powoli zapalać fajkę. - Chciałbym ogrzać choć czubek nosa - wyjaśnił. Inspektor wsunął zziębnięte ręce do kieszeni. Z wygasłego kominka wiało przejmującym chłodem. Widok otulonego w ciepłą kołdrę Penthama w odczuciu Mallone'a jeszcze

bardziej obniżał temperaturę panującą w pokoju.

- Narkotyk - stwierdził ponuro.

- Oo... to przykrość - Pentham pyknął z fajki - Biedny Drews... niestety nie jestem mu w stanie pomóc. Jak panu zapewne wiadomo, przerwałem wskutek wojny studia medyczne i nieubłagane prawo zabrania mi nieść ulgę cierpiącej ludzkości.

Mallone skupił uwagę. Pierwsza część przygotowanej starannie rozmowy spaliła na panewce. Zachowanie się Penthama nie dawało żadnych podstaw do podejrzeń.

- Czy pan spał pułkowniku? - zapytał nagle.

Pentham spojrzał z ukosa.

- Ja? - zaciągnął się dymem - ależ nic podobnego. Mallone niemal triumfował. Czyżby mu się udało wreszcie zaskoczyć przeciwnika?

- A co pan robił? - wstrzymał dech w piersiach, czekając na odpowiedź.

- Ćwiczyłem na puzonie, przygotowując koncert do szkółki niedzielnej - odpowiedział uprzejmie.

Inspektor wytrzeszczył oczy.

- Jak to? - wyjąkał - Dlaczego na puzonie? - zapytał bez sensu. - Ale w tej chwili zorientował się. - Ach tak... To ma być pewno dowcip?

- Właśnie. Miał być. I proszę o wybaczenie, jeśli się nie udał. Zbudzony przed świtem zazwyczaj mówię kiepskie dowcipy.

- Ale ja nie mam nastroju do żartów - w głosie inspektora zadrgała groźba.

- Ja, prawdę powiedziawszy, także nie. Raczej mam nastrój do spania. Sądzę zresztą, że o tej porze nie jestem odosobniony w Zjednoczonym Królestwie.

Inspektor zmarszczył brwi. Miał dosyć tych kpin.

- Pytam pana, pułkowniku, oficjalnie... - zaczął urzędowym tonem. Pentham wyciągnął się wygodnie, aż zajęczały sprężyny.

- Przepraszam, że w tej pozycji będę odpowiadał na oficjalne pytania, ale nie widzę protokolanta, może pan zechce kogoś zawołać.

Mallone poczerwieniał. Rzeczywiście gafa. Czuł się już piekielnie zmęczony.

- Czy pan wychodził dzisiejszej nocy z pokoju? - głos jego brzmiał tym razem o wiele



uprzejmiej.

- Owszem.

- Kiedy?

- Na kolację.

- A później.

Pentham wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem? Skoro, jak pan twierdzi, w okolicy włóczą się jacyś podejrzani hipnotyzerzy, którzy uśpili pańskiego policjanta, może i mnie przytrafił się podobny wypadek. A sam pan na pewno słyszał inspektorze, jakie niesamowite historie potrafią wyczyniać ludzie w hipnotycznym śnie...

Mallone podniósł się ociężale z krzesła. Wizyta nie odniosła żadnego skutku. Miał już dosyć tej zabawy.

- Niech pan jednak nie myśli, panie pułkowniku, że ja nie złapię tego hipnotyzera. A wtedy zobaczymy!...

Zamknął za sobą drzwi znacznie głośniejsze, niżby wypadało. W korytarzu przystanął zdumiony. Z potężnych żarówek spływała powódź jasnego światła. Drews rozwalony w fotelu pochrapywał lekko. Obydwie wyciągnięte nogi policjanta tkwiły w nienagannie wyczyszczonych cholewach.

- Drews! - ścisnął mocno ramię śpiącego - co znowu za kawały? Ten jednak nie reagował. Mallone kipiał ze złości. Opanowawszy się, ujął ostrożnie w dwa palce szklankę. Narkotyk w każdym razie stanowił dobry punkt zaczepienia. A może znajdzie się jeszcze na dodatek jakiś niewielki odcisk palca na szkle? Co do tego ostatniego zresztą nie miał zbyt wielkiej nadziei. Sprawdził drzwi do pokoju Gordona. Zamknięte. Wewnątrz pokoju panowała głucha cisza. Klucz leżał na swoim miejscu pod poduszką. Powoli osunął się na łóżko.

- I niech mi kto wyjaśni, co za niesamowite historie dzieją się tu dzisiejszej nocy? - westchnął.

Gdy przykładał głowę do poduszki, skądś jakby spod podłogi zaczął dobiegać dziwny szmer. Jakiś przytłumiony niewyraźny szept. Machnął z rezygnacją ręką. Nie miał już sił uganiać się za nieuchwytnym cieniem.

### **XIII. LIST KTÓRY POWRÓCIŁ**

Miss Kate Brown, jedyna siła pomocnicza urzędu pocztowego w Blackshirre, niezdecydowanie obracała w palcach opieczętowaną kopertę. - Polecony, zwrotne poświadczenie odbioru, doręczyć do rąk własnych i tym podobne pocztowe szykany. Wszystko jak najwyraźniej wypisane na kopercie. Tak, to było wyraźne - pomyślała z goryczą - za to na miejscu, gdzie powinien być adres, rozlewała się ciemna plama atramentu. Skąd się wzięła? Niemal przysięgłaby, że nie było jej tam wcale, gdy

przedwczoraj przyjmowała przesyłkę. Poplamili w urzędzie? Nonsens! Nie potrafiła rozwiązać tej zagadki. Najwyższy czas wysłać list. Ale jak go wysłać w takim stanie? I tak zwróca.

- Niech się naczelnik martwi - zdecydowała w końcu - za to mu więcej płacą.

Pan Tomasz Baker z początku bardzo się złościł.

- Jak pani mogła przyjmować coś podobnego? - krzyczał - i to jeszcze w dodatku jako przesyłkę poleconą? Trzeba trochę uważać!

- Nie było tej plamy, kiedy list przyszedł.

- Aaa - pokiwał głową - powiada pani - nie było? Jeszcze lepiej. Więc pani sama rozlała atrament na kopertę? Ślicznie.

- Ja też nie poplamiałam listu. Naczelnika aż zatknęło.

- Więc skąd się ta przekłęta plama wzięła? - otarł pot z łysej jak kolano czaszki. Organicznie wprost nie znosił niedokładności w urzędowaniu.

- Nie wiem!

- Nie wie pani? Naturalnie pani nic nie wie. Plamy nie było, w urzędzie nie poplamili, a adres zamazany, że odczytać nie można. Chce pani bym uwierzył w czarną magię? - zapytał z sarkazmem.

- Nie wiem, skąd ta plama - powtórzyła jak echo. Obracał kopertę na wszystkie strony.

- Ooo! - nagle dojrzał nazwisko nadawcy - sir Gordon? - hm - opadł na fotel - to zmienia nieco stan rzeczy. Nawet zupełnie zmienia - odzyskał całkowicie dobry humor. - Kto wie, czy przez tę małą kochaną plamkę nasz urząd nie stanie się sławny w całej Anglii. Bo sir Gordon to ten, co... no wie pani?

- Wiem - słuchała z rosnącym zaciekawieniem.

- A inspektor Mallone nakazał doręczać sobie bezpośrednio wszystkie listy adresowane do sir Gordona. Przedłożył nawet odpowiednie zarządzenie Scotland Yardu. Ale żeby list pochodzący od samego Gordona? - pokręcił głową - No... no... nawet się nie spodziewa pewno takiej gratki. Zaniosę sam.

Osobiste zetknięcie z figurą ze stołecznej policji niemało imponowało panu naczelnikowi. Mallone rzeczywiście wybuchnął entuzjazmem.

- List sir Gordona? - Dawajcie prędzej! Dla pewności zawołał Worceya.

- Zna pan charakter pisma Gordona? Worcey obejrzał uważnie kopertę.

- Tak, to zostało napisane niewątpliwie jego ręką - potwierdził. Inspektor promieniał. Powoli,

zachowując taką ostrożność, jakby oczekiwał w środku co najmniej ładunku dynamitu, otworzył kopertę.

- Kim jest John Harrison? - spojrzał pytająco na Worceya.
- Prawą ręką sir Gordona. Szara eminencja Stalowego Trustu...
- Kardynał? - przeraził się Mallone. Worcey zagryzł wargi.
- Nie. Stary Harrison nie ma nic wspólnego z duchowieństwem.
- To dlaczego nazywa go pan eminencją?
- Hm... jakby to panu wytłumaczyć? No... ze względu na jego znaczenie w Truście.
- Niech i tak będzie. - Mallone rozłożył list.

„Drogi Johnie... niech pan zakupi...” - nie to nie ma chyba znaczenia. Ewentualnie niech się eksperci giełdowi głowią - ale za to... No proszę posłuchać - oczy Mallone'a rozbłyły. „Jest tu J.W. Zdaje się, że to, co nam zaraportował Nr R. 8, w zupełności odpowiada prawdzie. Jeżeliby do tego doszło - amen. J.W. musi być unieszkodliwiony za wszelką cenę. I to jak najprędzej. Jest to dla nas wprost sprawą życia i śmierci...”. Dalej znowu nic ciekawego. Obejdzie się. Ten wspaniały ustęp wystarczy za cały tom. Unieszkodliwić J.W.! A przecież „J.W.” to wyraźnie James Woodson.

- Chyba drugiego człowieka o tych inicjałach nie było w Blackshirre? - spojrzał pytająco na Worceya. Worcey zastanowił się chwilę.

- Nie.

Mallone zatarł ręce. - Ten list będzie stanowił ostatni guzik, na który zapniemy śledztwo. Chyba nawet sir Drake nie znajdzie żadnego „ale”...

Uścisnął łaskawie dłoń naczelnikowi urzędu pocztowego.

- Dobrze się pan przysłużył wymiarowi sprawiedliwości. Dziękuję panu w imieniu Scotland Yardu, panie Blacker - oświadczył wyniośle i uroczyście.

- Baker - poprawił nieśmiało naczelnik. Mallone spojrzał na niego zdziwiony.

- Co? Jaki znowu Baker? Co ma wspólnego ze sprawą? Jeszcze jedna rewelacja? - pytał jednym tchem.

Naczelnik stracił rezon do reszty.

- Nie - zaprzeczył - żadna rewelacja. To ja się nazywam Baker - a nie Blacker - wyjaśnił.

- Aach... tak. Przepraszam. Pomyliło mi się. Dziękuję więc panu, mister Baker. - Odniósł jednak

wrażenie, że ten podniosły moment nie wypadł tak, jak powinien. Ale nie zastanawiał się nad tym, śpiesząc natychmiast z listem do pokoju więźnia.

Na policzkach sir Gordona pojawiła się sinawa bladość. Patrzył w milczeniu na tkwiący w palcach inspektora list. Minęła dłuższa chwila, zanim zdołał się opanować. Był zupełnie zrezygnowany.

- Tak - głos jego brzmiał zupełnie spokojnie - ten list pisałem własnoręcznie.

- A kto jest „J.W.”?

Gordon wzruszył ramionami. W okolicznościach, jakie się wytworzyły, zaprzeczanie nie miało najmniejszego sensu.

- James Woodson - powiedział głucho. Mallone aż podskoczył na krześle.

- W tych warunkach chyba sam pan rozumie, sir, że dalsze wypieranie się pozbawione jest sensu... Najlepiej się z miejsca przyznać i zbyć kłopot z głowy - miał minę niemal troskliwego ojca. W głębi duszy uważał wciąż jeszcze przyznanie się za „koronę dowodów”. Gordon drgnął.

- Przyznać się? - Do czego?

Mallone pokiwał głową z dobrotliwym wyrzutem.

- Ależ, sir! Po co mamy się bawić w ciuciubabkę? Oczywiście do zamordowania Jamesa Woodsona. Przy pewnym wysiłku znajdziemy przecież jakieś okoliczności łagodzące... - dorzucił obiecującym tonem.

Sir Gordon podniósł z wolna głowę.

- Nie. Nie zabiłem Woodsona - głos jego lekko chrypiał. Czuł się śmiertelnie znużony.

- No, no... - Mallone przemawiał jak do dziecka. Zdawało się, że za chwilę zacznie szczebiotać - naturalnie, po co mamy używać tak nieprzyjemnych określeń? Powiedzmy: „unieszkodliwił” go pan za pomocą kuli rewolwerowej. Tak będzie lepiej?

- Nie. Nie będzie lepiej - odrzekł Gordon powoli, jakby zastanawiając się nad każdym słowem - Nie strzelałem do Woodsona. Pisząc o „unieszkodliwieniu”, miałem jedynie na myśli unieszkodliwienie go w sensie giełdowym.

- Tak - Mallone powstał z krzesła - niestety unieszkodliwił go pan nie tyle w sensie giełdowym, co raczej kryminalnym. No trudno, na upór nie ma lekarstwa... Czy przypuszcza pan jednak, że na całej kuli ziemskiej istnieje jakikolwiek sąd, który by mógł uwierzyć w tak spreparowaną bajeczkę? - rzucił, odchodząc.

Sir Gordon nie odpowiedział, patrząc niewidzącymi oczyma w okno. Mallone miał rację. Wszystko to wyglądało całkiem nieprawdopodobnie. I beznadziejnie.

#### XIV. IGŁA PATEFONOWA

Mallone aż kipiał z niecierpliwości, by pokazać list Penthamowi. Z góry cieszył się z oczekującego go triumfu. Niech choć słówko piśnie na taki pasztet. Tyle razy był górą, za to teraz będzie miał za swoje. Dowie się, jak smakuje porażka. Przecież ten list to już wyraźnie przyznanie się do winy.

Pentham jednak znikł gdzieś jeszcze wczesnym rankiem. Nie wrócił na lunch. Inspektor zaczął zasięgać języka. Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić celu wycieczki pułkownika. Policjant stojący na warcie przed podjazdem widział Penthama, jak wychodził. Ponieważ jednak nie wydano w tym względzie żadnego rozkazu, nie stawiał przeszkód. Było wcześniej. Jeszcze szarawo. Nie patrzył na zegarek, więc nie może podać dokładnie godziny. Nie wiedział, że to będzie potrzebne. Nie, pułkownik nie miał ze sobą pakunków.

Nieobecność Penthama przeciągała się. Inspektor zaczynał odczuwać niepokój. Kto wie, jaki nowy kawał tamten może wymyślić. Od czasu do czasu macał się po kieszeni. Szelest tkwiącego w niej listu napełniał go otuchą. Co tam! Na tego rodzaju dowód nie pomogą żadne kawały.

Pentham wrócił dopiero tuż przed kolacją. Ośnieżony, zziębnięty wszedł zamyślony nad czymś na górę. Zanim Mallone zdołał go dopaść, zamknął drzwi swego pokoju. Inspektor tymczasem zrezygnował z wizyty. Przy kolacji powinno to wypaść jeszcze efektowniej. Pentham spóźnił się na kolację. Mallone kręcił się nerwowo na krześle. Czyżby miał w ogóle nie przyjść? Odniosł wrażenie, że potrawy tego wieczoru są dziwnie jałowe. Nawet whisky jakby straciła dotychczasowy smak. Wreszcie przyszedł. Mallone, nie czekając ani chwili, wyciągnął list. Pentham przeczytał uważnie. Zamyślili się i milczali.

- I co pan na to, pułkowniku? - Mallone nie mógł się doczekać odpowiedzi.

- Cóż, nie do mnie należy wyciąganie wniosków - odpowiedział powoli Pentham.

- Wycofuje się pan?

- Może - Pentham pedantycznie smarował grzanekę - ale niech mi pan powie, inspektorze, w jaki sposób list ten dotarł do pańskich rąk?

Mallone skrzywił się lekko. Zrobił tajemniczą minę.

- Wydałem odpowiednie zarządzenia i... Penthama jednak nie łatwo było zbyć.

- Komu?

- No - teraz z kolei inspektor zajął się sandwiczem - poczcie - wyjaśnił niechętnym tonem.

Pentham wygładził starannie kopertę.

- Chwileczkę. Jakoś nie bardzo mogę zrozumieć. Przecież list był nadany jeszcze przed tą całą

historią? I przed pańskim przybyciem do Blackshirre. Coś się tutaj nie zgadza. Chyba że pan, przewidując popełnienie morderstwa, wydał uprzednio rozkazy, by zabezpieczyć jego ślady? Przy pańskim ogólnie znanym jasnowidztwie ostatnia hipoteza nie wydaje się zbyt śmiałą - dodał uprzejmie.

- Nie wysłali listu, bo adres był zamazany - wyjaśnił Mallone. Pentham pokiwał głową.

- Ach tak. A kto zamazał adres? Bo chyba nie nadawca? Trudno sądzić, by nadawał tego rodzaju list po to tylko, by mu go zwrócono.

Mallone żuł z namysłem kanapkę. Rzeczywiście. Kto zamazał adres? - zastanawiał się bezskutecznie. W każdym razie nie zawadzi zapytać o to przy sposobności naczelnika poczty.

- Ba - przełknął wreszcie ostatni kęs. - Czy nie wszystko jedno kto? To przecież nie ma najmniejszego znaczenia.

- Oczywiście - przytaknął Pentham. - Czy jednak nie zauważył pan, inspektorze, pewnej dziwnej okoliczności w tej całej sprawie?

- Dziwnej? Skądże znowu! Wszystkie okoliczności są jasne jak słońce.

- Otóż to. Dowody są bez wyjątku oczywiste i niemal każdy z nich sam przez się wystarczyłby do wykrycia sprawcy. Po prostu nadmiar dowodów. I co dziwniejsze jakiś szczególny zbieg okoliczności pcha to wszystko prosto do rąk prowadzącego dochodzenie.

- Jak to?

- No, choćby ten list. Normalnym porządkiem rzeczy powinien być wysłany przed trzema dniami i dawno spoczywać w szufladzie adresata. Tymczasem tajemniczy traf znowu czuwa - zamazuje w odpowiednim momencie adres i list trafia do pana, inspektorze. Czy naprawdę nie widzi pan w tym nic zastanawiającego?

- Zbieg okoliczności - zastanowił się Mallone. - At - trzepnął nagle dłońmi po kolanach - głupstwo! Gdyby nawet, to cóż dziwnego? W każdym śledztwie pomaga zbieg okoliczności.

- Nie - zaprzeczył Pentham - nie w każdym. Przynajmniej nie w tym stopniu, co tutaj. Podniósł szklankę do ust i wolno pił whisky. - Wie pan, inspektorze, dam panu dwa tematy do rozmyślań. Pierwszy: do czego może służyć igła patefonowa na polowaniu?

Mallone wytrzeszczył oczy.

- Igła patefonowa? - powtórzył osłupiały.

- Tak, zwyczajna mała igielka. I drugi: czy łatwiej znaleźć igłę w stogu siana, czy też w zaspie śnieżnej?

Na pozór Pentham zajęty był bez reszty obserwacją złocistego płynu w stojącej przed nim

szklance. Zdołał jednak zauważyć niezwykle cień, który przemknął przez twarz Mallone'a.

- Igła w stogu siana? - stęknął Mallone, bezskutecznie usiłując złapać sens rzuconego przed chwilą zdania - Co pan ma na myśli, pułkowniku?

- Tylko to, co powiedziałem. Mallone się rozłościł.

- Chce pan ze mnie zrobić wariata, he? - warknął.

- Ależ broń Boże - zaprzeczył z rozbrajającą uprzejmością Pentham - nigdy nie powtarzam tego, co już zostało zrobione.

Mallone sapał, rozmyślając nad ukrytym znaczeniem tej odpowiedzi. Gdy wreszcie zrozumiał, było już dawno po kolacji i zbyt późno na doraźne reagowanie.

Poczekaj - zacisnął mściwie pięści. Jeszcze przyjdiesz na moje podwórko. Co się odwlecze... Za narkotyzowanie policjanta na służbie też można ładnie posiedzieć.

Pentham długo nie mógł zasnąć tej nocy. Ssąc zapamiętałe cybuszek od dawna wygasłej fajki, zastanawiał się nad rozwiązaniem zagadki, którą rzucił Mallone'owi przy stole. Pomimo wysiłków nie potrafił jednak znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytanie. Gdy wreszcie zasnął, szarość przedświt zaczął przesączać się przez zamarzniete szyby.

## XV. CZYSTA WODA

Konstabl Drews obudził się z piekielnym bólem głowy. Czuł się jak po tęgiej pijatyce. Przesunął zdumionym spojrzeniem po białe lakierowanych ścianach. Szpital? Chyba jednak szpital. Pachniało karbolem. Z trudem zbierał myśli. Skąd się tu wziął? Zaraz, jak to było? Żeby nie ten szum przewalający się pod czaszką! Drews lubił systematycznie układać przeżycia. Delegowano go do Blackshirre?... Tak... A potem?...

- O! - poderwał się gwałtownie, siadając na łóżku - ładna historia! Szklanka whisky w zimnym korytarzu... no naturalnie alkohol na czczo... wzięło go niewątpliwie. A potem już pod gazem łykał pewno szklankę za szklanką, nie zdając sobie sprawy, co robi. Rezultat: upił się do nieprzytomności, aż musiano go odwieźć do szpitala. Na czoło wystąpiły mu wielkie krople zimnego potu. Pijaństwo na służbie? I do tego pod okiem inspektora Mallone'a. Szkoda gadać. Zrobiło mu się słabo. Dziesięć lat nienagannej służby... nadzieja na awans... wszystko diabli biorą za jednym zamachem! Dobrze, jeżeli jeszcze wszystko się skończy na wyrzuceniu ze służby. Zacisnął w bezsilnej rozpaczycie pięści. Pod palcami prawej ręki coś zaszeleściło.

Co znowu? Zdumiony podniósł do oczu skrawek papieru.

„Piliście tylko czystą wodę! Analiza nic nie wykaże. Tak samo badanie lekarskie. Z nikim nie rozmawialiście. W czasie służby w armii kolonialnej miewaliście napady śpiączki. List zniszczyć”.

Przeczytał po raz drugi, nie rozumiejąc ani słowa. Potem powoli zaczęło mu się rozjaśniać w

głowie. Aha... więc to tak? Nabrał nieco otuchy. Może rzeczywiście ktoś sprzątnął szklanekę po whisky? Kto? Mniejsza o to. Ten właśnie, co pisał list. Pentham. Pal go sześć. Nie ma innego wyjścia, trzeba słuchać. Każde niepotrzebne słowo może drogo kosztować. Zaczął systematycznie drzeć list na drobne kawałeczki. Tak czy inaczej nie zaszkodzi spróbować. Zaczął się rozglądać po pokoju, bezskutecznie poszukując bezpiecznego miejsca na ukrycie strzępów papieru. W końcu, nie widząc innego sposobu, zdecydował się list zjeść. Zaczął przeżuwać strzępki cienkiego papieru.

Odpowiednia zakąska do tej nieszczęsnej szklaneczki - pomyślał z humorem, dławiąc się nieco przy przełykaniu - Uff - poszło. A jednak ta woda tak absolutnie czysta nie była - pomyślał.

Wyciągnął się na łóżku.

Teraz może sobie przychodzić stu inspektorów Mallone'ów - myślał leniwie...

Inspektor Mallone właśnie wyklócał się z kierownikiem laboratorium szpitalnego.

- Przecież prosiłem pana o natychmiastowe przysłanie mi wyników analizy - przecierał brudną chustką okulary, zamazując szkła jeszcze bardziej - a pan...

Doktor Snowby rozłożył bezradnie ręce. - Trudno, miałem ważniejszą pracę...

- Ważniejszą? - inspektor zmarszczył groźnie brwi - nie ma ważniejszych od tych, które zostały zlecone przez władze wymiaru sprawiedliwości. Tu chodzi o przestępstwo popełnione na członku policji, a pan mi opowiada jakieś swoje historyjki. To jest niedopuszczalne! Ja potrafię wyciągnąć odpowiednie konsekwencje, nie może być ważniejszych spraw! Rozumie pan, doktorze? - Zaczynało go ponosić rozdrażnienie. Piskliwy głos chwilami podnosił niemal do krzyku.

Doktor Snowby spojrział na niego jak na jakiś dotychczas nie spotykany okaz.

- Czyżby? - zapytał z powątpiewaniem - pozwolę sobie być na ten temat nieco odmiennego zdania.

- Co? - inspektor nagle poczerwieniał - ja... ja... pana...

- Nic mnie pan - przerwał ostro doktor - przeciwnie. Jeżeli pan nie zacznie się zachowywać przyzwoicie, wyproszę pana po prostu z laboratorium. Dla mnie praca, od wyniku której zależy bezpośrednio życie ludzkie, jest ważniejsza niż każda inna.

Inspektor nagle ochłonął. Znowu niepotrzebnie dał się ponieść nerwom.

- Przepraszam - wymamrotał z przymusem - ale powinien pan sam zrozumieć, że...

Doktor machnął ręką, przerywając dalsze słowa tłumaczenia.

- Rozumiem. Zawsze rozumiem, o ile mi tylko ktoś nie wrzeszczy nad uchem. Niech pan siada, inspektorze - podsunął mu obity białą ceratą stołek. - Zresztą nie ma pan powodu do zdenerwowania. Analiza nadesłanego płynu została już wykonana.



Mallone przysiadł niecierpliwie na brzeżku.

- I co?

Doktor wzruszył ramionami.

- H<sub>2</sub>O i ani cienia czegoś poza tym.

- Aż dwa o? - Wzór chemiczny nic inspektorowi nie mówił. - Czy to narkotyk?

Doktor spojrział nań z niedowierzaniem. Czegoś podobnego jednak się nie spodziewał.

- Czysta woda - wyjaśnił, tłumiąc mimowolny uśmiech. Inspektora znowu zaczynało ponosić. Dla uspokojenia nerwów zdjął binokle, przetarł je starannie i znowu umieścił na nosie.

- Wiem, że czysta woda - sapnął, hamując z wysiłkiem rozdrażnienie - Sam wahałem i próbowałem płynu w szklance. Ale coście wykryli w tej wodzie?

- Nic, absolutnie nic.

Inspektor poruszył się niespokojnie. Tracił cierpliwość.

- Przecież sam pan przed chwilą powiedział, że w tej wodzie ustaliliście obecność tego ha dwa o, czy jak mu tam? - A teraz znowu twierdzi pan, że w wodzie nic nie było? Snowby obrzucił gościa badawczym spojrzeniem. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, by inspektor z kwatery głównej był naprawdę do tego stopnia ignorantem.

- No - nastawał inspektor - więc jak? Nagle lekarz parsknął śmiechem.

- Więc pan to poważnie? - zapytał, śmiejąc się dalej. Inspektor obserwował go ze wzrastającym wzburzeniem.

- Czy wreszcie doczekam się odpowiedzi? - zapytał z podejrzaną słodyczą, gdy doktor zdołał jako tako powstrzymać dziwną wesołość.

- Tak... przepraszam... oczywiście. Otóż wzór chemiczny H<sub>2</sub>O oznacza zwykłą wodę.

Inspektor spurpurowiał.

- Taką do picia? - bąknął.

- Do mycia również. Mallone pokręcił głową.

- No... patrzcie... kto by się spodziewał? - mruknął z udanym lekceważeniem. - Nie jestem bardzo mocny w chemii - dodał niedbale.

- Tak - potwierdził bez żenady Snowby - bardzo mocny to pan nie jest rzeczywiście,

inspektorze.

- Daję sobie jednak radę w życiu - Mallone usiłował ratować resztki utraconego prestiżu.

- Cóż - uśmiechnął się lekarz - bez znajomości chemii żyć też jakoś można.

Mallone wsunął ręce do kieszeni marynarki.

- Więc z ekspertyzy nic? Chłop uśpiony na amen, a wy, że tylko czysta woda. Nie widziałem jeszcze człowieka, którego by można uśpić wodą...

- Ja także nie.

- Więc sami widzicie, na co się zdała wasza znajomość chemii. Psu na budę i tyle - oświadczył zjadliwie, wstając. Snowby go powstrzymał.

- Chwileczkę inspektorze. Bo jednak analiza dała pewne wyniki. Mallone usiadł gwałtownie.

Znowu zaczyna? Patrzył podejrzliwie na lekarza, zastanawiając się, jaką taktykę obrać, by wyjść z całej tej historii z godnością.

- Słucham - powiedział ostrożnie.

- Poza analizą hm... płynu ze szklanki, robiliśmy choremu...

- Choremu?

- No, Drewsowi, analizę krwi, by zbadać przyczynę nienaturalnego snu. Otóż badanie to wykazało obecność pewnych składników.

Mallone ożywił się. Więc jednak...

- Narkotyk? - zapytał pośpiesznie. - Nie.

- Nadmiar alkoholu?

- Także nie. Pewne dane wskazują na gorączkę tropikalną.

- Tropikalną? Na taki mróz? - Wyrwało się Mallone'owi nieopatrzne pytanie. Wystarczyło jednak spojrzenie lekarza, by zrozumiał, że znowu popełnił gafę. Umilkł.

- Nie - oczywiście... ja tylko tak... bo niby skąd u nas gorączka tropikalna? - bąkał.

- Może Drews przebywał niegdyś w koloniach afrykańskich?

Mallone wzruszył ramionami.

- Mało prawdopodobne. Czy nie można by go przesłuchać?

Snowby pokiwał niezdecydowanie głową.

- Czy ja wiem? Jeżeli się już obudził, właściwie nie byłoby przeszkód. Jestem jednak przeciwny, by go budzić.

Drews był zupełnie rzeński. Na widok wchodzących zrobił bardzo senną minę.

- Och - jęknął żałośnie - głowa mi pęka - był przekonany, że medycyna jeszcze nie wynalazła sposobu, by sprawdzić prawdziwość tego rodzaju twierdzeń.

- Bardzo was boli? - spytał troskliwie doktor.

- Ale możecie odpowiadać na pytania? Drews przymknął powieki.

- Jeżeli tego wymaga dobro służby - oświadczył słabym głosem. - Zbolały wyraz twarzy podkreślał wielkość ofiary, jaką był gotów ponieść.

- *Ali right* - inspektor przysunął sobie krzeselko - opowiedzcie więc, jak to było wczoraj wieczorem?

- Właściwie nie mam nic do opowiadania... Siedziałem, jak mi pan inspektor rozkazał, na fotelu przed drzwiami sir Gordona. Nagle zrobiło mi się tak jakoś dziwnie... więcej nie pamiętam.

- Dziwnie? - powtórzył inspektor - Co to znaczy? Może słabo?

Drews nie bardzo wiedział, jakie objawy poprzedzają atak śpiączki. Dla pewności postanowił powstrzymać się od wszelkich bardziej konkretnych szczegółów.

- Czy ja wiem... - głos policjanta wyraźnie omdlewał - tak jakoś... nie... nie potrafię tego określić.

- Hm... - mruknął inspektor - a czy przypadkiem nie piliście czegoś przedtem?

- Zaraz... niech sobie... przypomnę... Och - jęknął nagle rozdzierająco - jak mnie ten łeb boli!

- Może przerwiemy badanie, inspektorze? - zaniepokoił się doktor.

Drews podniósł z demonstracyjnym wysiłkiem rękę.

- Nie... - wolał zresztą zbyć ten cały kłopot od razu. Później nie można będzie powoływać się w krytycznym momencie na ból głowy, bądź nagłe osłabienie - chwileczkę... niech tylko zbiorę myśli. Pan inspektor, pytał o coś?

- Czyście coś pili? - powtórzył łagodnie inspektor.

- Tak... teraz sobie przypominam... piłem łyk wody...

- Wody? - we wzroku inspektora zamigotało wyraźne niedowierzenie. Oświadczenie doktora Snowby'ego nie przekonało go ani trochę. Co się tam taki nowoupieczony chemik może znać na solidnej siwusze zaprawionej narkotykiem?

- Panie inspektorze! - w głosie Drewsa brzmiało święte oburzenie - nie ma pan chyba na myśli alkoholu? Przecież byłem wtedy na służbie!

- Uhum... no tak... oczywiście... - mruknął uspokajająco Mallone - nie podniecajcie się. Ja tylko tak... A czy przed zaśnięciem rozmawialiście może z kim?

- Skądże znowu - zaprzeczył - zgodnie z rozkazem, nie dopuściłbym do siebie nikogo na odległość pięciu jardów.

- Czy przebywaliście kiedyś w koloniach? - wtrącił pytanie lekarz.

- W koloniach? - zdziwienie Drewsa wypadło zupełnie naturalnie. - Tak. Odbywałem służbę wojskową w sto pierwszym kolonialnym na Pehnrynie.

- Kiedy?

- O... kawał czasu. W trzydziestym piątym. Dwa lata siedziałem w tym piekielnym piecu.

- Chorowaliście tam na coś?

- Ttak... doktorzy mówili, że to początki śpiączki.

- Śpiączki? - powtórzył lekarz, rzucając znaczące spojrzenie w kierunku inspektora - hm... tak.

## **XVI. NIEZISZCZONA PRZEPOWIEDNIA INSPEKTORA MALLONE'A**

Konstabl Smuts był wyraźnie zaaferowany.

- Ależ z całą pewnością, panie inspektorze, słyszałem, jak sir Gordon z kimś rozmawiał.

Mallone wzruszył z niedowierzaniem ramionami.

- Wydawało się wam chyba.

- Na pewno nie.

Inspektor sięgnął do kieszeni. Klucz od pokoju był na swoim miejscu. Słowa Smutsa tchnęły jednak takim przekonaniem, że zaczynały go opanowywać wątpliwości. A może policjant zszedł ze swego posterunku? Na wszelki wypadek wolał sprawdzić. Policjant jednak tkwił na miejscu jak mur. Szttywno wyprostowany złożył raport. Nie. Nie oddalał się ani o krok. Nie zauważył niczego podejrzanego. Inspektor wrócił na górę.

- Bzdury. Człowiek zamknięty na klucz i obstawiony ze wszystkich stron. Mysz by się nie przemknęła. Z kim miałyby zresztą rozmawiać? Po prostu przesłyszeliście się. Może rozmawiano na dole? Wiecie, w starych domach akustyka potrafi niekiedy wyczyniać cuda - dodał pouczająco.

Smuts nie miał jednak zamiaru ustępować. Słyszał rozmowę i za pozwoleniem pana inspektora ma uszy nie od parady.

- A może pan inspektor sam zechce posłuchać przez chwilę? - zaproponował.

Mallone zastanowił się. Propozycja nie była głupia. Bo jeżeli coś naprawdę...

- Chodźmy, tylko nie stukajcie jak słoń. Wymijając z całą ostrożnością obluzowane kwadraty parkietu, podkradł się cichutko pod same drzwi.

Mallone przytknął ucho do dziurki od klucza.

Aż drgnął. Rzeczywiście sir Gordon z kimś rozmawiał. Niewyraźny szept przenikał przez drzwi.

Co u licha? - inspektor wyprostował się gwałtownie. - No tym razem, złapię tego ktosia!

Włożenie klucza do zamka udało się niemal bezszelestnie. Dopiero przy przekręcaniu szczęknęła sprężyna. W pokoju zapadła nagle cisza. Mallone gwałtownym ruchem szarpnął drzwi.

- Stać! Ręce do góry!

Wycelował lufę rewolweru na pokój. Sir Gordon wstał z krzesła, unosząc ramiona. Wzrok skierowany na inspektora wyrażał bezmiar zdumienia.

- Co się stało? - zapytał.

Rewolwer zwisał bezwładnie lufą do ziemi. W pokoju poza Gordonem nie było nikogo. Inspektor przypadł bez słowa wyjaśnienia do ziemi, zaglądając pod łóżko. Pod łóżkiem sterczały jednak tylko buty. Wstał, posapując.

- Gdzie się schował? Sir Gordon opuścił ręce.

- Kto? - nie przestawał się dziwić.

- No, niech pan nie udaje - warknął szorstko - ten, kto z panem przed chwilą rozmawiał!

Sir Gordon zdumiał się jeszcze bardziej.

- Ze mną ktoś rozmawiał? - powtórzył.

- Tak - prawie wrzasnął. - Rozmawiał! Nie tylko ja słyszałem tę rozmowę. Smuts również. Nie uda się panu wmówić nam, że to zbiorowa halucynacja.

- Ach... teraz zaczynam rozumieć, o co chodzi. To nie halucynacja, tylko małe nieporozumienie. Nuciłem sobie trochę. Z nudów.

- Co? - inspektor patrzył na Gordona, jakby go dopiero po raz pierwszy w życiu zobaczył. - Myśli pan, że mnie nabierze? Bzdury! Swoimi piosenkami może pan zawracać głowę komuś głupszemu. - Mallone robił wrażenie, jakby za chwilę wściekłość miała go rozsadzić. Wciąż trzymał w ręku rewolwer. - Gadaj pan natychmiast, gdzie ten osobnik się znajduje?

Sir Gordon wzruszył bezradnie ramionami.

- Cóż - zakreślił ruchem ręki koło - skoro mi pan nie wierzy, proszę szukać.

- Gdzie? - inspektor rozejrzał się bacznie. - O! - wzrok jego zatrzymał się na szafie. W tej wmurowanej wnęce mogło się ukryć kilku ludzi. Podniósł znowu rewolwer.

- Wychodzić, bo strzelam - szarpnął drzwiczkami. W szafie jednak panowała cisza.

- No? - zajrzał do wnętrza, obmacując z osobna każde wiszące ubranie. Niespodziewanie w korytarzu trzasnęła podłoga, a potem rozległ się głos Penthama:

- Małeńkie polowanie na duchy, jeśli się nie mylę? Stał tuż za progiem, patrząc rozbawionym wzrokiem na scenę rozgrywającą się w pokoju. Mallone odwrócił się na pięcie. Rozpierzająca go wściekłość szukała ujścia.

- Proszę natychmiast wyjść! - krzyknął.

- O - Pentham wsadził cybuszek fajki między zęby - skąd? Przecież nigdzie jak dotychczas nie wszedłem.

- Wyjść, bo... - inspektor przestał zupełnie panować nad sobą.

Pentham ani drgnął.

- Bo co? - niech pan sobie ulży inspektorze. Chce pan kropnąć ze swego smitha? Proszę się nie krępować. Nie grozi panu żaden odwet z mojej strony. Jak pan widzi, poza fajką nie posiadam żadnej innej groźnej broni.

Mallone opuścił rewolwer. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze chwila i byłby zdolny pociągnąć za cyngiel.

- Nie wolno porozumiewać się z zatrzymanym - rzucił groźnie zdławionym wściekłością głosem.

- A czy, broń Boże, zauważył pan jakiegokolwiek usiłowania w tym kierunku z mojej strony? - zapytał Pentham.

Mallone odsapnął. Zdołał się już jako tako opanować.

- Po co pan tu przyszedł?

- Jak to po co? - z fajki Penthama wzbił się gęsty kłęb dymu - przecież to jedyna w swoim rodzaju okazja być świadkiem, jak perła Scotland Yardu poluje z rewolwerem w rękę na jakieś niewidzialne istoty ukryte w kieszeniach kamizelki.

Mallone zgarbił się i wyszedł ciężkim krokiem z pokoju, zamykając za sobą starannie drzwi na klucz.

- Zamek podobno nie pomaga na duchy - zauważył Pentham. - Może by raczej użyć święconej wody?

Inspektor nie dał się jednak sprowokować.

- Zabraknie panu tematu do dowcipów, gdy wieczorem przewieziemy sir Gordona do więzienia - powiedział niemal zupełnie spokojnie.

- Oo... zaraz: przewieziemy. Taki pan jest tego pewny, inspektorze?

- Najzupełniej - Mallone wsunął rewolwer do kieszeni. - Po południu zapadnie werdykt przysięgłych, a wtedy...

- Ba - zauważył Pentham obojętnie - werdykt niewątpliwie zapadnie. Pytanie tylko jaki?

- Nie ma żadnego pytania. Przy tych dowodach możliwe jest tylko jedno orzeczenie.

- Wie pan co, inspektorze? Od pewnego czasu jakoś zupełnie straciłem zaufanie do pańskich przepowiedni.

- Ta się sprawdzi na pewno.

- Nawet w to nie wierzę. Na przykład teraz mam zamiar zatelefonować do Londynu.

Mallone wydał lekceważąco wargi.

- Oczywiście do sir Drake'a?

- Tym razem jasnowidztwo pana nie zawiodło - potwierdził - właśnie do niego.

- Bezcelowe - orzekł inspektor lekceważąco. - Porozumiałem się z nim co do wszystkich szczegółów sprawy.

- Zobaczymy. Chce pan posłuchać rozmowy? Mallone ożywił się.

- Jeżeli pan tylko pozwoli, pułkowniku?

- Co mi z tego przyjdzie, jeżeli zabronię? - zapytał Pentham. - I tak będzie pan podsłuchiwał.

Wolę już postawić sprawę jasno.

Mallone nie przepuścił ani jednego słowa z rozmowy telefonicznej. Pytanie, jaki interes może mieć w tym stanie sprawy Pentham do naczelnika Scotland Yardu, nie dawało mu spokoju.

Rozmowa zresztą trwała dosyć długo.

Pentham widocznie przewidział to z góry, gdyż rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Henry? Tak, to ja, Pentham. Wybacz, że cię jednak niepokoję... nie, nie chodzi mi o widzenie się z sir Gordonem... obejdę się jakoś... tylko dla dobra śledztwa... nie, ja go przynajmniej jeszcze nie uważam za skończone... Natrafiłem na pewien ślad. Naprawdę... Nie wiem, czy doprowadzi mnie do czegoś... robi jednak wrażenie całkiem poważne... Trzeba koniecznie odroczyć werdykt... Ależ tak... Zrób to nie tyle dla mnie, co dla dobra wymiaru sprawiedliwości. No czy ja wiem?... może na jakiś najwyżej tydzień... Za długo? Niech będzie ostatecznie pięć dni. Przecież to w żadnym wypadku nie może zaszkodzić śledztwu. Raczej przeciwnie... Miałbyś wyrzuty sumienia, gdybym w końcu doszedł do czegoś konkretnego, a byłoby już za późno... Sam przecież rozumiesz, co znaczyłoby dla Gordona osadzenie w więzieniu i werdykt stawiający go w stan oskarżenia... Nie tylko zresztą dla niego... Dobrze? Bardzo dziękuję... Może kiedyś sam mi będziesz wdzięczny za to... Akurat jest tu na miejscu inspektor Mallone... Zaraz ci go damę do telefonu. Bywaj. Za chwilę jeszcze raz do ciebie zatelefonuję.

- Idę przepchać fajkę - zapchała mi się na amen - oświadczył inspektorowi. - Zaraz wracam. Będę jeszcze rozmawiał z sir Drake'iem.

Mallone ujął słuchawkę i wysłuchał padających z Londynu słów, nie wierząc własnym uszom. Sir Drake zgadza się na odroczenie werdyktu, mając w ręku tego rodzaju dowody?

Rozkaz był wyraźny. Nie on brał odpowiedzialność za postawienie wniosku. W rezultacie jedno stanowiło niezaprzeczalną prawdę. Śledztwu odroczenie żadną miarą zaszkodzić nie mogło. Właściwie Mallone'owi również. Diety płyną, a wydatki żadne. Gdyby jeszcze nie było tego Penthama na karku z jego wiecznymi kpinami, życie w Blackshirre układało by się całkiem znośnie. Oczekując na powrót Penthama, zapadł się w wygodnym fotelu i zapalił cygaro. Jak długo każe na siebie czekać? Czy przypadkiem nie jakiś nowy kawał? Miał już wychodzić, gdy Pentham wreszcie powrócił.

- Wie pan co, inspektorze? Rozmyśliłem się. Nie będę już dziś telefonował do sir Drake'a. Może zadzwonię raczej jutro.

Mallone czuł przez skórę, że coś się kryje za tą całą historią. Nie mógł tylko zrozumieć, co by to mogło być. Zrozumiał znacznie później, gdy szukając jakiegoś dokumentu sięgnął do zamkniętej na dwa spusty szuflady biurka. Ledwo widoczne poprzekładanie papierów świadczyło, że ktoś tu czegoś w czasie jego nieobecności szukał.

- List? - pomyślał z niepokojem. Ale list leżał na miejscu. Natomiast zniknęła koperta. Nie zmartwiło go to zbytnio. Skoro Gordon nie zaprzecza autentyczności listu, a trzy osoby mogą zeznać



pod przysięgą, że list ten był adresowany przez Gordona do Harrisona - koperta właściwie nie miała większego znaczenia. Zastanawiał się tylko, do czego ktoś mógł jej tak bardzo potrzebować, że zaryzykował włamanie. W chwilę potem pukał do pokoju Penthama. Minę miał całkiem ugodową. Pentham rozmyślał nad czymś, otaczając się kłębamii ostrego dymu.

- Co się znowu stało, inspektorze?

Podsunał mu krzesło. Po sposobie, w jaki Mallone usiadł, widać było, że zamierza przeprowadzić dłuższą pogawędkę.

- Ktoś mi przetrząsnął zamkniętą szufladę biurka i skradł kopertę od listu - stwierdził melancholijnie. Pentham pokiwał głową z ubolewaniem.

- Duchy, kochany inspektorze, na pewno duchy. Uprzedzałem pana przecież, że na takie nadprzyrodzone istoty żadne zamki nie pomagają. Trzeba było użyć święconej wody, jak radziłem.

Inspektor mrugnął porozumiewawczo okiem.

- Niestety na niektóre diabły nawet święcona woda nie pomaga. Chciałbym wiedzieć, na co temu diabłu była potrzebna koperta?

- Dowie się pan w swoim czasie, inspektorze. To jest chciałem powiedzieć: przypuszczam, że się pan dowie - poprawił.

- Pułkowniku - odezwał się Mallone - mam do pana pewną prośbę.

- Oho - roześmiał się Pentham - jak widzę, wszyscy tu wszystkich o coś prosimy i jak dotychczas niewiele z tego wychodzi. Słucham jednak?

- Niech mi pan odpowie, ale prosto i uczciwie, bez żadnych kpín, czy pan naprawdę natrafił na jakiś ślad w tej sprawie? Mam tu oczywiście na myśli ślad, który by był sprzeczny z dotychczasowymi wynikami.

Pentham zamyślił się.

- Widzi pan - odpowiedź na to pytanie nie jest tak łatwa, jakby się mogło wydawać. Natrafiłem na coś, co w moim przekonaniu jest śladem. I to dosyć poważnym. Czy jednak jest nim w istocie, to się dopiero okaże. Ale już teraz pewne oznaki, o których niestety nie mogę nic powiedzieć, zdają się wskazywać, że mam rację.

- Ttak. A czy może mi pan powiedzieć również, co jest tym śladem?

- Owszem. Zresztą już panu powiedziałem. Jest to maleńka, pogięta i nieco zardzewiała igła patefonowa.

- Więc to nie były kpiny?

- Broń Boże. Ten mały kawałek stalowego drutu może się okazać czymś bardzo istotnym. Czymś, co w pewnych warunkach będzie mogło zadecydować o życiu i śmierci co najmniej dwóch ludzi. A kto wie, czy nawet nie więcej - dorzucił w zamyśleniu. - I dlatego właśnie z czystym sumieniem prosiłem sir Drake'a o odroczenie werdyktu. Dał mi pięć dni czasu. Pięć dni to oczywiście bardzo niewiele. Ale coś mi mówi, że w tym czasie zajdą rozmaite okoliczności, które radykalnie odwrócą sytuację.

- Pomimo tak niezbitych dowodów, jakie mamy?

- Właśnie dlatego, że te dowody są tak niezbite.

Ale tego już inspektor nie mógł zrozumieć w żaden sposób.

## **XVII. PRASA W NIEŁASCE**

Wielka sala gospody „Pod Królem Arturem” przybrała niezwykły wygląd. Długi stół pokryty zielonym sukniem ustawiono pod jaskrawym malowidłem mającym przedstawiać rycerza w opuszczonej przyłbicy. Stożące rzędami krzesła oddzielono od reszty sali naprędce skonstruowaną balustradą.

Gospoda była największym lokalem w miasteczku, miejscowe zaś władze uznały, że nie należy pozbawiać obywateli możliwości uczestniczenia w sensacyjnym widowisku. Społeczeństwo w pełni doceniło troskliwość zwierzchności. Sala była zatłoczona. Sędzia Paine rozkoszował się każdym słowem przewodu sądowego. Nie często zdarzała się mu tak sensacyjna sprawa. Sensacyjna ze względu na swój charakter i ze względu na osoby biorące w niej udział. Co tu dużo gadać: prowincjonalna rewia wielkiego świata stolicy. Puciołowata twarz sędziego promieniała niezbyt maskowanym rozradowaniem. Przysięgli puszyli się na swych ławach, spoglądając z wyższością na szarą publiczność. Kilkunastu specjalnie przybyłych z Londynu dziennikarzy skrzętnie notowało przebieg procesu. Ostatni zeznawał inspektor Mallone. Zeznanie jego sprawiło słuchaczom przykry zawód. Odmierzał oszczędnie słowa, jakby każde z nich cenił na wagę złota. Odnosiło się wrażenie, że działał w nim jakiś wewnętrzny hamulec.

- I do jakiego doszedł pan wniosku, inspektorze, na podstawie przeprowadzonego dochodzenia?  
- rzucił końcowe pytanie sędzia. Tu nastąpiła nieoczekiwana sensacja. Inspektor przestąpił z nogi na nogę i mruknął ledwo dosłyszalnym głosem.

- Hm... właściwie śledztwo wymaga jeszcze pewnych uzupełnień...

Na okrągłej twarzy Paina pojawił się wyraz bezbrzeżnego zdumienia.

- Śledztwo wymaga uzupełnień? - powtórzył, jakby nie dowierzając własnym uszom. Inspektor przełknął ślinę. Z trudem hamował wściekłość. Wystawiał się na durnia przed tą chmurą stołecznych pismaków. Nie zostawią na nim suchej nitki. Trudno, rozkaz sir Drake'a brzmiał wyraźnie. Nie było rady.

- Tak - bąknął, nie patrząc w kierunku publiczności.

- Uważam, że werdykt powinien być odroczoney.

Na sali zawrzało. Jak to? Pomimo takich dowodów? Przed chwilą wszyscy jak jeden mąż byli pewni treści werdyktu. Reporterzy układali już sążniste tytuły: „Kto ponosi winę za przeciąganie śledztwa?!”, „Czy nie czas przypadkiem przewietrzyć kadry naszej policji?!...”

Sędzia Paine ledwo dostrzegalnym ruchem wzruszył ramionami.

- Pański wniosek? - spojrzał na przedstawiciela miejscowej policji.

Ten skłonił się sztywno przejęty ważnością odgrywanej roli.

- Wobec tego, że śledztwo wymaga uzupełnień... Inspektor Mallone wracał w fatalnym humorze. Diabli

przynieśli tych szczekaczy. Przy lada okazji zlatują się jak sępy na padlinę. Mało mają tematów na miejscu? Obsmarują go na pewno. Właściwie trudno im tym razem odmówić racji. Co tu jeszcze uzupełniać? A wszystko przez tego przekłętego Penthama. Trafił na ślad - sarknął - ładny ślad. Igła patefonowa! Niech sobie ją wsadzi do... Wizyta Yardleya wypadła więc w nader niefortunnym momencie. Na widok reportera szczęki Mallone'a zacisnęły się złowieszczo. Yardley jednak nie miał zwyczaju zrażać się drobiazgami.

- Jakże się cieszę, kochany inspektorze - podszedł, wyciągając obie ręce...

Inspektor ledwo dotknął dłoni reportera.

- Cieszy się pan? - zapytał zjadliwie - a niby z czego, jeżeli można zapytać?

- Jak to? - twarz reportera niezmiennie promieniała.

- Z tego, że pana znowu widzę.

- Niewiele panu widocznie potrzeba do szczęścia.

Yardley zdawał się nie dostrzegać tonu inspektora.

- I że znowu będziemy pracować razem - dokończył. - Może cygarko?

Inspektor spojrzał na złoconą opaskę i przyjął pełnym łaskawości ruchem drogie cygaro. Ale wonny dym hawany bynajmniej nie wpłynął na jego zły humor.

- I któż panu powiedział - zaciągnął się - że będziemy razem pracować?

Yardley przysiadł na poręczy fotela.

- To się przecież rozumie samo przez się. Czyż nie pamięta pan już naszej zgodnej współpracy w Gordons Hill? Toteż gdy tylko się dowiedziałem, że pan prowadzi śledztwo...

Przypomnienie roli reportera w Gordons Hill przeważało do reszty szalę uczuć Mallone'a.

- Zgodna współpraca - sarknął - owszem pamiętam. Jakżeż mógłbym zapomnieć, że przez pana o mało nie skręciłem wtedy ostatecznie karku? - Wyprostował się, wsuwając ręce w kieszenie munduru - Panie Yardley - wycedził - może pan mnie obsmarować w tym swoim przeklętym „Megaphonie”...

- Nie współpracuję z „Megaphonem” - zaprotestował pośpiesznie reporter.

Mallone spojrzał na niego przeciągle.

- Rzeczywiście? To dziwne. Bo swego czasu otrzymałem nie budzący wątpliwości raport, że jest wprost przeciwnie. Podobno, stanowi pan jeden z głównych filarów tego... hm... poczytnego pisma.

Yardley machnął lekceważąco ręką.

- Przesada inspektorze. Jak Boga kocham, przesada. Może tam jakiś jeden, drugi przypadkowy artykułik...

- Mniejsza zresztą o to. W każdym razie musi pan zapamiętać sobie jedno: nie ma mowy o żadnej współpracy. Zrozumiał pan?

Yardley zeskoczył z fotela i podbiegł ku Mallone'owi.

- Ależ panie inspektorze...

- Nie - przeciął ostro - nie ma mowy. I niestety nie będę w stanie udzielić zezwolenia na pański pobyt w pałacu do czasu ukończenia śledztwa.

Perswazje nie odniosły żadnego skutku. Inspektor trwał w swym postanowieniu nieugięty jak skała.

- Trudno - rozłożył ręce - proszę mnie zrozumieć, tego wymaga dobro wymiaru sprawiedliwości - wygłosił pompatycznie. Yardley nie ustępował.

- Pan inspektor chyba nie docenia roli prasy...

- Nie doceniam? - głos inspektora stał się słodki jak miód. - Ależ ja ją po prostu przeceniam. Zresztą o co panu właściwie chodzi? Śledztwo jest niemal zamknięte. Z zebranymi dowodami miał pan możliwość zapoznać się w toku przewodu przed trybunałem przysięgłych. Cóż panu więcej potrzeba?

- Jednak...

- Czy nie uważa pan, że szkoda pańskiego cennego czasu? - zapytał ugrzecznionym tonem inspektor. - Ja wprawdzie mam znacznie mniej niż pan do roboty, ale w każdym razie... - urwał znacząco. Reporter jednak widocznie nie miał zamiaru rozumieć niedomówień. Mallone niedbałym ruchem głowy zamaskował ukłon.

- Bardzo mi było miło pana spotkać. Pozwolę sobie złożyć życzenia szczęśliwego powrotu do stolicy - odwrócił się, kierując się ku wyjściu. - Aha jeszcze jedno - rzucił przez ramię, zatrzymując się na progu - gdyby pan pomimo mego zakazu usiłował jednak zainstalować się na terenie pałacu, byłbym zmuszony sięgnąć do bardzo nieprzyjemnych środków przewidzianych przez prawo w takich wypadkach. Bardzo nieprzyjemnych, proszę mi wierzyć - powtórzył z pełnym groźby naciskiem.

Głośno trzasnęły drzwi. Yardley został sam w hallu. Kłapa - pomyślał ponuro - kompletna kłapa. Cygarko za dwanaście szylingów to owszem - a później fora ze dwora? Znalazł się kombinator. Ażeby go wszyscy diabli... Ażeby... - mełł w zębach coraz okropniejsze życzenia. Nie przestawał kłąć, wlokąc się z rezygnacją drogą prowadzącą do miasteczka.

- Hallo, redaktorze!

Przystanął, patrząc ze zdumieniem na człowieka, który zdawał się być całkowicie zaabsorbowany oglądaniem czubka ośnieżonej sosny.

- Ooo! - poznał wreszcie. To pan pułkownik także tutaj?

Pentham potwierdził z nijakim uśmiechem.

- Widocznie los zrządził, by Blackshirre stało się miejscem spotkania starych znajomych z Gordons Hill.

Yardley osowiał.

- Ba - potrząsnął ponuro głową - nie dla wszystkich.

- Nie ma pan zamiaru zostać w pałacu?

- Czy ja nie mam zamiaru? - powtórzył z goryczą Yardley. - Ależ wręcz przeciwnie. Po to przecież przyjechałem do tej zapadłej dziury.

- Więc?

Yardley wzruszył ramionami.

- Ten dureń Mallone przepędził mnie jak ostatniego włóczęgę.

- Nie dał się przebłagać? - kąciki ust Penthama drgnęły dziwnym uśmieszkiem.

- Gdzie tam. Zaczął się wygłupiać po swojemu. Zna go pan przecież... „Dobro śledztwa” i inne podobne bzdury. Ale ja go jeszcze urządzę...

- Czy jednak warto?

- Jak to? - Yardley był wyraźnie zaskoczony. - Przecież muszę odplacić za moje.

- Idzie pan do miasteczka?

- Tak. Trzeba gdzieś wsiąść do tego przeklętego pociągu.

- Odprowadzę pana kawałek - ściągnięte brwi pułkownika wskazywały, że nad czymś usilnie rozmyślał. - Czy musi pan zaraz wracać do Londynu? - zapytał wreszcie.

- Wcale nie muszę. Ale co mam tu robić? Rozstawić namiot pod krzakiem i obserwować pałacowe ogrodzenie. Trochę zbyt niska temperatura na tego rodzaju camping. Taki dureń jak ten cały Mallone gotów mnie naprawdę zamknąć, gdybym spróbował ulokować się gdzieś w pałacu. Po nim można się wszystkiego spodziewać...

- Tak - potwierdził obojętnie Pentham - naprawdę byłby zdolny to uczynić, ostatnio coś nie najlepiej ze stanem jego nerwów. - Znowu się zamyślił. Przeszli parę kroków w milczeniu.

- Wie pan co? - odezwał się po chwili - miałbym dla pana pewną propozycję...

Yardley aż przystanął.

- Propozycję? Po prostu przepadam za wszelkiego rodzaju propozycjami. Za wyjątkiem jednej jedynej, którą bym bardzo chętnie uczynił Mallone'owi.

Pentham uśmiechnął się mimo woli.

- Ta należy do trochę innego gatunku.

- Słucham z niecierpliwością. Pentham spoważniał.

- Muszę jednak pana uprzedzić, że przyjęcie jej może pana narazić na niebezpieczeństwo.

- Że Mallone mnie zamknie?

- Nie. Znacznie poważniejsze. Yardley ożywił się.

- Bardzo lubię poważne niebezpieczeństwa.

- Hm... mówiąc krótko, czy chciałby pan ze mną współpracować w sprawie Woodsona?

- Też pytanie! Palę się po prostu do tej sprawy - Ale... ale - w głosie jego zadźwięczało zdziwienie - To pan pomaga w prowadzeniu śledztwa Mallone'owi?

Rękawica Penthama wykonała nieokreślony gest w powietrzu.

- Trudno byłoby nazwać to pomocą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Raczej jeżeli już mam być

dokładny, znajdujemy się na dwóch przeciwnych biegunach.

- Bardzo przepraszam, pułkowniku - zmieszał się dziennikarz. - W tym całym zamieszaniu zapomniałem na śmierć o tym, co pana łączy z sir Gordonem. Oczywiście usiłuje pan dowieść jego niewinności?

- Coś w tym rodzaju.

- Wspaniale. Gdyby się udało, chwycilibyśmy pierwszorzędną sensację... Bo wszyscy są przekonani... Ale przy tego rodzaju dowodach, jakie dziś prezentowano przed sądem... - sposepniał nagle.

- Dowody są rzeczywiście nader przekonujące - potwierdził sucho Pentham - toteż bynajmniej pana nie namawiam. Tymczasem na sukces się nie zanoszą.

- Hm... - reporter zastanowił się - a niebezpieczeństwem, o którym pan wspomniał, pułkowniku, jest...?

- Śmierć - odpowiedział spokojnie Pentham. Yardley drgnął odruchowo.

- Śmierć - powtórzył jak echo - Ale chyba tylko w wypadku, gdyby pańskie hipotezy okazały się słuszne?

- Tak, tylko w tym wypadku. W przeciwnym razie, jedynym niebezpieczeństwem, które panu grozi jest bezproduktywna strata czasu.

- Jak długo? - zapytał rzeczowo reporter.

- Mam do dyspozycji tylko pięć dni.

- Słowem, z jednej strony ryzyko niebezpieczeństwa i nadzieja kolosalnego sukcesu - rozważał na głos Yardley - z drugiej zaś - żadnego niebezpieczeństwa i żadnego sukcesu. Cóż... biznes robi wrażenie skalkulowanego całkiem uczciwie. Przyjmuję - wyciągnął rękę.

- Chwileczkę - powstrzymał go Pentham - ze względu na specjalne okoliczności sprawy zmuszony jestem postawić jeden warunek.

- A mianowicie?

- Tymczasem poznał pan jedynie te fragmenty sprawy, nad którymi będzie pan osobiście pracował. Całość przedstawię panu dopiero wtedy, gdy poszczególne części łamigłówek będą gotowe do składania.

- Oo! - reporter zrobił zawiedzioną minę - czy to jest konieczne?

- Niestety, tak.

- Trudno, skoro, nie może być inaczej... *all right*... przyjmuję.

Rękawice obu mężczyzn zetknęły się z lekkim kłaśnięciem. Umowa została zawarta.

## **XVIII. *ID FECIT CUIPRODEST***

Jack Glowby, kierownik prywatnej agencji wywiadowczej „ARGUS”, był w kiepskim nastroju. Przed chwilą właśnie odmówił przyjęcia bardzo ciekawej sprawy. Odmówił, bo musiał. Po prostu nie miał komu powierzyć jej prowadzenia. W biurze panowała pustka. Ani jednego agenta w zapasie. A przecież zatrudniał ich aż sześciu. I to jeden w drugiego najlepsze siły wywiadu w całym Zjednoczonym Królestwie. Wybierał przeszło rok, zanim zdołał wreszcie skompletować zespół. A teraz kandydaci na klientów odchodzili z zawiedzionymi miniami. - Niestety, jesteśmy przeciążeni pracą - wyjaśniał z wymuszonym uśmiechem - może w przyszłym tygodniu. Wszyscy ludzie zajęci...

- Praca - sarknął, wykrzywiając gorzko wargi, gdy za klientem zamykały się obite skórą drzwi - cała ta praca funta kłaków nie warta. Pentham porządny chłop, ale te jego szalone pomysły...

Bo czyż można nazwać inaczej pomysł zaprzęgnięcia wszystkich bez wyjątku współpracowników agencji dla wyjaśnienia jednej tylko okoliczności: czy ktoś ostatnio poważnie grał na zniżkę Trustów Stalowego i Niklowego, a jeżeli tak, to kto mianowicie?

W dodatku choć agenci od dwóch dni uganiali się z wywieszonymi językami po całym mieście, niemal żadnych rezultatów nie było.

Niechętnie spojrział na stertę listów z dzisiejszej poczty. Wszystko oczywiście pilne. I wszystkim będzie zmuszony odmówić, powołując się na nadmiar prowadzonych spraw.

- Do diabła z taką robotą - zakonkludował ze złością - Cóż z tego, że Pentham płaci? Glowby pracował nie tylko dla pieniędzy. W każdą pracę wkładał zapal gończego ogara. I więcej cenił sukcesy od honorariów.

Niecierpliwie zaterkotał dzwonek telefonu.

- Znowu? - spojrział niechętnie na aparat. Telefonował naturalnie Pentham. Glowby przez trzy pełne minuty wylewał do słuchawki swoje żale.

- Jeżeli tak dalej pójdzie, nie pozostanie mi w końcu nic innego jak zamknąć budę na trzy spusty i poprzestać tylko na inkasowaniu czeków Stalowego Trustu.

Pentham wysłuchał cierpliwie. Znał dobrze Głowowego i wiedział, jak z nim należy postępować.

- A wynik? - zapytał, gdy agent wreszcie przerwał potok swych słów.

Glowby rzucił w słuchawkę niecenzuralne słowo.



- Nic? - w głosie Penthama dźwięczało nieukrywane rozczarowanie.

- Tyle co nic. Jakieś drobne transakcje dokonane przez rozmaitych zleceniodawców. Przecież ci nie o to chodzi?

- Nie. Szukam jednego zleceniodawcy i dużej transakcji. Musi chodzić o tysiące funtów. O sumę, dla której byłoby warto popełnić morderstwo. I coś jeszcze ponad to...

Glowby zagwizdał przez zęby. Nie był zorientowany, na co Penthamowi potrzebna jest poszukiwana informacja.

- Znaczy: sprawa większego kalibru?

- Bardzo dużego - potwierdził Pentham. - Poza tym ma zdecydować o życiu czy śmierci pewnej wysoko postawionej osobistości.

Glowby zamyślił się. Pentham nigdy nie miał zwyczaju przesadzania doniosłości zagadnień.

- Marnie - mruknął ponuro. - I cóż mam na to poradzić? Sam wiesz jak jest z tymi giełdźmiarzami. Łatwiej z kamienia wycisnąć wodę, niż zmusić takiego, by puścił farbę.

- Nie krępuj się pieniędzmi.

- Nie krępuję się. Agentom też to powiedziałem. Małe rybki na widok złotej przynęty śpiewały chętnie niestety same nic nie wiedzą. A dla dużych suwereny stanowią chleb powszedni. Nie - pokręcił głową, patrząc w zamyśleniu w czarny otwór mikrofonu - mam wrażenie, że normalnym sposobem nic nie wywęszymy. W słuchawce zapadła cisza.

- W takim razie użyj sposobów nienormalnych - odezwał się po chwili Pentham.

- Hm - a ewentualne konsekwencje? Membrana zatrzeszczała ironicznym śmiechem.

- Dostajesz gęziej skórki, Jack? Glowby zaczerwienił się lekko.

- No, na tym mnie nie złapiesz. Jutro będziesz miał wszystko bez względu na ewentualne skutki.

- Teraz cię poznaję. Więc załatwione?

- Rozumie się. - Glowby nagle poweselał - a nie zapomnij w razie czego o paczkach dla nieszczęśliwego skazańca... - odłożywszy słuchawkę, patrzył na nią przez chwilę w zamyśleniu. Przypomniał sobie czas, gdy pracowali z Penthamem w Intelligence. Rozmaite wtedy się robiło kawały. Że też ten człowiek nie może zrozumieć, że okres Wielkiej Gry pozostał już za nami. Sięgnął po nowe cygaro. Obejrzał je ze wszystkich stron i odłożył z powrotem do pudełka. Wyobraźnia zaczęła pracować. „Nienormalne sposoby”? Właściwie Pentham miał rację, w tym wypadku zastosowanie ich niewątpliwie było bardziej celowe.

Wstał z fotela, przeciągając barczystą postać. Zaśniedziało się przy tym biurku na amen -

skonstatował z przykrym zdziwieniem - każdy spacer w teren zaczyna robić wrażenie karkołomnej wyprawy. Sięgnął do szuflady, wydając płaski automatyczny pistolet. Może nie zaszkodzi trochę się przewietrzyć?

Anemiczne płomyki gazowych latarń bezskutecznie walczyły z mrokiem gęsto zalegającym ulice dzielnicy Whitechapel. Taksówka podskakiwała na wyboistej jezdni. Nagle szofer zahamował na jakimś rogu.

- Jeżeli to panu nie robi różnicy, sir - bąknął z wyraźnym wahaniem - wolałbym dalej nie jechać. - Wczoraj mojego kolegę przyniesiono właśnie z tej dzielnicy z nożem pod piątym żebrem. Glowby roześmiał się niefrasobliwie.

- Nie, nie robi mi żadnej różnicy... Wyszczerbione płyty chodnika zapadały w czarnych wnękach bram. Czyjeś zaczepne spojrzenie błysnęło spod nasuniętego na czoło kaszkietu. Ktoś przemknął z podejrzanym pośpiechem za róg najbliższej przecznicy.

Glowby oddychał pełną piersią. Ani razu nie dotknął rękojeści tkwiącego w kieszeni płaszcza rewolweru. Przypomniały mu się dawne czasy.

Zabrzęczały źle osadzone szybki w odrapanych drzwiach. W nozdrza uderzyła dusząca fala zatechłych zapachów. Nad obitym blachą kontuarem lśniła kroplami potu nalana tłuszcem twarz bodaj jeszcze bardziej okrągła niż przed laty. Spod nastroszonych brwi ostro uderzyły rozbiegane oczy.

Glowby bez wahania ruszył w głąb natłoczonej sali zręcznie, lawirując pomiędzy stolikami. Jakiś nie golony od tygodni jegomość schował nerwowym ruchem twarz w podniesiony kołnierz wytartego palta.

Glowby dotarł do bufetu.

- Jest Gaston Francuz? - zapytał.

W niespokojnych oczkach barmana pojawiło się niezdecydowanie.

- Nowy łapacz, hę? - rzucił wyraźnie podniesionym głosem.

Glowby oparł łokcie o żelazną sztabę ochraniającą bufetową ladę. Zdawał się nie słyszeć niepokojącego szmeru za plecami.

- Nie poznajecie mnie, Dick? - spojrzał prosto w twarz barmana.

Bacny wzrok przesunął się obmacującym spojrzeniem po całej postaci Glowby'ego.

- Nie znam was przecież...

- Naprawdę? Może Brylantowa Zośka miałaby lepszą pamięć? Lubiła mnie dosyć swego

czasu. Tłusta twarz spochmurniała.

- Nie ma jej. Ale poczekajcie... - krzaczaste brwi zsunęły się ciasno. - Coś mi zaczyna świtać. Ale nie... to chyba niemożliwe...

- No?

- Blady Jack?...

- Ten sam.

- Patrzcie - chmura znikła z mięsistej twarzy - kto by się mógł spodziewać? - Wyciągnął ku niemu dłoń przez ladę.

Głowby ścisnął wargi. Ręka zabolęła jakby ujęta w kleszcze.

- Jak widzę, krzepy wam nic a nic nie ubyło - uśmiechnął się.

Barman kręcił głową.

- Ale, że też was nie poznałem!

- Ja was za to poznałem od razu.

Głowby machinalnie sięgnął po podsunięty mu skwapliwie przez barmana kieliszek.

- Za dawne dobre czasy - wychylił jednym łykiem mocną, cuchnącą wódkę.

- Spokój tam - wrzasnął nagle barman w kierunku niespokojnej sali - wszystko w porządku. Swój chłop.

Szmer za plecami Głowby'ego ucichł. Wychylili jeszcze parę kieliszków.

- Gaston mógłby się znaleźć - powiedział cicho barman. - Macie - spytał, rozejrzawszy się uprzednio na wszystkie strony - dla niego jakąś robotę?

- Tak. Dobrą robotę...

- *Ali right*. Chłop, o ile wiem, siedzi chwilowo na lodzie.

- Poza tym przydałoby się jeszcze paru. Ale wiecie, takich z głową na karku, nie tylko z grabami do walenia. Robota inteligentna. Nie będą narzekali na zapłatę.

- Hm... - barman zamyślił się - tego towaru nie brak. Tylko, że dla was trzeba coś *first classe*. Na mokro? - zapytał ostrożnie. Głowby odsunął energicznie kieliszek.

- W żadnym wypadku - robił wrażenie niemal oburzonego.

Barman obserwował go spod oka. Zmienił się chłop. Dawniej rozmaicie bywało, gdy chodziło o jakiegoś niewygodnego typu. Ano... czas leci.

W kilkanaście minut później w małym pokoiku za kotarą siedziała już grupa sześciu dobranych typów. Gaston pożerał żarłocznie drugi z kolei kotlet, gęsto zakrapiając alkoholem. Glowby dyskretnie odwrócił głowę. Ten chłop musiał ostatnio przechodzić złą passę.

- Więc chodzi o to, by... - zaczął, gdy wreszcie z sytymi minami odsunęli talerze.

Gaston słuchał uważnie, notując coś na brudnym mankiecie.

- Jak to, wszystkich? - zapytał z niekłamanym zdumieniem.

- O ile się da - wyjaśnił Glowby. - A w każdym razie tych większych bez wyjątku.

Dziwnie delikatne palce Gastona utonęły w rozwichrzonej fryzurze.

- To przecież robota na olbrzymią skalę - wyraz twarzy świadczył o nabożnym niemal podziwieniu. Trzeba by dobrać jeszcze kilkunastu chłopów.

- Dobierajcie - zgodził się obojętnie Glowby - Tylko wszyscy muszą dobrze zrozumieć, o co właściwie chodzi.

- W porządku. Nie pierwszy raz przecież robimy ze sobą interes. Ale kosztować będzie kupę forsy...

Jeszcze tej nocy stołeczna policja została zaalarmowana aż sześcioma naraz włamaniami dokonanymi wyłącznie u znaczniejszych agentów giełdowych. Co dziwniejsze, w czasie tych włamań nie zostało skradzione absolutnie nic poza jednym wypadkiem. A i tam skradziono tylko stary notatnik, ignorując leżące obok złote suwereny. Wydział śledczy nic z tego wszystkiego nie mógł zrozumieć.

Rozumiał za to dobrze Glowby, czytając poranną gazetę. Gaston widocznie dokładnie stosował się do instrukcji. I umiał dobrać odpowiednich ludzi. Pękata koperta przewędrowała najzupełniej normalną drogą pocztową.

Nad drzwiami gabinetu kierownika prywatnej agencji „Argus” długo płonęła tego dnia czerwona żarówka, zamykając drogę wstępu interesantom.

Glowby odcyfrował powoli nieskończone kolumny cyfr opatrzone szyfrowymi znakami.

Szyfr zresztą nie należał do specjalnie trudnych. Nie takie już orzechy rozgryzał. Tylko to przekłete przynaglenie Penthama! Odetchnął z ulgą, przenosząc rozwiązanie na skrawek papieru. Nie potrafił powstrzymać podziwu, przebiegając oczyma szeregi drobnych literek.

- Swoją drogą, ma chłop głowę na karku - skostatował z odrobiną mimowolnej zazdrości - nic a nic nie zardzewiał na swym dyrektorskim stołku...

## XIX. CZARODZIEJSKI WINCHESTER

Na odgłos kroków Mallone odwrócił się gwałtownie od kominka, przy którym grzał zziębnięte ręce. Tego wieczora na dworze panował trzaskający mróz. Dymiące ustawicznie kominki nie zdołały ogrzać obszernych pokoi.

- Ach to pan, pułkowniku - ton powitania brzmiał raczej zaczepnie - dobrze, że pana widzę...

- Stęsknił się pan za moim towarzystwem?

- Owszem. Czym rzadziej przebywam z panem, tym częściej ktoś plądruje w szufladach mojego biurka.

- Ma pan dziwny dar przyciągania tajemniczych zjawisk, inspektorze. Zginęło panu coś? - troskliwie zapytał Pentham.

- Wręcz przeciwnie. Zmaterializowała się koperta, którą przedwczoraj ktoś wyciągnął. I co dziwniejsze, brak z niej kawałka z atramentową plamą. Nie mogę zrozumieć, na co komuś mógł być potrzebny.

Pentham przysunął sobie fotel do kominka.

- Zrozumie pan w swoim czasie - rozsiadł się wygodnie, wyciągając długie nogi w kierunku ognia.

Mallone sięgnął leniwie do stojącego na stoliku pudełka z cygarami.

- Nie jestem zupełnie pewien - pedantycznie obcinał scyzorykiem koniec cygara. - I jeszcze jedno. Tajemniczy włamywacz włożył mi do szuflady czystą ćwiartkę papieru.

- Zupełnie czystą - zainteresował się nagle Pentham - oglądał ją pan dokładnie?

- Tak. Oglądałem.

- Coś panu poradzę, inspektorze - Pentham zapatrzył się w płonące na obszernym palenisku kominka głównie - nie zaszkodziłoby włożyć tę ćwiartkę do koperty i opieczętować dokładnie.

Mallone spojrzał z niedowierzaniem.

- W jakim celu? Bardziej odpowiednio byłoby wrzucić ją po prostu do kosza. Gdybym nie miał nadziei wykrycia na niej odcisków palców kochanego włamywacza, dawno by tam spoczęła.

Pentham nie odrywał wzroku od ognia.

- Ba... z tymi odciskami sprawa raczej wątpliwa - mruknął sennie.

Inspektor spojrział ma niego spod oka.

- Jest pan tego pewien?

Pentham oparł nogi na żelaznej kratce kominka.

- Czegóż można być pewnym na tym pełnym złudnych miraży świecie - zauważył filozoficznie - przypuszczam tylko, że tak zręczny włamywacz...

- Trudno mu odmówić zręczności - mruknął Mallone - wczoraj kazałem w biurku pozmienić wszystkie zamki.

- I nie pomogło. Trudno. Skoro się trzyma tak bardzo interesujące rzeczy...

Mallone wzruszył ramionami.

- Właśnie to najdziwniejsze, że nie mam tam nic ciekawego.

- Różne są ludzkie zainteresowania, inspektorze... Mallone wydobył szczypcami główkę z kominka i przytknął ją do końca cygara.

- Prawdę powiedziawszy, mam już dość tych wszystkich kawałów. Dobrze, że się wszystko skończy za trzy dni.

- Któż może wiedzieć, co będzie za trzy dni? - powiedział Pentham w zamyśleniu.

Mallone odrzucił z rozmachem główkę, aż strzeliła ku górze fontanna iskier.

- Nonsens! Za trzy dni zapadnie werdykt i odstawimy sir Gordona do więzienia.

- Wciąż jest pan jeszcze przekonany o jego winie? Mallone wytrzeszczył oczy.

- Chyba pan żartuje, pułkowniku? Przy takich dowodach wszyscy muszą być przekonani.

- Wszyscy? No jednak nie powiedziałbym tego. Na przykład jeżeli chodzi o mnie.

- Ba... cóż pan...

Pentham zignorował lekceważący ton.

- Proszę mi powiedzieć, w jakim celu Gordon miałby zastrzelić Woodsona? Mallone podskoczył na fotelu.

- Miał tysiące powodów. A komuż innemu mogłoby na tym zależeć? Pentham pokiwał głową.

- Właśnie tym pytaniem utrafił pan w sedno. Komu oprócz Gordona mogło zależeć? A co by pan powiedział dowiedziawszy się, że ktoś zawarł przed paroma dniami transakcję, grając na niżkę trustów na ultimo tego miesiąca? Transakcja zresztą dotyczyła drobnej sumy - wytrzymał pauzę dla

większego efektu - pięćdziesięciu tysięcy franków...

- Co? - Mallone odwrócił się gwałtownie ku niemu - Pan oczywiście żartuje pułkowniku? - w głosie jego dźwięczała niemal prośba.

Pentham pokręcił przecząco głową.

- Daleki jestem od żartów w tej chwili. Ta transakcja jest zupełnie realnym faktem. Mallone był wyraźnie zaintrygowany.

- O jaki Trust chodziło, Stal czy Nikiel?

- I jeden i drugi. To jest dosyć wymowne, prawda? Czy takemu, powiedzmy, jegomościowi nie zależałoby na śmierci Woodsona, a jednocześnie na skompromitowaniu prezesa Stalowego Trustu, jak pan sądzi, inspektorze?

- Hm... zna pan jego nazwisko?

- Owszem.

- Któż to taki?

Pentham nachylił się i stuknął fajką o kratę, wysypując rozżarzony jeszcze popiół.

- Niestety z pewnych względów nie mogę tego powiedzieć... Jeszcze nie..

- Naturalnie - sylwetka inspektora straciła dotychczasowy wyraz napiętej czujności. - Naturalnie - powtórzył. - Bajeczki łatwo komponować na poczekaniu. Gorzej z konkretnymi nazwiskami...

- A jednak to na szczęście nie jest bajeczka - zaprzeczył poważnie Pentham - powiem panu jeszcze jedno. Ta osoba brała udział w owym tragicznym polowaniu.

Mallone machnął ręką.

- Nie interesują mnie mgławicowe osoby bez nazwisk.

Pentham rozsupływał mozolnie węzeł kapciucha.

- Straszne teraz długie wieczory - rzucił w przestrzeń - I właściwie nie ma ich czym zapełnić...

- Uhum - Mallone wyciągnął się w fotelu jakby w zamiarze rozpoczęcia drzemki.

- Nie miałby pan ochoty trochę postrzelać do celu? - zaproponował niespodziewanie Pentham.

Mallone odwrócił leniwie głowę.

- Teraz? - zapytał ze zdziwieniem.

- Przecież i tak nie ma pan nic do roboty... Mallone otworzył oczy. Że też tego Penthama ani na chwilę nie przestają się trzymać głupie kawały.

- Ciemno - mruknął. I mróz aż się niedobrze robi - dodał sennie, przymykając powieki.

- We wschodnim skrzydle jest kryta strzelnica. Widniej niż tutaj. A na pewno też nie bardziej zimno.

- Ale po co? Tak sobie dla zabicia czasu? Pentham zrobił tajemniczą minę.

- Niezupełnie. Chciałem panu zademonstrować zaczarowany sztucer. Bardzo ciekawa historia - dodał obiecującym tonem.

W głosie Penthama było coś, co wyrwało inspektora z dotychczasowej drętwoty.

- Zapewne nowy kawał ze złotej serii? - zapytał bez przekonania, podnosząc się jednak z fotela - Ostatecznie i tak nie mam nic do stracenia. Gdzież ten sztucer.

- Niech pan weźmie pierwszy lepszy ze zbrojowni.

- Może być ten sam, który wtedy na polowaniu miał sir Gordon? Jest u mnie w pokoju.

- Owszem. Tak będzie z pewnych względów jeszcze lepiej.

W długiej kiszce strzelnicy było znacznie zimniej niż w pokojach. Teraz dopiero stwierdzili, że przeklinane przez wszystkich kominki jednak trochę grzały.

Inspektor zacierał grabiejące ręce.

- Podobno za granicą używają centralnego ogrzewania - zauważył żalosnym tonem - albo też zwykłych kaflowych pieców. I ludzie tam w zimie nie marzną. Ciekawym, kiedy i u nas w kochanym starym kraju upowszechnią się takie zwyczaje?

Pentham trzymał ręce głęboko zasunięte w kieszeniach kurtki. Nie mógł dopuścić, by zdrętwiały z zimna.

- Och... za jakieś tysiąc lat z całą pewnością.

- Więc cóż z tym zaczarowanym sztucerkem - inspektor wyciągnął winchester ze skórzanego pokrowca.

- Niech pan sprawdzi mechanizm.

- Zaraz - Mallone próbował działania zamku - w porządku.

- Jest pan tego pewien?



- Oczywiście - inspektor wsunął błyszczącą łuskę - jeden wystarczy?

- Najzupełniej - Wie pan co? Może i ja sprawdzę dla pewności, czy gładko chodzi...

Inspektor obserwował bacznie manipulacje Penthama, nie zauważył jednak nic podejrzanego. Pentham oddał broń.

- Rzeczywiście w porządku. Teraz niech pan kropi - ruchem ręki wskazał oświetloną tarczę celu.

Mallone wciąż nie rozumiał, do czego to wszystko prowadzi. Nie oponował jednak. Skoro już przyszedł...

Złożył się starannie, był nienajgorszym strzelcem i nie zamierzał kompromitować się w obecności Penthama. Muszka osiągnęła linię czarnego krążka. Pociągnął za cyngiel. Aż sapnął ze zdumienia. Strzał nie nastąpił. Pociągnął mocniej - ten sam rezultat.

Sprawił dotykem palca bezpiecznik - odsunięty. Szneller tak samo.

- Cóż u licha? - zerknął ku Penthamowi.

- Chwileczkę - zanim zdołał się zorientować, Pentham odebrał mu broń - zaraz sprawdzimy - odsunął zamek - to dziwne - powiedział - ale mechanizm działa bez zarzutu.

Mallone gwałtownym ruchem sięgnął po sztucer. Mechanizm działał gładko. Zamyślił się.

- Czy moglibyśmy spróbować jeszcze raz tych czarów?

- Naturalnie.

Mallone tym razem sprawdził działanie niemal każdej sprężynki z osobna. W czasie gdy Pentham manipulował przy zamku, baczny wzrok inspektora nie odrywał się ani na ułamek sekundy od jego palców. Nie zdołał jednak stwierdzić ani jednego podejrzanego ruchu.

- Inspektorze - krzyknął niespodziewanie Pentham, gdy Mallone trzymał już broń w rękach - wściekły wilk idzie na pana. Niech pan strzela! Jest już tuż przed panem i za chwilę skoczy do gardła.

Inspektor zrozumiał, na czym polegała gra. Szarpał wściekle za cyngiel, strzał jednak nie padał.

- Hm - podniósł broń do oczu. - Coś tu... Pentham wyjął mu ją jednak z rąk błyskawicznym ruchem.

- Nie, inspektorze - oświadczył z uśmiechem - tego nie było w umowie. Niech pan nie zapomina, że sir Gordon także nie miał możliwości sprawdzenia przyczyny defektu po nieudanym strzale.

- A mechanizm znowu działa bez zarzutu - oświadczył, odsuwając zamek.

- Niech pan pokaże ręce pułkownikowi! - zawołał szybko Mallone.

Pentham przesunął mu tuż przed oczyma otwarte dłonie. Były puste.

- No i co, zaczyna pan wierzyć inspektorze w czarną magię?

Mallone zmarszczył brwi.

- Nie. Ale zaczynam wierzyć, że nie wszystkie pańskie domysły wiszą w próżni. Może mi pan teraz zademonstrować, jak się to robi?

Pentham wykonał nieuchwytny ruch i nieoczekiwanie pomiędzy palcami coś zalśniło.

- Oto - pokazał zgiętą igłę gramofonową - czarodziejska laska dokonująca tych cudów. Wystarczy zacisnąć ją pod paznokciem, by stała się niewidoczna.

Mallone obejrzał z uwagą.

- Ta sama, którą pan znalazł na miejscu polowania?

- Tak. Tuż obok stanowiska sir Gordona. Teraz pan rozumie, dlaczego sztucer Gordona odmówił posłuszeństwa, w chwili gdy atakował wściekły wilk?

Mallone obracał niezdecydowanie w palcach zardzewiałą igłę.

- Ale gdzie się podział ten zastrzelony z rewolweru wilk? I przecież nikt prócz sir Gordona nie miał na polowaniu rewolweru. A Woodsona położył pocisk z krótkiej broni. Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości.

- Niestety te pytania pozostają bez odpowiedzi. Nie twierdzę więc bynajmniej, że już dochodzę do celu. Ale w każdym razie nie może pan zaprzeczyć, inspektorze, że pewne punkty zaczepienia zdołałem jednak uchwycić. Gra na zniżkę Trustów i magiczny sztucer to jednak coś. A poza tym co do tych rewolwerów, to nie jest znów wcale zupełnie pewne. Nie dokonano przecież rewizji osobistej u myśliwych.

Inspektor nie mógł długo zasnąć tej nocy. Demonstracja w strzelnicy zabiła mu potężnego klina.

Usłuchał Penthama. Włożył tajemniczą ćwiartkę papieru do koperty i opieczętował ją troskliwie. Nie widział w tym celu, jednak tego wieczora działo się tyle dziwnych rzeczy.

## **XX. YARDLEY PRACUJE W TERENIE**

- I wiecie panie, jak ten to bandyta skulnął z kobyły ma tamtego smyrgałę - za każdym niemal słowem z popękanych od mrozu ust wionął niezbyt ponętny zapach czosnku.

Yardley ukradkiem otarł kropelki potu występujące gęsto na czoło.

- Na jaką znów „smyrgałę?” - zapytał niepewnie. Nie traciła ani odrobiny dotychczasowej swady.

- To w naszych stronach tak nazywają automobil. A potem, wiecie, jak nie gruchnie bez łeb bandytę, że aż majtki zaświeciły w powietrzu, a potem...

- Może ciasteczko? - już po raz trzeci kosztem ciastek zyskiwał chwilę milczenia.

Nie odmówiła. Wydawało się, że ma nieograniczone możliwości konsumpcyjne. Aż się dziwił, gdzie podziewa to wszystko. Bo przed słodyczami wsunęła jak gdyby nigdy nic lekką zakąskę złożoną z dwóch porcji wieprzowych kotletów zaopatrzonych w potężny dodatek jarzyny.

Przez cały czas nie przestawała opowiadać z zaciętrzewieniem treści widzianego filmu. Yardley odnosił wrażenie, że w ogóle nic innego przez całe życie nie robiła poza uczęszczaniem na najbardziej niedorzeczne produkcje X Muzy.

I żeby choć była podobna do ludzi - usiłował nie patrzeć na współbiedniczkę. Całe szczęście, że nikt go tutaj nie znał. Inaczej reputację z miejsca wzięliby diabli. Co tu owijać w bawełnę. Kulfon jakiego świat nie widział. I gdyby nie to, że służyła we dworze Jamesa Baldforda. I że w tym dworze...

Skorzystał z chwilowej przerwy.

- Swoją drogą ten wasz Dżok musi mieć żelazny organizm... - zarzucił wędkę. Wybałuszyła oczy.

- Gdzie ta żelazny... hi... hi... to pewna takie londyńskie wykpiwuszki... pies je całkiem prawdziwy.

- Ale żeby o takiej ranie skakał jak gdyby nic? - pokiwał z podziwem głową. Znowu się zdziwiła.

- Po jakiej ranie? Dżok przecież zdrow jak byk.

- No... jednak niech sobie pani przypomni. Był przecież, ranny niedawno - nastawał. Wepchnęła resztę ciasta do ust.

- Że też pan wszystko musi wiedzieć. Skaleczył sobie łapę drutem kolczastym na jesieni. Ale co ta takiemu smokowi - tyle, że pan zalał mu ranę czymś czarnym i śmierdzącym i wnet przeszło.

- Nie! Ja mówię o tym, co było teraz, przed kilku dniami.

Wzruszyła ramionami, aż opięta na obfitym biuście bluzka zatrzęszczała alarmująco.

- Teraz to nie. Pan pilnują Dżoka i nie pozwalają, by się zranił bez pożytku. - Nie - powtórzyła -

od tamtego czasu nijakiej rany nie miał.

Wyglądała na zbyt głupią, by można ją podejrzewać o rozmyślne kłamstwo. A więc znowu pudło! Trzecie w ciągu trzech dni. Nienajgorszy rezultat. Tu miał bodaj czy nie największej nadziei. Dżok był olbrzymim wilczurem, jak ułał pasującym do hipotezy Penthama.

Pomywaczka z Silverwoods kosztowała go okrągłe dwanaście godzin dyplomatycznych zabiegów.

Rachunek za połknięte przez nią potrawy i słodczyce na pewno wyniesie nie mniej niż dwadzieścia szylingów. A gwara, jaką młóciła bez przerwy, przyprawiała go niemal o chorobę nerwową.

I wszystko na próżno. Już trzeci wynaleziony przez reportera w najbliższej okolicy wilczur jak na złość nie odniósł w okresie tragicznego polowania najmniejszej nawet rany.

- Jakby pan nie był przeciwny, to ja by zjadła jeszcze jednego pierożka - zalotna mina pomywaczki wywołała u Yardleya uczucie mdłości... Machnął z rezygnacją ręką. Co tam ostatecznie jedno ciastko więcej...

- Chyba jednak Dżok jest największym wilczurem w okolicy? - zapytał od niechcienia, odwracając głowę, aby nie widzieć krótkich palców umazanych w kremie.

- Największy? Nie - pokręciła głową - Gdybyście panie zobaczyli Jolly od Hybsa - Toto dopiero pies jak ciele. I oczyska takie wyłupiaste. Jak zacznie nimi wiercić - to człowiekowi mrówki po skórze chodzą.

- Któż to taki ten Hybs? - zapytał niby obojętnie.

- A owczarz. Siedzi w szałasie pod lasem. Córkę ma taką, wiecie, kalekę... Trzy lata temu spadła ze świerka. Przełamała sobie cosik w krzyżach. Tutejszy dochtor machnął ręką - to powiada, trumnę kupujcie. Aż znalazł się jeden taki co ją połatał. Wielgi dochtor. Ale chodzić to od tego czasu dziewczucha nie może. Ino ciągiem na wyrku, a Jolly jej pilnuje...

Czwarty wilczur! W okolicy aż się roiło od psów tej rasy... Informacja kosztowała go jeszcze dwa ciastka i godzinę wysłuchania swoście interpretowanych streszczeń filmów.

Do szałasu było najmniej dwie mile. Groźne warczenie, jakie usłyszał za drzwiami, rzeczywiście omal nie wywołało „mrówek” na skórze reportera. Zapukał jednak odważnie.

W odpowiedzi warczenie wzmogło się jeszcze. „Pies jak ciele”, przypomniał sobie opowiadanie pomywaczki. Jak nic skoczy bestia człowiekowi do gardła. Jeszcze pytanie, czy nie ma innych drzwi, przez które może wybiec i rzucić się na niego. Z trudem pokonał chęć natychmiastowego odwrotu.

Znowu zapukał.

Wreszcie rozległ się cienki, drżący głosik.

- Kto tam?

- Swój. Gość z pałacu Blackshirre - Yardley przedtem przygotował dokładnie plan całej kampanii, dowiedziawszy się szczegółowo co i jak. Przytrzymywana łokciem paczka miała odegrać wyznaczoną z góry rolę.

- Kiedy taty ni ma w domu.

- Nic nie szkodzi. Ja z wizytą do panny Mary. Przysłał mnie Mister Mellors - można wejść?

Nazwisko właściciela gospody „Pod Królem Arturem” miało widocznie w tym domu moc wystarczającej legitymacji, bowiem warczenie psa zaczęło powoli cichnąć pod wpływem perswazji cienkiego głosiku.

- Teraz można.

Yardley wszedł niezbyt pewnym krokiem. W zalegającym izbę półmroku z trudem odróżnił zarys tapczanu i leżącej na nim otulonej po szyję nikłej postaci. Dwa świecące punkty fosforyzowały zielonym odblaskiem tuż przy tapczanie.

- Nie ugryzie?

Wyraz oczu wilczura nie budził zaufania.

- Nie. Trzymam go za obrozę.

Yardley porównał bez przekonania olbrzymią sylwetkę przyczajonego jakby do skoku wilczura z wiotką ręką kilkuletniego dziecka.

- Przyniosłem paczkę od mister Mellorsa - podał dziecku zawiniątko - kawałek kurczątka i parę pomarańcz. Podobno panienska lubi pomarańcze? - zerknął w kierunku przyczajonej bestii. Drżące z niecierpliwości palce, zaczęły odwijać papier. Yardley obserwował z niepokojem, czy nie zapomni przypadkiem przytrzymać psa.

Ostatecznie odległość do drzwi nie była tak wielka. Dla pewności zapomniiał je za sobą zamknąć na drewnianą zasuwkę.

Gardło psa drgało narastającym w głębi wielkiego cielska skowytem.

- Jaki ten mister Mellors dla mnie dobry - dziecko patrzyło w zachwycie na złociste kule pomarańczy.

Yardley stłumił westchnienie. Za tę cenę pierwszorzędną owocarnia w Londynie okazałaby na pewno znacznie więcej dobroci, przynajmniej jeżeli chodzi o ilość owoców. Drobne ząbki wpiły się w soczysty miąższ.

- Ślicznego masz pieska - Yardley ciągnął rękę w kierunku psa, chcąc go pogłaskać. Cofnął ją jednak prędkiej zaniepokojony błyskiem białych kłów - musisz go bardzo kochać? - odsunął się cokolwiek od groźnego sąsiada.

- O - ogarnęła ciepłym spojrzeniem wilczura - Jolly to dla mnie wszystko. Bez niego chyba bym umarła.

- Pewno bardzo płakałaś, gdy go zranili? - rzucił zniechęca, korzystając z jej zajęcia się pomarańczami.

- Przecież go nie zranili, choć tak bardzo się bałam, bo podobno wszyscy tam strzelali i prosiłam tatusia, by go nie zabierał, bo... - Nagle umilkła, zaciskając kurczowo wargi. Rozszerzone oczy wpiły się z przerażeniem w Yardleya.

- A ja przecież nic nie powiedziałam, prawda? - w słabym głosiku drżała błagalna nuta.

- Ależ nie, dziecinko - uspokajał ją - nic nie powiedziałaś. A kiedy zabrali ci pieska tam, gdzie strzelają?

W oczach jej załśniły łzy.

- Nic nie wiem. Nikt mi nie zabierał mojej Jolly - objęła obu rączkami szyję wilczura, jakby szukając u niego obrony. Oczy psa świeciły coraz groźniej w kierunku intruza. Stanowczo reporter nie potrafił wzbudzić uczucia przyjaźni w psim sercu.

- Dlaczego pan mnie o to pyta, o co nie wolno? Jest pan niedobry. Przywiózł pan paczkę, a potem...

Po wynędzniałych policzkach zaczęły spływać łzy. Pies warknął krótko. Przettrzymała go z całych sił.

- Niech pan idzie - zawołała pośpiesznie - bo Jolly się zdenerwowała. Nie potrafię jej dłużej powstrzymać.

Yardley nie dał powodu do powtarzania.

- Uff - znalazłszy się za drzwiami, otarł pot z czoła - ależ wilkołak.

Poszedł szybko w kierunku gospody.

Dopiero po przebyciu dobrej mili mocno zdyszany zwolnił nieco kroku. Zaczął systematycznie roztrząsać każde słowo rozmowy. Wyglądało, że tym razem wysiłek nie poszedł na marne. Żeby jeszcze ta bestia była choć trochę postrzelona. Niechby tylko draśnięta.

A może jednak pies odniósł jakąś nieznaczną ranę z postrzału? Kto go tam wie...

Pentham przyszedł dopiero późnym wieczorem, Yardley już niemal zasypiał nad niewiadomo

którym z rzędu kuflem piwa.

- Nie mogłem wcześniej - usprawiedliwiał się Pentham - Mallone deptał mi przez cały czas po piętach. Mam wrażenie, że ostatnio nieco przychylniej zaczyna patrzeć na moją obecność w Blackshirre. Ale dla pewności wolałbym nie zdradzać pańskiego pobytu w gospodzie.

- Ja też bym wolał - potwierdził żywo reporter - Mallone jest zupełnie nieobliczalny.

Wyciągnął z kieszeni pogięty notatnik i zaczął sprawozdanie.

- Aż cztery wilczury? - zdumiał się Pentham - Połów jednak nazwałbym cokolwiek za obfity. Przynajmniej jak na moje wymagania.

Yardley spojrzał na niego z wyrzutem.

- Połów? Niech pan to raczej nazwie galerniczą pracą, a będzie pan bliżej prawdy. Musiałem obflirtować najgorsze garkotłuki z okolicy, by zebrać ziarnko do ziarnka.

- Ostatecznie flirt nie jest najgorszym spośród zajęć, jakie znam - zauważył Pentham.

Yardley pokiwał ponuro głową.

- Ba... Gdyby pan zobaczył te buźki, zmieniłby pan zdanie.

Penthama mocno zaciekał przebieg wizyty w szałasie owczarza.

- Tak, to rzeczywiście wygląda podejrzanie - mruknął, zamyślając się - I na pewno pies nie ma żadnej rany?

- Na oko nic nie widać. Ale nawet za cenę największej sensacji nie podjąłbym się obmacywać mu skóry... Na drugi dzień Pentham wyslizgnął się z pałacu wczesnym rankiem. Wycieczka jednak skończyła się pełnym fiaskiem. Nie pomógł najbardziej przymilny i przyjacielski ton.

- Tata nie kazał nikogo wpuszczać - oznajmił przez drzwi cienki głosik przy akompaniamencie groźnego warczenia.

Gdy pomimo zakazu młodocianej lokatorki spróbował otworzyć drzwi, olbrzymi wilczur śmignął przez całą długość izby jak puszczone raptownie sprężyna. Ledwo zdążył z powrotem zatrzaskać drzwi.

- Ciężko ranny w każdym razie na pewno nie jest - stwierdził, wracając jak niepyszny - ale czy nie draśnięty?

Tak czy inaczej szałas owczarza krył w sobie tajemnicę, którą należało zająć się dokładniej. Bo tego psa łatwo było wziąć za wściekłego wilka. A skoro zabierano go dokądś, gdzie wszyscy strzelają, jak mówiła mała...

## XXI. CZWARTY DZIEŃ

Mallone tkwił parę godzin bez przerwy przy telefonie. Wyglądało, jakby założył na stałe bazę operacyjną w gabinecie Worceya. Niemal co chwila terkotał dzwonek, urywanym sygnałem międzymiastowej stacji.

Gdy w końcu wyszedł, miał bardzo dziwny wyraz twarzy.

- Jeszcze tylko jeden jedyny dzień pułkowniku - przystanął przed Penthamem, który pogrążony w głębokiej zadumie na wpół leżał na dostawionym tuż do kominka rozłożystym fotelu.

Pentham podniósł przekrwione od bezsenności oczy.

- Nie potrzebuje mi pan o tym przypominać - mruknął przez zęby - sam pamiętam aż nadto dobrze.

- Rozmawiałem w tej chwili z Londynem. Słyszał pan może, pułkowniku, o serii dziwnych włamań dokonanych ostatnio u większych agentów giełdowych?

Pentham wzruszył ramionami.

- Ostatnio nie mam czasu na czytanie gazet. Mallone pokiwał głową z udanym ubolewaniem.

- To rzeczywiście bardzo przykre, że jest pan zmuszony pozostawać w nieświadomości co do tak ciekawych zdarzeń. Swoją drogą sędzę, że mógłbym wyjaśnić wydziałowi śledczemu przyczynę tych włamań.

Pentham patrzył w płonące głownie.

- Czyżby? - zapytał bez zainteresowania - dlaczegoż więc pan tego nie zrobił?

- Po prostu nie miałem ochoty. Zresztą podejrzewam, że człowiek, który potrafi przenikać przez dziurki od klucza zamkniętych szuflad, umie załatwiać inne sprawy bez zostawiania niepotrzebnych śladów. Ja jednak pomimo wszystko potrafię dodać dwa do dwóch i otrzymać cztery.

- To i tak dużo - zauważył zgryźliwie Pentham - gratuluję...Inspektor przeciągnął się na fotelu.

- Niech się pan nie sili na złośliwości, pułkowniku - ton jego brzmiał całkiem pojednawczo - nie jestem dziś bojowo usposobiony. Wiadomość o włamaniach dowiodła mi jednej okoliczności, nad którą się bardzo poważnie zastanawiałem.

- Ciekawym jakiej?

- Że pańskie twierdzenia co do czyjejs gry na zniżkę Trustów mają jednak poważne podstawy.

Pentham zerknął na niego badawczo. Twarz inspektora tchnęła raczej szczerością.



- Czy w dalszym ciągu nie może mi pan podać nazwiska tego gracza? - zapytał jeszcze Mallone.

- Nie. Zresztą w tej chwili jeszcze nazwisko to nic nie mówi i do niczego nie prowadzi. Za mało innych dowodów.

- A przecież już pojutrze...

- Pojutrze - wybuchnął Pentham - do licha z pojutrzem. Dwadzieścia cztery godziny to kawał czasu. A jeżeli nie wystarczy, cóż mogę na to poradzić? Zapadnie werdykt, sir Gordon będzie postawiony w stan oskarżenia. Wówczas nie pozostanie nic innego, jak tylko walczyć o jego życie. A tysiące innych spraw wezmą diabli.

- Stalowy Trust również?

- Tak - potwierdził. - Głos jego znowu brzmiał bezbarwnie - Stalowy Trust również.

Zapadło przeciągłe milczenie. Pentham przymknął powieki. Zaczynał odczuwać już znużenie. Nie zapowiadało się, by jutrzejszy dzień wystarczył. Stał jeszcze daleko od celu, zdawał sobie z tego doskonale sprawę.

- Przetelefonowano mi wynik ekspertyzy rusznikarskiej - odezwał się po chwili Mallone.

- I cóż? - Pentham nie otwierał oczu.

- Niech pan sam przeczyta - wyciągnął arkusik pokryty niewyraźnym charakterem pisma.

„Po porównaniu rozciętego płaszcza pocisku i nacięć wewnętrznej powierzchni lufy przedmiotowego pistoletu Instytut Ekspertyz Rusznikarskich doszedł do następujących wniosków:

Dostarczony pocisk, wydobyty z ciała zmarłego Woodsona prawdopodobnie został wystrzelony z załączonego pistoletu, gdyż otarcia płaszcza odpowiadają odstępom gwintu. Kategorycznej jednak wypowiedzi na ten temat Instytut udzielić nie może, bowiem lufa pistoletu, jako fabrycznie nowa, nie posiada charakterystycznych zatarć wewnętrznego gwintu...”.

- Cóż... ma pan jeszcze jeden guzik do zapięcia swego śledztwa - stwierdził z goryczą, oddając inspektorowi dokument - powinien pan triumfować.

Mallone starannie złożył arkusz i schował go do podniszczonego portfela.

- Otóż to... powinienem. A jednak jakoś nie odczuwam specjalnego triumfu. Bo przecież ekspertyza właściwie nic nie mówi. Mógł być wystrzelony z pistoletu należącego do sir Gordona. Ale tak samo dobrze mógł pochodzić z każdego innego pistoletu marki Browning kalibru 6,35, pod warunkiem, że pistolet ten jest fabrycznie nowy...

- Ale przy innych dowodach, jakie w czasie śledztwa nagromadzono...

- Ba... gdyby nie wczorajsza demonstracja zaczarowanego winchestera i gdyby nie twierdzenie

o pięćdziesięciotysięcznej transakcji na zniżkę Trustów...

- Zaczyna pan jednak mieć wątpliwości, inspektorze.

- Tak. W tym, co pan mówił o dowodach, które same idą do ręki, jest jednak sporo prawdy.

- Dziękuję za uznanie inspektorze. To bardzo *correct* z pańskiej strony. W takim razie dostarczę panu jeszcze jednego tematu do rozmyślań. Niech mi pan przyniesie, jeśli łaska, tę ćwiartkę papieru, o której wczoraj mówiliśmy.

- Chętnie - Mallone zerwał się z fotela. Schody dudniły pod szybkimi krokami.

Jednak mimo wszystko uczciwy chłop - skonstatował Pentham, rozmyślając nad niespodziewaną zmianą frontu inspektora - czyżbym miał w nim zyskać sprzymierzeńca? Prochu nie wymyśli na własną rękę, to prawda, ale jego pomoc mogłaby się bardzo przydać.

- Jest - Mallone trzymał ostrożnie końcami palców lakowaną kopertę - i co dalej mam z nią robić?

- Niech pan dokładnie sprawdzi, czy pieczęcie nie są naruszone.

Mallone podniósłszy kopertę do oczu badał każdy odcisk pieczęci z osobna.

- Nienaruszone - stwierdził w końcu.

- W porządku. Teraz niech pan otworzy kopertę i obejrzy papier.

Mallone ostrożnie podważył nożem zamknięcie.

- O, do diabła! - zdumiał się na widok nieregularnych konturów wielkiej plamy atramentu rozlanej na wydobytym papierze - przecież tego wczoraj nie było?

- Nic nadzwyczajnego - wyjaśnił niedbale Pentham

- taka sobie niewinna kompozycyjka chemiczna z dużą domieszką kwasu azotowego. Znana, zresztą od dawna. Pewną nowość preparatu stanowi jedynie to, że ujawnia się samoczynnie po jakimś czasie.

Mallone jeszcze raz obejrzał na wszystkie strony ćwiartkę papieru.

- Plama na liście adresowanym do Harrisona jest tego samego pochodzenia?

- Czy ja wiem...? Ale czy na to właśnie nie wygląda? - zapytał, nie podnosząc głowy.

- Do wszystkich diabłów, ma pan rację, pułkowniku. Diabło na to wygląda! - Przysunął swój fotel bliżej Penthama - Magiczny atrament jako punkt trzeci naszego programu. Czy... czy znalazł go pan w pokoju...

- zawahał się - hm... w pokoju na przykład naszego gospodarza? - zniżył głos do szeptu.

Pentham drgnął gwałtownie.

- Skąd takie przypuszczenie? - spojrzał spod oka na inspektora.

- No... powiedziałem tylko na przykład. Swoją drogą dziś rano badałem jeszcze raz sir Gordona.

- Po raz który z rzędu?

- Mniejsza o to po raz który. Tym razem jednak badałem go dokładnie.

- I co?

- Dowiedziałem się, kto podniósł porzucony winchester i kto pierwszy stwierdził, że mechanizm jego działa bez zarzutu. Słuchając słów sir Gordona, przez cały czas miałem na myśli pańskie manipulacje na strzelnicy. Czy to bardzo trudne do przeprowadzenia?

- No, przy pewnej zręczności nie nazwałbym tego zbyt trudnym. Ja na przykład ćwiczyłem zaledwie około kwadransa, a przecież seans wypadł bez zarzutu?

- Tak - potwierdził Mallone - nie zdołałem nic zauważyć, choć przez cały czas patrzyłem panu na palce. A trzeba wziąć pod uwagę, że tamten seans, przyjmując, że odbył się rzeczywiście, miał znacznie bardziej sprzyjające warunki. Trudno przepuszczać, by wtedy ktoś obserwował dokładnie manipulacje przy zamku winchestera.

- Słusznie.

- I gdybym miał tego zastrzelonego wilka.

- Ja osobiście mam ich nadmiar. Inspektor skoczył na równe nogi.

- Nadmiar zastrzelonych wilków?

- Niestety moje wilki są zdrowe. Mallone opadł z powrotem na fotel.

- A ja już myślałem... - był wyraźnie rozczarowany - ja już myślałem... - powtórzył - Nie - machnął beznadziejnie ręką - to do niczego nie prowadzi. Gdybym choć wiedział, że ktoś posiada pistolet kalibru 6,35.

- Cóż - nie jest pan zbyt daleki od prawdy. Mallone zacisnął kurczowo palce na poręczy fotela:

- Ma ktoś taki rewolwer? - zawołał żywo - wie pan o tym?

- Prawie na pewno. Mallone znowu wstał, przeszedł się kilka razy nerwowym krokiem przez hall i przystanął wreszcie przed fotelem Penthama.

- Pułkowniku! Gramy w otwarte karty? - zapytał.

- O ile to jest tylko możliwe. Powiem panu jednak jedno, inspektorze. Gdyby pan pozwolił zajrzeć komuś trzeciemu w te karty, które pan już otworzył, albo choćby tylko domyślić się, co przedstawiają, całą sprawę wzięliby z miejsca diabli.

- Pomimo tego co pan odkrył? Pomimo czarodziejskiego winchestera, igły gramofonowej, tajemniczego atramentu...

- Atrament tymczasem nie należy do kompletu - przerwał Pentham.

- Nie? No to obejdziemy się bez niego, ale za to rewolwer. Jeżeli dodamy jedno do drugiego...

- Otrzymamy kompletne zero - przeciął stanowczo - Jeszcze nie czas na działania artystyczne...

## XXII. CZWARTA NOC

W membranie zatrzeszczało alarmująco.

- Znalazłeś coś? - głos sir Gordona drżał hamowanym z trudem zniecierpliwieniem.

- Nie... - Pentham, szeptał osłaniając usta zwiniętymi na kształt tuby dłońmi - jeszcze nic decydującego.

- Jeszcze nie? - głos w membranie wyraźnie zmatowiał - a przecież pojutrze rano...

- Mamy trzydzieści sześć godzin. A przez ten czas może zajść wiele rzeczy, które radykalnie zmienią bieg sprawy.

- Ba... Odlicz noce... pozostanie dwanaście godzin. A upłynęło już ich czterdzieści osiem i nic...

- Mówiłem ci o punktach zaczepienia, jakie zdołałem zebrać - Pentham usiłował nadać głosowi jak najbardziej przekonujące brzmienie. Odczuł, że tak dzielnie dotychczas trzymający się sir Gordon, stoi na progu ostatecznego załamania.

- I co chcesz na nich zbudować?

- No... jeżeli będziemy traktować je jako punkt wyjścia...

- Tak. Wierzę. Gdybyś miał do rozporządzania trochę więcej czasu, ale tak...

W słuchawce zapadła przeciągła cisza.

- Słuchaj odezwał się po dłuższej chwili - przemyślałem sobie to wszystko dokładnie. Tu zresztą nie ma i tak nic innego do roboty poza tym przekętym myśleniem - dodał z nieukrywanym rozgoryczeniem - i doszedłem w końcu do pewnych wniosków. Nie miej do mnie żalu, Reggi. I

wytłumacz Flo, ale... Tak - mimo wszystko w żadnym wypadku nie mogę dopuścić, by mnie postawiono w stan oskarżenia w takiej sprawie. Gdyby zresztą chodziło tylko o mnie. Ale... sam chyba dobrze znasz pseudopurytańskie nastawienie niektórych kręgów. To by kosztowało zbyt drogo Flo... Trust uległby kompletnej ruinie. Słowem cena nie wytrzymuje kalkulacji. Jeżeli do jutra wieczorem sprawa nie postąpi o tyle, by można oczekiwać choćby tylko jej odroczenia, znajdę inne wyjście. Pentham zdrętwiał. Więc aż do tego doszedł?

- Czy... Zająknął się - masz na myśli...

- Mniejsza o to, co mam na myśli. Dostyc, że sprawa będzie musiała ulec umorzeniu...

- Ależ...

- Nie, Reggi. Szkoda czasu - słowa brzmiały chłodno i beznamiętnie - rozważyłem wszystkie za i przeciw. Nie dopuszczę do ruiny Trustu i złamania życia Flo. Wierz mi, tak będzie naprawdę lepiej... *Good bye* - słuchawka nagle umilkła. Widocznie odłożył mikrofon, uważając sprawę za ostatecznie załatwioną.

Pentham ponuro patrzył na czarny ebonitowy krążek. Niedobrze. Gordon nie rzucał nigdy słów na wiatr. Skoro powziął już postanowienie, żadna siła ludzka nie była w stanie odwieść go od niego. Tak. Miał przecież na palcu pierścień z wielkim rubinem. Wystarczyło nacisnąć małą sprężynkę, by grudka cyjanku potasu sprowadziła natychmiastową śmierć.

Wiedział, że Gordon nie zawaha się w postawionym terminie przed naciśnięciem tej sprężynki.

Sytuacja zaczynała grozić nieoczekiwaną katastrofą.

Pentham uświadomił sobie, że w tych warunkach cofanie się przed czymkolwiek było niedorzecznością. Zaczął gorączkowo lecz systematycznie układać plan działania. Jeżeli się uda, może liczyć na odroczenie werdyktu. Jeżeli zaś nie...

Et - pomyślał wreszcie z determinacją - każdy kij ma dwa końce. Na to się nie poradzi.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze za wcześnie. Jakaś godzinę mógł poświęcić na drzemkę. Należała mu się niewątpliwie.

Usiadł w fotelu, opierając łokcie na poręczach. O łóżku nie było co marzyć. Zegar na kominku cienko wydzwaniał kwadrans.

Ruch w pałacu powoli zamierał. Na korytarzu zadudniły ciężkie kroki inspektora Mallone'a sprawdzającego, czy policjanci czuwają na swych posterunkach. Trzasnęły drzwi, zapadła cisza.

Świadomość Penthama poprzez opary drzemki leniwie rejestrowała dźwięki dochodzące z zewnątrz.

Melodyjnym gongiem zabrzmiało skądś z dołu jedenaście uderzeń.

Pentham drgnął, powoli unosząc ociężałe powieki. Jedenasta? Zgadza się. Można zaczynać.

Przetarł podpuchnięte od bezsenności oczy. Wstał z wysiłkiem z fotela. Wciągnął miękkie pantofle o sznurkowych podeszwach. Cicho wysunął szufladę. Spod papierów wyjął rewolwer. Szczęknęła sprężyna. Sprawdził dokładnie działanie mechanizmu. W porządku. Zarepetował, wprowadzając nabój do lufy. Wsunął pistolet do bocznej kieszeni marynarki, nie zamykając bezpiecznika. Wartownik pod drzwiami pokoju sir Gordona chyba już drzemie. A jeżeli nie? Trudno. Jakoś się prześliznie. W żadnym razie nie miał zamiaru wtajemniczać nowego sprzymierzeńca w cel zamierzonej wycieczki. To mogłoby spowodować niepożądane komplikacje o nieobliczalnych skutkach. Latarka elektryczna działała bez zarzutu. Nasunął na reflektor niebieski filtr. Nadśluchiwał dłuższą chwilę pełen czujności. Nic. Pałac tonął w niczym niezamąconej ciszy. W pokoju panowało przejmujące zimno. Czerwone żyłki żaru przebłyskujące z rzadka poprzez popiół na kominku, nie dawały ani odrobiny ciepła. Spojrzał na zegarek. Wskazówki posuwały się dziwnie wolno. Czas oczekiwania dłużył się nieznośnie.

Poprawił się na fotelu, przysiadając na samym brzeżku. Wygodniejsza pozycja groziła mu zaśnięciem. Wsunął zziębnięte ręce głęboko w kieszenie kurtki. Czekał.

Zegar na kominku wydzwonił kwadrans. Penthama powoli zaczynał ogarniać niepokój. Czyżby tamten miał zawieść? Nagle żarówka w lampie mrugnęła i zgasła. Pokój wypełnił gęsty, czarny mrok. Odetchnął z ulgą.

Podniósł się, przeciągając mięśnie. Słabo rozbłysło niebieskie światełko. Podszedł w swych sznurkowych pantoflach bezszelestnie do drzwi. Powolutku, cał po cału ugiwała się naciskana ostrożnie klamka.

Drzwi otworzyły się cicho. Przystanął na progu, zamierając w bezruchu. Wstrzymał oddech. Przemienił się w słuch. Przeczekał chwilę. Zależało mu niezmiernie na czasie, musiał jednak czekać. Jeden źle obliczony krok mógł pociągnąć za sobą katastrofę dla ludzi. A śmierć co najmniej jednego. Cisza.

Przywierając niemal do ściany, ruszył naprzód.

Posterunkowy Bonds chrapał na swym fotelu snem sprawiedliwego. Na schodach dał się słyszeć lekki szelest.

Ledwie dosłyszalny odgłos źle naoliwionych zawiasów wsiąkł bez echa w ciemność.

Widmowa smuga niebieskiego blasku musnęła ornament posadzki.

- Tsst!...

Twarz otoczona aureolą niebieskiego światła robiła wrażenie widmowej. Światło zgasło.

Dwa cienie nachyliły się ku sobie. Cienką strużką sączył się szept przyciszonych do ostateczności głosów.

- Więc?

- Jest. Leży w dolnej szufladzie szafy schowany głęboko pod bielizną.

- Sprawdziliście jaki?

- Browning kaliber 6,35. Nie dotykałem, tak jak kazaliście.

- Gdzie stoi ta szafa?

- Po lewej stronie, licząc od wejścia. Mniej więcej na środku pokoju. Są trzy szuflady. Ta środkowa stale zamknięta na klucz. Otworzyłem waszym narzędziem. Oprócz tego colt czterdzieści cztery w biurku. Szuflada nie zamykana prawie nigdy...

Szept ustał. Cienie rozdzieliły się.

Znów zaskrzypiały zawiasy. Zatrzeszczał lekko któryś stopień schodów. Posterunkowy Bends rozciągnięty w fotelu poruszył się przez sen.

Jakiś cień przygnał do ściany, stapiając się z jej ciemnym tłem. Posterunkowy spał.

Cień zaczął się przesuwać dalej.

Polerowana powierzchnia drzwi zaślniła na mgnienie oka jakby odbłaskiem dalekiej błyskawicy. Potem znowu zapadła ciemność.

Zadźwięczał ledwie dosłyszalnie metal. Szczęknęła sucho jakaś sprężyna. Jednostajny szmer.

Nagle coś runęło z ogłuszającym trzaskiem, budząc stokrotne echa wśród murów uspiętego pałacu.

- Kto tam? - wrzasnął nosowy głos, w którym brzmiała histeria i strach.

- Kto tam? - znowu coś ciężkiego runęło na ziemię. Posterunkowy Bends skoczył na równe nogi. Odniosł wrażenie, jakby coś prześliznęło się tuż obok niego.

Delikatny chrzęst zaskakującego zamka wsiąkł bez reszty w potęgujący się z każdą chwilą hałas.

Bonds sięgnął ku pochwie rewolweru.

Co się dzieje do cholery? - pomyślał speszony - mordują kogo czy co? Dobiegał go odgłos odsuwanego mebla. Jaskrawy płomień białego światła przeciął mrok.

Bonds ujął rewolwer.

- Kto tam? - krzyknął.

Promień prześlizgnął się po metalowych guzikach, po czym wystrzelił w głąb korytarza.

- To ja, Worcey - głos drzał wyraźnie - jakiś włamywacz sforsował drzwi od pokoju. Potrącił drzwiami nocny stolik... Czy nie przebiegł koło was konstablu?

Bonds już zupełnie otrzeźwiał. Dla pewności wolał się nie przyznawać do spania na posterunku. Inspektor nie żartował w takich wypadkach.

- Nie - zaprzeczył z przekonaniem - musiałbym go widzieć albo w każdym razie usłyszeć - poprawił.

- Więc gdzie się mógł podziać? - promień zatoczył koło wzdłuż ścian korytarza.

- Inspektor Mallone śpi?

W tej samej chwili otworzyły się z trzaskiem drzwi. Inspektor stanął na progu.

- Co znowu za sądny dzień? - zapytał, rozglądając się na wszystkie strony. W jego rękach również czerniał kształt rewolweru.

Bonds stuknął przepisowo obcasami.

- Mister Worcey twierdzi, że do jego pokoju usiłował dostać się włamywacz - zameldował służbowo.

- I co z tym włamywaczem? - inspektor zapalił latarkę, w korytarzu zrobiło się niemal zupełnie widno - uciekł?

- To właśnie najdziwniejsze - sarknął Worcey - konstabl twierdzi, że koło niego nikt nie przechodził. A innego wyjścia z korytarza nie ma. Rozwiał się jak dym. Albo ukrył się w którymś z pokoi - dorzucił.

- W którymś z pokoi? Hm... - odchrząknął w zadumie Mallone - ano sprawdzimy. Na tym piętrze mamy cztery pokoje. Pański odpada. Mój także. Pokój sir Gordona zamknięty. Pozostał więc tylko pokój pułkownika Penthama... Zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, nagłym ruchem nacisnął klamkę.

Drzwi jednak nie ustąpiły.

- Co się dzieje do wszystkich diabłów - dobiegł z pokoju rozespany głos.

- Czy w pańskim pokoju przypadkiem nie ukrył się włamywacz, który przed chwilą grasował po pałacu? - w głosie inspektora dźwięczał powstrzymany śmiech.

- Nie znoszę, gdy mnie ktoś budzi po nocy dla głupich kawałów - warknęła gniewna odpowiedź. Zatrzeszczało łóżko.

- Patrzcie, jaki ten pułkownik zrobił się nerwowy - skonstatował z ubolewaniem inspektor - skoro jednak twierdzi, że nie schował włamywacza, nie mamy potrzeby zakłócać mu snu. Swoją



drogą uszkodzenia sieci elektrycznej w najmniej odpowiednich momentach zaczynają w tym domu przechodzić w stan chroniczny - mruknął.

- Dotychczas funkcjonowała bez zarzutu - wtrącił Worcey.

- Za to ostatnio... niech ją diabli wezmą - mruknął Mallone i skierował światło na wiszące u sufitu lampy - teraz światło powinno znowu zabłysnąć w całej okazałości.

Zapowiedź jednak nie sprawdziła się.

- Musimy zapalić świece - inspektor opadł ciężko na fotel - widocznie program nie powtarza się dwa razy pod rząd. Bonds na przykład ma oba buty na nogach.

Konstabl wytrzeszczył ze zdumienia oczy.

- Pan coś mówił, inspektorze? - zapytał niepewnie. Mallone machnął ręką.

- Głupstwo. Nie przejmujcie się. Po prostu rozmyślałam sobie na głos.

Trzasnęła zapalka, żółtym języczkiem zakołysał się płomień świecy.

- Ależ przeciągi - westchnął inspektor, wciskając plecy w oparcie fotela. - Że też panu chce się używać takiego archaicznego żelastwa - zauważył spojrzawszy na rewolwer Worceya.

- Cóż z tego, że archaiczny? Za to nie zawiedzie w decydującym momencie, jak to się często zdarza z nowomodnymi pistoletami.

- Tak... to racja. Nie ma jak stare kochane colty. Miał pan ostatnio jakieś niemiłe zdarzenie z automatycznym pistoletem? - rzucił zniemacka pytanie.

Muskuły twarzy Worceya drgnęły.

- Co? Ależ nic podobnego. Skąd to dziwne pytanie?

- Tak jakoś... Ta pańska niechęć do automatycznej broni... Zresztą... Czy nie uważa pan, że czas powrócić do łóżek? Ja osobiście nie miałbym nic przeciwko takiemu spędzeniu reszty nocy. Ciągnie tu ze wszystkich kątów jak licho.

- A jeżeli włamywacz znowu przyjdzie - zapytał z wyraźnym niepokojem Worcey.

- No, w każdym razie nie tak łatwo zdołaliby sforsować pańską barykadę. Właśnie zastanawiałem się nad tym, czy pan oczekiwał niepożądanego wizyty dzisiejszej nocy, wznosząc tak pracowitą konstrukcję.

W oczach Worceya pojawił się wyraz czujności.

- Nie wznosiłem żadnej barykady - zaprzeczył żywo.

- Nie? - Zdziwił się Mallone. - Sądząc po hałasie...

- Drzwi potrąciły przypadkowo nocny stolik i to mnie właśnie zbudziło.

- O - Mallone podniósł się ociężale - mnie również zbudziło, proszę wierzyć. Zerwałem się z łóżka od razu. Ale jak to jednak człowiek może się pomylić. Niemal bym przysiągł, że co najmniej całe umeblowanie pokoju runęło na podłogę.

- Tylko nocny stolik - powtórzył z naciskiem Worcey.

- Niech będzie nocny stolik - zgodził się sennie Mallone. - Tymczasem warto by się chyba zdrzemnąć aż do następnego alarmu. Nie można jednak powiedzieć, żeby noce w tym domu upływały zbyt spokojnie.

- Następnym razem będę strzelał bez pytania - powiedział groźnie Worcey.

- Hm - wyraz twarzy inspektora wyrażał dezaprobatę - jednak dla pewności radziłbym przed strzałem dać ostrzeżenie. Zmuszony byłbym pana aresztować w razie zastrzelenia człowieka bez uprzedzenia. Prawo traktuje to jako zabójstwo.

- Niech sobie traktuje. Wolę być aresztowanym niż zastrzelonym... I nic mnie nie wstrzyma od trzymania rewolweru pod ręką - dorzucił ni stąd ni zowąd Worcey.

- To bardzo dobry sposób trzymanie rewolwerów w pogotowiu. Dobranoc.

Worcey, powróciwszy do swego pokoju, zapalił świecę i wyciągnąwszy się na łóżku, usiłował czytać jakąś książkę. Rewolwer położył na nocnym stoliku. Tym razem nie wznosił barykady przy drzwiach. Piętrzenie mebli musiałyby zwrócić uwagę. A miał pewne powody, by tego unikać. Całkiem zresztą uzasadnione powody. Przynajmniej ze swego punktu widzenia. Bezmyślnie przewracał stronicę za stronicą, nie mogąc wyłowić sensu z drukowanych zdań. Mózg świdrowała natrętna myśl: dlaczego Mallone, wspominając o rewolwerach, użył liczby mnogiej? Oczywiście, mógł to być czysty przypadek.

Poczuł na skórze niemiły dreszcz.

W zagęszczonym po kątach mroku obszernego pokoju czaiły się jakieś wizje, wywołując w nim paniczny lęk.

Dotknął końcami palców drewnianej rękojeści rewolweru. To mu dodało nieco otuchy.

Gdzieś zatrzeszczała podłoga. Potrzaskiwała wprawdzie również w czasie innych nocy, ale nie zwracał na to uwagi. Dziś jednak...

Otarł wierzchem dłoni pot gęsto występujący na czoło.

Niejasne przecucie nadciągającej katastrofy ścisnęło skurczem serce.

Gra kosztowała go znacznie więcej, niż tego się początkowo spodziewał. Nie był pewny, czy nerwy wytrzymają do ostatecznej rozgrywki.

Inspektor Mallone również długo nie mógł usnąć.

Nie był z siebie zadowolony. Niepotrzebnie naciskał Worceya, a już końcowa uwaga o rewolwerach stanowiła niedopuszczalną gafę. Pentham przecież wyraźnie uprzedzał, by nie dać przeciwnikowi podstawy do domysłów.

Przewracał się niespokojnie z boku na bok.

- Strzeliłem solidnego byka, szkoda gadać. Gdyby Pentham słyszał... No - nasunął kołdrę pod brodę - Pentham właściwie nie ma się czego stawiać. Też przecież wpadł, stawiając cały dom na nogi. Inspektor nie miał najmniejszej wątpliwości co do osoby tajemniczego włamywacza. Domyślał się też celu nieudanego włamania. Skoro świt inspektor zbiegł do kuchennego hallu. Obejrzał dokładnie marmurową płytę tablicy rozdzielczej.

Bezpieczniki przepalone.

Chytrze... daję słowo... Bardzo chytrze - pomyślał.

Nagle stracił dotychczasową pewność co do identyczności nocnego gościa z Penthamem. Bo jeżeli uszkodzenie powstało przypadkowo, do drzwi Worceya mógł się dobierać ktoś inny.

To komplikowałoby mocno sprawę, wprowadzając do niej dalsze niewiadome.

A zapytać wprost Penthama? Nie. To nie miało żadnego celu.

### **XXIII. ŚLAD KOMPLIKUJE SIĘ**

Pentham tego przedpołudnia stanowczo mógł mówić o szczęśliwej passie.

Odnalezienie w rozległym lesie owczarza, który się wybrał po chrust, nie przedstawiało wielkiej szansy. Tymczasem po trwającym niecałe pół godziny włóczeniu się po lesie dojrzał przygarbioną sylwetkę w postrzępionym kozuchu.

Opis Mallorsa był zbyt dokładny, by zachodziły jakiegokolwiek wątpliwości co do osoby Hybsa.

Owczarz odburknął coś pod nosem na uprzejme pozdrowienie, obrzucając Penthama ponurym spojrzeniem. Widać było, że nie ma najmniejszej ochoty na nawiązanie bliższej znajomości.

Pentham przystanął, napychając umyślnie wolno fajkę. Za wszelką cenę musiał nawiązać rozmowę z tym mrukiem. Od tego zależało niezmiernie wiele.

- Nie moglibyście mi wskazać drogi do Westerchurch? - zapytał.

Hybs podniósł głowę.

- Do Westerchurch? - był wyraźnie zdumiony - przecież to w całkiem przeciwnym kierunku.

Pentham wiedział o tym doskonale. Zrobił jednak rozczarowaną minę.

- A daleko jeszcze? - zapytał zbolalym głosem. Hybs podniósł jakąś suchą gałąź i włożył ją do płachty.

- Żebym powiedział, że mniej niż sześć mil, to bym skłamał. Pewnie będzie dalej.

Przerażenie Penthama było zrobione doskonale.

- Bójcie się Boga, człowieku! Łazę już po tym przeklętym lesie od trzech godzin i coraz dalej jestem od celu?

Owczarz wzruszył obojętnie ramionami.

- Cóż wam na to mogę poradzić? Pójdziecie w tym kierunku do polany, potem zaś...

- Nie - zamachnął rękami Pentham - mowy nie ma, bym dłużej włożył się po tej głuszy. I tak przemarzę do szpiku kości. Ledwie nogami włożę. Czy tu gdzieś w pobliżu nie ma jakiejś gospody, gdzie bym mógł się trochę ogrzać?

Z niepokojem oczekiwał odpowiedzi. Historyjka była szyta dość grubymi nićmi. Nie dalej niż w odległości stu jardów las zaczynał wyraźnie przeświecać.

Hybs jednak połknął haczyk.

- Jest jedna... Niezbyt daleko... „Pod królem Arturem”. Może z pół mili w tamtym kierunku - wskazał ruchem ręki.

- Nie - zawołał błagalnie Pentham - na pewno znowu bym zablądził. Zlitujcie się i podprowadźcie mnie.

- Nie mam czasu... muszę zbierać chrust... Nie zblądzicie... Dziecko by trafiło.

- W tej chwili jestem słabszy od dziecka. Podprowadźcie. Bardzo was o to proszę. Zapłacę.

W końcu Hybs uległ. Widocznie obietnica zapłaty była dla niego nie do pogardzenia.

Gdy ukazał się łamany dach oberży, chciał koniecznie wracać do lasu. Pentham jednak nalegał.

- Przecież nie odmówicie kieliszka czegoś na rozgrzewkę - wsunął do sękaty dłoni zwinięty banknot - wyświadczycie mi wielką przysługę.

Hybs wahał się długo.

- lii... co tam za przysługa - zaciekawiony wzrok obmacywał twarz przygodnego znajomego, który zdradzał niezwykłą jak na miejscowe zwyczaje chęć fundowania. - Czego on ode mnie chce? - rozmyślał podejrzliwie.

Opierał się jeszcze trochę, szedł jednak z ciągnącym go za rękaw towarzyszem.

Naprawdę przemarzył porządnie w swym podziurawionym jak sito kożuszku. Okazja była nie do pogardzenia.

Z początku wzdragał się przed każdym kieliszkiem. Pentham jednak umiał namawiać. Po pewnym czasie alkohol zaczął wyraźnie roztopiać nieufność.

- Jeszcze jeden kieliszek?

- A niech tam będzie...

Kolejka szła za kolejką. Teraz Pentham mógł już niemal otwarcie wylewać swoje kieliszki na podłogę. Oczy owczarza zmętniały. Nieoczekiwanie stał się gadatliwy.

- Dobrze tak siedzieć sobie w ciepłej izbie i chlać whisky - rozparł się wygodnie na krześle.

- A mnie wiecie... tego... los się bardzo... Nic tylko haruj cały dzień, a i tak nie ma co do garnka włożyć. Babie się zmarło... będzie już pięć lat... Polly jej było... zostawiła mnie nieszczęśnika z małym skrzatem...

Pentham pośpiesznie nalał opróżniony kieliszek.

- To macie syna?

- Nie... córkę. Ale et - machnął ręką - nieszczęście. Kaleka... Człowiekowi się niekiedy ziemię chce gryźć z rozpacz. - Wypił.

- Biedne dziecko - Pentham znowu nalał - i tak cały dzień sama w domu?

- Prawie. Tyle, co ją Jolly pilnuje.

- Jolly? Co za dziwne imię... Jakaś krewna?

- Nie - Hybs obracał bezmyślnie kieliszek w palcach, po czym wypił szybko - pies...

Pentham wolał nie ryzykować zbyt szybkiego tempa pytań. Kto wie, czy Hybs jest naprawdę tak pijany, jak wygląda

- Tak - ujął butelkę - takie małe psy to wspianiała zabawa dla dzieci...

Hybs wytrzeszczył szkliste oczy.

- Jolly mała? A to się wam udało! Przecież będzie chyba taka - wskazał dłonią, na wysokość stołu.

- To rzeczywiście olbrzym - Pentham pokiwał głową w podziwie - I dobre psisko?

- Niczego sobie, tylko z felerem. Kiedyś, gdy była jeszcze szczeniakiem, ktoś ją postrzelił. Ledwie się wylizała. I teraz wystarczy, by ktoś przy niej strzelił - kaput. Ogon pod siebie i w nogi...

Pentham nadstawił uszu. To było godne uwagi. Jeżeli jeszcze do tego...

- W wasze ręce...

- I w wasze - szkło zadźwięczało cienko.

- Wiecie - zaczął ostrożnie - dla takich dużych psów to czasami nawet niby nic nie znacząca ranka może się okazać groźną,

- Czyżby? - w oczach Hybsa zamigotało niedowierzenie.

- Ależ tak, wierzcie mi na słowo - zapewniał. - Jeden z moich przyjaciół miał na przykład wielkiego wilczura. Postrzelili go przypadkiem. Całkiem zresztą lekko. Po kilku dniach zdawało się, że wszystko przyschło. Mija jeszcze trochę czasu i nagle pies zdycha. Cóż się okazuje? Zakażenie. Trzeba być bardzo ostrożnym w takich wypadkach.

Sklecona naprędce bajeczka była dość nieudolna. Podlana jednak odpowiednią ilością alkoholu mogła osiągnąć zamierzony skutek.

Hybs słuchał, kiwając się nad stołem.

- Na szczęście moja Jolly jest w porządku.

Nie pomogły dalsze podchwytliwe pytania i coraz to nowe kolejki whisky. Albo pies rzeczywiście nie odniósł w ostatnich czasach żadnej rany, albo też Hybs pomimo oszołomienia potrafił w odpowiednim momencie przytrzymać język za zębami.

Pentham nie rezygnował. Stwierdzenie tej okoliczności miało zbyt wielkie znaczenie. Skoro nie było innego wyjścia, należało sprawdzić osobiście, jak się rzecz miała.

Realizacja pierwszej części planu nie wymagała już wiele czasu. Pod koniec drugiej butelki Hybs zwałił się ciężko na stół, wywracając kieliszki. Za chwilę zachrapał. Pentham przeczekał jeszcze chwilę, obserwując bacznie śpiącego. Uspokojony wstał wreszcie od stołu. Mister Mallors otrzymał odpowiednie instrukcje poparte szeleszczącymi argumentami. Yardley nie był bynajmniej zachwycony projektem.

- A jeżeli bestia skoczy mi do gardła? Wierzcie mi pułkowniku, pies nie robi sympatycznego wrażenia.

- Psa biorę na siebie.

Wyraz twarzy reportera wyrażał powątpiewanie.

- Ba... to bardzo ładnie wygląda w teorii. Nie wiem jednak czy kochana suczka zechce respektować plan akcji? A jeżeli przypadkiem będzie wolała zawrzeć bliższą znajomość ze mną zamiast z wami?

Pentham zaczął mówić o sensacji. Yardley powoli tajał. Wreszcie machnął ręką.

- W każdym razie teraz będę wiedział na podstawie osobistego doświadczenia, jakich uczuć doznaje człowiek skazany na pożarcie przez psy.

Mallors wywiesił kartkę „Zamknięte” i rzeczywiście zamknął na dobre gospodę.

Hybs sapał pogrążony w ciężkim pijackim śnie.

Tymczasem z krzaków otaczających chatę owczarza wysunęły się dwie skulone postacie.

Spod nasuniętych na czoła czapek futrzanych widoczne były chustki osłaniające dolną część twarzy.

Z trzaskiem otworzyły się gwałtownie pchnięte drzwi.

Olbrzymi wilczur tym razem nie warknął.

Żaden dźwięk nie wydobył się z jego rozwartej paszczy, gdy skoczył jednym susem ku przybyszom. W połyskujących fosforycznie w półmroku przekrwionych oczach czaiła się żądza mordy.

W drzwiach zakotłowało się.

Mała Mary patrzyła w przerażeniu na scenę odgrywającą się na progu, nie mogąc zrozumieć jej znaczenia.

Pies nagle zaskowyczał. Ze ściśniętego strachem gardła dziecka nie wydobyło się wołanie o pomoc. W chacie rozeszła się dziwna woń. Skowyt psa przeszedł w rżenie. Potężnym cielskiem wstrząsnął atak gwałtownych drgawek. Potem zapadła martwa cisza. Pies leżał na podłozie bez ruchu. Serce dziecka przeszył ostry ból. - Jolly?!

Tuż nad tapczanem pochyliła się zamaskowana twarz.

- Och - podniosła wychudłe rączki, jakby zasłaniając się przed oczekiwanym ciosem - nie róbcie mi nic złego... ja...

- Nie bój się malutka - uspokajał ją sztucznie schrypnięty głos - nie bój się...

- Boże... Zabiliście Jolly. - Wybuchła niepowstrzymanym, rozpaczliwym płaczem.

Zamaskowany mężczyzna cofnął się o krok, jakby się przestraszył atakiem gwałtownej rozpaczyny małej kaleki.

- Nie bój się - powtórzył bezradnie.

- Jolly! - załamała ręce Mary - moja kochana Jolly!

- Uspokój się. Nic jej nie będzie...

- Jak to? Przecież ją zabiliście.

- Nic podobnego. Została tylko uśpiona. Za godzinę będzie znowu skakała, jak gdyby nigdy nic.

- O dziękuję panom... dziękuję z całego serca... będę się za was codziennie modliła - mówiła wzruszona dziewczynka.

Napastnik mruknął coś niewyraźnie, jakby zaklął. Wreszcie zapytał bez przekonania.

- Gdzie macie schowane dolary?

- Jakie dolary? - nie płakała już. - Nie mamy ani grosza...

- No te, co wam przysyła wujaszek z Chicago. Przecież coraz to przychodzą od niego pękate listy.

- Ach! Wujaszek Willy? Ale jemu się bardzo źle powodzi. Może jeszcze gorzej niż nam. Pisze, że chciałby wrócić, ale nie ma pieniędzy na kartę okrętową...

- Zawracanie głowy! - szorstkość słów łagodził niespodziewanie ciepły ton, jakim zostały wypowiedziane - sami poszukamy.

Zaczął szukać po kątach, rozrzucając kopnięciem jakieś gałgany i wywracając nędzne sprzęty.

Wyglądało jak gdyby jedynym celem poszukiwań było narobienie jak największego nieporządku.

Dziewczynka jednak nie zwracała na niego uwagi. Wiedziała, że nic nie znajdzie, bo nic nie było do znalezienia. Wszystkie myśli kaleki ześrodkowały się na psie. Czy naprawdę przebudzi się i będzie taki jak przedtem?

Od progu doszło ciche gwizdnięcie.

- Nic tu nie ma - burknął krępy mężczyzna, podpierając ramieniem wielki stół z nieheblowanych desek. Ciężki mebel runął z ogłuszającym łoskotem. W jaki sposób miał pomóc ten ostatni wyczyn do odnalezienia dolarów, stanowiło tajemnicę nieznanego.



- Pa malutka! - zwrócił się do Mary, ruszając ku wyjściu.

Stęknął pod twardym uderzeniem między zebra.

- Do diabła - zaklął - tym razem głos jego brzmiał bardzo groźnie - jeszcze znajdziemy te przeklęte dolary.

Skrzypnęły drewniane zawiasy.

- Nadajecie się na bandytę jak ja na kabaretową tancerkę. Szkoda jeszcze, że na pożegnanie nie pocałowaliście dziecka.

- Hm - mężczyzna w bufiastych spodniach zrobił skruszoną minę - rzeczywiście niewiele brakowało. Tak się przeraziło biedactwo, aż się serce krajało.

- A co z psem?

- Fiasko - padła ponura odpowiedź. Znalazłem jedną bliznę, ale ta pochodzi na pewno z dawnych czasów. To jedno się nie zgadza. Bo wszystko inne... westchnął - ślad, w którym pokładałem tyle nadziei, zaczyna zawodzić. I kto wie, czy nie prowadzi w próżnię...

Szli w milczeniu. Zmarznięty śnieg rażno skrzypiał pod nogami. Powoli zapadała szarość wczesnego zimowego wieczoru.

Wskazówki zegara biegły nieubłagane naprzód. Dzień się kończył. Piąty i ostatni dzień. Wzrok Gordona coraz częściej kierował się z rezygnacją na wielki rubin w sygnecie. Jeden ruch i po wszystkim.

- Biedna, maleńka Flo - zacisnął szczęki - i jakie to głupie, że właśnie teraz...

## XXIV. ZEPSUTY SAMOCHÓD

Zalana słonecznym światłem szosa była zupełnie pusta.

Zza zakrętu wynurzyła się limuzyna, odbijając promienie w lśniącej karoserii.

Samochód wyraźnie zwalniał. Jeszcze kilkanaście zamierających obrotów silnika i zatrzymał się. Otworzyły się szarpnięte niecierpliwą ręką drzwiczki. Okutany w obszerne futro mężczyzna przysłonił dłonią oślepienie blaskiem słońca oczy.

Zaklął pod nosem. Nie zaszkodziłoby trochę chmur. Po chwili uspokoił się. Światło padało z prawej strony. Powolnym, ociężałym krokiem podszedł ku przodowi samochodu. W ciszę wpadł odgłos blaszanego chrzęstu. Podniesiona maska odsłoniła wnętrze.

Rozejrzał się bacznie na wszystkie strony.

Na szosie wciąż panowała absolutna pustka.

- Dobra - ale to słowo brzmiało niemal jak przekleństwo. Wyjął francuski klucz i pochylił się nad odkrytym silnikiem. Żelazny uchwyt zaskoczył wokół wystającej śruby. Mężczyzna wyprostował się, wypuszczając z ręki narzędzie.

- Już czas! - mruknął.

Jeszcze wolniejszym krokiem powrócił do wnętrza samochodu. Zaciśnął usta. Pionowe zmarszczki na czole pogłębiły się w ciemnie bruzdy. Niebieskawymi liniami wystąpiły żyły na skroniach. Niecierpliwe wzruszenie ramion przerwało wahanie. Trudno!

Opuścił szybę. Wychylił się niemal do połowy ciała na zewnątrz, rozglądając się po szosie. Pusto!

Ściągnąwszy futrzane rękawice, rozcierał przez chwilę palce. Wypróbował ich sprawność. W porządku.

Był już zdecydowany. Los nie dawał innego wyjścia. A nie po to przeszedł przez to wszystko, by teraz niemal tuż przed samą metą doznać klęski.

- Sam sobie winien... - mruknął półgłosem. Panująca wokół cisza zaczynała mu już działać na nerwy.

W okrągłej soczewce lunety odbijał się obraz mężczyzny z rewolwerem w ręku.

- Tak - stłumił westchnienie - głupiec!

Nagle opanowała go głucha złość. Żeby nie tamten... wszystko szło już tak dobrze. Wskazujący palec prawej ręki wykonał nieznaczny ruch.

Syknęło powietrze. Obraz występujący w soczewce nie budził żadnych wątpliwości. Stało się.

Powrócił do odsłoniętego silnika. Cicho opadła opuszczona ostrożnie maska. Naprawa została dokonana. Rytmicznie zagrał motor potężnej maszyny.

Gwałtownym zrywem samochód ruszył z miejsca, nabierając szybkości z każdym obrotem kół.

Po chwili zniknął.

Na śniegu pozostały żebrowane odciski kół. Ale na to nie było rady.

W odległym mieście z luksusowej limuzyny wysiadł człowiek o szarym niemal odcieniu twarzy.

- Wszystko w porządku - oświadczył w odpowiedzi na pytające spojrzenie człowieka w bieli. - Operacja się udała. Poszło nadspodziewanie gładko.

Inny człowiek złapał w locie zrzucone niecierpliwym ruchem futro. Mężczyzna o szarej twarzy przesunął ręką po czole.

- Jestem bardzo zmęczony. Muszę odpocząć. Dziś nie ma mnie dla nikogo.

Dwie gładko uczesane głowy pochyliły się w wyrazie niemego posłuszeństwa. Dwie pary oczu utkwily w pomarszczonym czole z nabożnym podziwem.

Cicho zapadły drzwi z polerowanego mahoni. Szczękniętą przekręcany w zamku klucz. Zmęczony wzrok przesunął się po kartce kalendarza. Był już najwyższy czas.

Obojętne na wszystko wskazówki zegara biegly naprzód, odmierzając upływające minuty.

## **XXV. POWÓD DO ODROCZENIA WERDYKTU**

Inspektor Mallone nerwowym krokiem przemierzał tam i z powrotem szerokość salonu. Zmarszczki pokrywały zachmurzone czoło. Natrętna myśl coraz dokuczliwiej świdrowała mózg.

Zabrzmiął głęboki dźwięk gongu wzywającego na posiłek.

Mallone zatrzymał się raptownie w pół kroku.

- Jeżeli i tym razem...

Powódź światła spływająca z kryształowych żyrandoli zalewała wytwornie zastawiony stół.

Ale tego wieczoru nawet największe przysmaki nie były w stanie spędzić zasępienia z czoła inspektora. Wzrok jego uparcie powracał ku świecącemu pustką fotelowi.

- Co z Worceyem - ocknął się z niewesołej zadumy Pentham - bardzo się jakoś spóźnia. Miałem zamiar zapytać go o pewne rzeczy...

- Hm - Mallone obracał w palcach widelec - muszę przyznać, że jestem trochę zaniepokojony. Od rana ani się odezwał. Na lunchu również nie był.

- Może po prostu dokądś wyjechał?

- Czy ja wiem? Nikomu ze służby nie wspominał o zamierzonym wyjeździe. Nikt też nie widział, by wychodził.

- W pokoju go nie ma?

- Na pukanie nikt nie odpowiada. Próbowałem kilkakrotnie bez żadnego rezultatu, a co najdziwniejsze, okno od jego pokoju jest otwarte od rana.

- O - zdziwił się Pentham - otwarte okno? Na taki mróz?

Mallone pokiwał głową.

- Otóż to. Wprawdzie Johson oświadczył, że Worcey często w zimie każe wietrzyć sypialnię. Podobno cierpi na początki astmy i wprost nie znosi nie odświeżonego powietrza. Żeby jednak trzymać okno otwarte przez tyle godzin? Johnson twierdzi, że to się nigdy jeszcze dotychczas nie zdarzyło.

Pentham odłożył nadgryzioną kanapkę. Nagłe zniknięcie Worceya mogło pociągnąć wprost nieobliczalne skutki.

- Może spróbujemy razem wypukać go z pokoju? - Miał zresztą na myśli raczej bardziej radykalne posunięcia.

Mallone przystał skwapliwie na propozycję, odsuwając z pośpiechem krzesło. Konstabl Andrews poinformował ich po drodze, że Worcey nie wychodził ze swojego pokoju.

Inspektor zapukał energicznie. Za drzwiami panowała jednak niczym niezmacona cisza.

Pentham nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

- Zamknięte na klucz - wyjaśnił Mallone - sprawdzałem już przed południem.

- Może nie słyszy z powodu otwartego okna?

- Może - pięści inspektora zadudniły głucho. Walił w drzwi z całych sił. W pokoju Worceya nic się nie poruszyło.

- Chwileczkę - Pentham pochylił się do dziurki od klucza.

Gdy się wyprostował, twarz jego spoważniała.

- Niedobrze. Klucz tkwi w zamku. Inspektor przeraził się.

- W takim razie nie pozostaje nic innego jak otworzyć drzwi siłą. Że też nie zauważyłem przedtem tego nieszczęsnego klucza - dodał z poczuciem winy.

Chciał posłać Andrewsa po ślusarza. Pentham powstrzymał go jednak.

- Obejdziemy się.

Wyjął z kieszeni płaskie etui ze sztywnej skóry. Zastaniając ciałem drzwi przed ciekawym wzrokiem inspektora, złapał drucianymi obcęgi dziwaczego kształtu widoczny w otworze koniec klucza.

Ruch ręki i zgrzytnął zamek.

Mallone nacisnął klamkę. Drzwi stanęły otworem. Zatrzymali się w progu. Wystarczył jeden

rzut oka, by zorientować się w sytuacji.

Pokój tonął w srebrzystej poświacie wpadającej przez otwarte na oścież okno. Na środku na podłodze leżał zastygły w bezruchu człowiek.

Pentham przekręcił kontakt. Rozbłysły lampy przyćmione filtrami barwnych abażurów.

Weszli do środka.

Mallone przyklęknął, unosząc nieco głowę leżącego. Był to Worcey.

Na środku czoła czerniał niewielki otwór otoczony wieńcem zakrzepłej krwi.

- Sztywny już - oświadczył Mallone - śmierć musiała nastąpić co najmniej przed kilkoma godzinami. - Wzrok inspektora przewędrował z kolei na pistolet tkwiący w dłoni zmarłego. - Oczywiście samobójstwo. - Nachylił się.

- Kaliber 6,35! - spojrzał znacząco na Penthama. - Koło się zamknęło.

Pentham w milczeniu wpatrywał się w nieruchomą postać.

- Nie bardzo jednak rozumiem, dlaczego się zastrzelił? - odezwał się po dłuższej chwili.

- Jak to dlaczego? - we wzroku inspektora zamigotało zdumienie. - Czyż miał inne wyjście?

- To nie jest takie proste - rzekł Pentham powoli - przecież nie mógł wiedzieć, co mamy w ręku.

Inspektor odwrócił głowę, unikając jego wzroku.

- No... hm... oczywiście. Ale mógł się domyślać... coś podejrzewać.

- Niby z jakiego powodu? - mruknął z powątpiewaniem Pentham - Ja w każdym razie nie dałem mu żadnych podstaw do podejrzeń - dodał z naciskiem, bezskutecznie usiłując dojrzeć wyraz oczu inspektora.

- Ja także nie - oświadczył z pośpiechem Mallone. - Zresztą mniejsza o to, na jakiej podstawie. Widocznie doszedł do wniosku, że sprawa przybiera kiepski dla niego obrót. Wyciągnął z tego jedynie właściwe konsekwencje. A my mamy w ręku wszystkie atuty. Pańskie atuty, pułkownika - przyznał lojalnie. - Pistolet decyduje o zamknięciu sprawy i otwiera drzwi przed sir Gordonem. Jeszcze pan nie jest zadowolony?

Pentham jednak miał dziwne wrażenie, że coś w tym wszystkim jest niejasnego.

- O - wciągnął powietrze - jak tu nieprzyjemnie pachnie. Czuje pan, inspektorze?

Inspektor również poczuł.

- To pewno ze dworu. Jakieś palone gałgany czy coś w tym rodzaju.

- Raczej nie - dusząca woń nasuwała przypomnienie z odległych czasów. - Rozejrzał się badawczo po podłodze. - Tak - wskazał końcem buta leżące w kącie odłamki cieniutkiego szkła - czegoś podobnego używaliśmy w szkole dla wykurzania z klasy niesympatycznego nauczyciela. Ale tu? Mieszanka musiała być bardzo mocna, skoro pomimo tak długo otwartego okna zapach nie wywietrzył całkowicie. - Spojrzenie pobiegło ku oknu. Wyczuwał, że między tymi dwoma zjawiskami zachodzi bezpośredni związek.

Powolnymi krokami przemierzał pokój. W nagromadzonym na palenisku wygasłego kominka popiele coś białało.

Nachylił się nieznacznie, korzystając z chwilowej nieuwagi inspektora.

Mallone powstał sprężyscie.

- Jeżeli jeszcze ekspertyza wykaże, że wyjęta z ciała Woodsona kula może również pochodzić z tej lufy - kiwnięciem głowy wskazał pistolet tkwiący w zeszywniałych palcach - wszystko będzie w porządku.

Wątpliwości Penthama nie przejmowały go ani trochę.

Przecież wiedział, na jakiej podstawie zmarły mógł oprzeć swe domysły. Nie zdradzał zresztą z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. W myśli układał już treść raportu. Ależ wytrzeszczą oczy w Komendzie Głównej, gdy zobaczą...

Sir Gordon śledził wskazówki zegara. Określił dokładnie godzinę, do której postanowił czekać. Całe życie postępował według z góry nakreślonego planu.

Ostrze czarnej strzałki dobiegało nieuchronnie do wyznaczonego punktu. Paznokiec nacisnął ledwie dostrzegalną głowicę sprężynki.

Oczko rubinu drgnęło jakby z wahaniem, unosząc się ku górze. We wgłębieniu, pod kamieniem szarzała szczypta proszku. W powietrzu rozszedł się słaby zapach gorzkich migdałów.

Cyjanek potasu. Napełniona do połowy szklanka stała na nocnym stoliku. Palec z sygnetem zawisł nad powierzchnią wody.

W tym samym momencie w mikrofonie zatrzeszczało nagłym wezwaniem...

## **XXVI. NIEWIADOME W RÓWNANIU PENTHAMA**

Tym razem ogłoszenie postanowienia odraczającego śledztwo nie wywołało wśród zgromadzonych słuchaczy najmniejszego sprzeciwu.

Wszyscy rozumieli, że gwałtowna śmierć Worceya musi komplikować dochodzenie w sprawie

tragicznego polowania. Bo któż mógł przewidywać, czy między tymi dwoma wypadkami nie zachodzi jakiś tajemniczy związek?

Położenie sir Gordona zmieniło się radykalnie. Drzwi jego pokoju stały otworem. Obowiązywał tylko zakaz wychodzenia poza obręb pałacu.

- To zresztą tylko do czasu otrzymania wyników ekspertyzy rusznikarskiej wyjaśnił grzecznie Mallone. - Bo jeżeli okaże się, że pocisk, który zabił Woodsona, pasuje do pistoletu Worceya, stanie pan poza wszelkimi podejrzeniami. A pistolet Worceya robi wrażenie również „fabrycznie nowego”.

Sir Gordon oddychał pełną piersią. Skoro umorzenie przeciwko niemu śledztwa miało być jedynie kwestią dopełnienia formalności...

Yardley zacierał ręce. Sensacja *first classe*. Reportaż, jaki przetelefonował, o śmierci Worceya, był pierwszym, jaki ukazał się w stołecznym wydaniu pism popołudniowych! A przecież to był dopiero skromny początek. Na zapas już przygotował sążniste reportaże: „Samobójstwo mordercy”, „Jak wykryliśmy prawdziwego mordercę?”. Ale przed nadejściem ekspertyzy rusznikarskiej nie można było ogłosić z tego ani słówka.

Pentham w skrytości ducha przetrawiał swoje wątpliwości. Na oko rzeczywiście wszystko wyglądało jasno. Ale tak samo jasno przecież wyglądały wyniki dochodzenia prowadzonego przeciwko sir Gordonowi. A w wypadku Worceya kilka szczegółów było zupełnie niejasnych. Przede wszystkim kto i w jakim celu rozbił w pokoju Worceya ampułkę z gazem drażniącym, zmuszając go do otworzenia okna? Poza tym trudną do rozwiązania zagadkę stanowiły szczątki papieru, które wyłowił z popiołu na kominku. Ogień oszczędził wprawdzie niewiele słów, ale i tego, co zdołał odcyfrować wystarczyło aż nadto do zaciemnienia okoliczności towarzyszących ostatnim chwilom Worceya. Po raz nie wiadomo który, przebiegał oczyma mocno nadpalony skrawek papieru:

„...wydasz... emy obaj... eż z.....stolet...amy

...osie... alnie... iszcz koniecznie... stko... dzie... rządku...”.

- Do diabła! Każdy szyfr byłby łatwiejszy do odcyfrowania. Jedno zdanie, które nie pozostawiało miejsca na żadne wątpliwości, musiało mieć brzmienie następujące: „Weź z sobą pistolet”.

I tu otwierał się cały bezmiar zagadek.

Kto wiedział, że Worcey posiada rewolwer kaliber 6,35? W jakimi celu i dokąd kazał Worceyowi zabierać ten rewolwer ze sobą? I w ogóle jaką rolę ten ktoś nieznajomy odegrał w całej tej sprawie?

Sprawa postrzelonego przez sir Gordona wilka też nie została dotychczas należycie naświetlona. Jolly odpowiadałby wszystkim wymogom za wyjątkiem jednego, właśnie najważniejszego: z całą pewnością w ostatnich czasach nie odniosła żadnej rany. Sprawdził to aż nadto dokładnie.

I jeszcze jedno. Worcey trzymał w prawej dłoni pistolet, to była niezaprzeczalna prawda, która wystarczyła Mallone'owi. Trzymał go jednak w sposób wykluczający strzelanie. Oczywiście po odniesieniu śmiertelnej rany palce mogły się rozluźnić i pistolet mógł się z nich częściowo wysliznąć. Takie historie się zdarzały. Jednak nienaturalne położenie pistoletu stanowiło również okoliczność, którą aż do wyników badań odcisków palców na jego powierzchni należało zaliczyć do niewiadomych.

## XXVII. PISTOLET, Z KTÓREGO STRZELANO ZBYT DAWNO

Mallone powolnym ruchem odłożył słuchawkę.

- Ładna historia - patrzył w ponurym milczeniu na aparat telefoniczny - i co dalej?

Spadło to na niego jak grom z jasnego nieba.

Fiasko. Co do tego nie było dwóch zdań. Znowu wszystko trzeba było zaczynać od początku. I kto wie czy nie obu spraw naraz.

Ociężałym krokiem powlókł się do salonu.

Pentham wygodnie wyciągnięty w fotelu grzał się przed kominkiem.

- I co? - podniósł głowę - jakie wyniki ekspertyzy? Mallone przystanął przed fotelem, krzyżując ręce na piersiach.

- Kula nie pochodzi z pistoletu Worceya.

- Która? Ta w wypadku Woodsona, czy ta od której zginął Worcey?

- Żadna. Analiza nalotu w lufie wykazała, że ostatni raz strzelano z niego przed kilkoma miesiącami.

Twarz Penthama nie wyrażała żadnych uczuć. Inspektor nie spuszczał wzroku z jego twarzy.

- Nie jest pan zdumiony, pułkowniku? - zapytał z naciskiem.

- Owszem - potwierdził obojętnie Pentham - jestem zdumiony. Przynajmniej jeżeli chodzi o jeden z tych wypadków... - dorzucił w zamyśleniu.

- O który?

- Niestety tymczasem muszę się powstrzymać od wypowiedzi na ten temat.

- W ten sposób oczywiście najłatwiej - sarknął. - W ogóle w tej sprawie dużo rzeczy jest zastanawiających - dorzucił.



- Od razu zwracałem panu na to uwagę - zauważył Pentham.

- Tak... pan zawsze zwraca uwagę na to, co dla pana jest wygodniejsze. Ale powracając do Worceya. Przede wszystkim kula wydobyta z jego mózgu jest pociskiem z pistoletu automatycznego kaliber 6,35. Czy to pana nie dziwi?

- Dlaczegoż ma mnie dziwić? Przecież w ostatnich czasach pociski kalibru 6,35 spadają w obfitości biblijnej manny. Wielu ludzi posiada tego rodzaju pistolety.

- Owszem, wielu. A ja dla odmiany posiadam doskonałą pamięć. I akurat sobie przypomniałem o niektórych posiadaczach pistoletu tego kalibru - powiedział znacząco.

Pentham spojrział na niego chłodno.

- O niektórych? - powtórzył. - Czyżby pan podejrzewał, że Worceya zastrzelił sir Gordon poprzez dziesięć solidnych ścian? I z pistoletu, który od tygodnia spoczywa w szafie Scotland Yardu?

- To moja rzecz, co podejrzewam - odciął się ostro.

- Słusznie - potwierdził obojętnie Pentham. - Ale wobec tego nie widzę celu naszej dalszej rozmowy...

Mallone był rozdrażniony. Opanował się jednak.

- Chciałbym zapytać pana o kilka rzeczy. Czy mi pan odpowie? - głos brzmiał wymuszoną grzecznością.

- To zależy od rodzaju pytań - odparł Pentham.

- Lepiej byłoby, gdyby jednak pan odpowiedział.

Inspektor oparł się plecami o gzyms kominka. Zachowanie jego świadczyło, że nie zamierzał zbyt szybko kończyć rozpoczętej pogawędki.

Mina Penthama była coraz senniejsza. Niezupełnie jednak odpowiadała rzeczywistemu nastrojowi. Myśl pracowała intensywnie. Domyślał się bowiem, jakiego rodzaju pytania paść mają za chwilę.

- Sądząc po wczorajszym wyczynie, umie pan gładko otwierać drzwi od pokoju Worceya - zaczął inspektor.

Pentham poprawił się w fotelu.

- Dziękuję za uznanie. Jeżeli jednak ma pan zamiar wyliczać wszystkie moje umiejętności, rozmowa grozi przeciągnięciem się do świtu.

Inspektor zdawał się nie dostrzegać ironii.

- Należy zatem sądzić, że przedwczorajszej nocy pan właśnie był tym tajemniczym włamywaczem, który zbudził Worceya.

- Sądzi pan, że jestem jedynym w całej Anglii szczęśliwcem posiadającym szlachetną umiejętność otwierania drzwi bez klucza?

- Czy to pan był wtedy u Worceya? - Rzucił już wprost pytanie Mallone.

- Nie - pokiwał przecząco głową Pentham - niech pan nie sądzi, inspektorze, że tak ważne przyznanie zdoła pan ze mnie wydusić bez użycia co najmniej badania trzeciego stopnia.

- Więc odmawia pan odpowiedzi?

- Coś w tym rodzaju - potwierdził uprzejmie. - Zresztą jakież znaczenie może mieć identyczność niefortunnego włamywacza, skoro nie zdołał się przecież dostać do pokoju?

- Wtedy tak. Ale jeżeli powrócił tam po raz drugi? Tym razem miałby ułatwione zadanie. Nie słyszałem bowiem, by Worcey rekonstruował barykadę przed drzwiami.

- Taki ma pan dobry słuch?

- Owszem, wystarczający.

- A wystrzału by pan nie usłyszał?

- Istnieje przecież tłumik Maxima!

- Naturalnie. Widziałem go nawet na własne oczy. Bardzo dobry przyrządek dla osób nie znoszących hałasów.

- Reasumujemy: pan mógł dostać się do pokoju Worceya! - nacierał Mallone.

- Mogłem.

- Mógł pan zamknąć za sobą drzwi na klucz za pomocą tego małego instrumentu, który wczoraj widziałem.

- To dla mnie drobnostka.

- A w międzyczasie mógł pan zastrzelić Worceya...

- Zastrzelić Worceya. Dziecinnie łatwa robota. Robiłem już w życiu stokroć trudniejsze rzeczy. Tylko w jakim celu miałbym go zastrzelić? Przecież w niczym mi nieborak nie przeszkadzał.

- To też nie byłoby takie trudne do wytłumaczenia - atakował dalej Mallone. - Powiedzmy, Worcey zbudził się w momencie, gdy pan myszkował po pokoju, złapał za rewolwer. W takich okolicznościach byłby pan bez wątpienia zdolny go zastrzelić.

Pentham pokiwał głową w demonstracyjnym podziwieniu.

- Patrzcie, jak pan to sprytnie zdołał wykoncypować, inspektorze! Oczywiście, że byłbym zdolny wystrzelać nawet tuzin ludzi, o ile by mi przeszkadzali myszkować po swoich pokojach. Nawet pan sobie nie wyobraża, do jakich makabrycznych wyczynów jestem w skrytości ducha zdolny. Zapomina pan jednak jeszcze o pistolecie kalibru 6,35, który musiałem w takim wypadku mieć w garści.

Inspektor uśmiechnął się z triumfem.

- O niczym nie zapominam tym razem. Ale o ile pamiętam, swego czasu miał pan w Gordons Hill browning właśnie tego kalibru.

Pentham machnął ręką.

- Niech mi pan nie przypomina czasów młodości. To było dawno. Na starość ludzie wolą coś solidniejszego. Ja też nie stanowią wyjątku pod tym względem. Od pewnego czasu nie mam zaufania do pistoletów poniżej dziewiątki.

Mallone podszedł ku Penthamowi, opierając lewą rękę o poręcz jego fotela. Prawą zagłębił niby przypadkiem w odstającej kieszeni marynarki.

Pentham obserwował go ukradkiem. Nie miał najmniejszych wątpliwości, po co inspektor włożył rękę do kieszeni. I z jakiego powodu kieszeń ta odstawała. Twarz jego jednak nie wyrażała nic poza sennym rozleniwieniem.

- No, jaką kolejną rewelację ma pan zamiar wyciągnąć teraz z zanadrza? - zapytał drwiąco.

- Ma pan przy sobie broń, pułkowniku? - głos jego brzmiał stanowczo.

- Przy sobie? - wargi Penthama drgnęły w niefrasobliwym uśmiechu - skądże takie nedorzeczne pomysły, inspektorze? Czy sądzi pan, że zejście do salonu w tym domu wymaga kompletu bojowego rynsztunku? Nie, do drzemki przed kominkiem nie zabieram broni.

- A gdzie jest pański rewolwer?

- Tam, gdzie każdy przyzwoity pistolet powinien się znajdować w czasie pokojowych zajęć swego właściciela - odparł niedbale.

- To znaczy, mówiąc dokładniej, gdzie? Pentham westchnął drwiąco.

- Jakiż z pana pedant, inspektorze. Dobrze, określe panu najdokładniej jak tylko umiem. Otóż na górze. Na pierwszym piętrze. Drugie drzwi na prawo od schodów. W biurku. Prawa szuflada. Taki duży czarny przedmiot ze stali. Z hiszpańskim napisem, którego pan i tak nie rozumie. Tym się różni od kapciucha z tytoniem, że...

- Chciałbym go obejrzeć - przerwał sucho Mallone. Trzymał się dziś twardo. Ani razu nie dał

się sprowokować drwinami Penthama. Rozumiał dobrze ich cel. Wyprowadzić go z równowagi, by uczynić łatwiejszą rozprawę słowną. Ale tym razem trzyma w ręku wszystkie atuty i nie pozwoli ich sobie wytrącić.

- Strasznie pan dziś wymagający, inspektorze. Czy to konieczne?

- Tak. Chyba pan sam rozumie, że w tych warunkach...

- Nic nie rozumiem, ale niech stracę - podniósł się z rezygnacją z fotela - a tak było wygodnie - zauważył z wyrzutem. - No trudno, chodźmy!

Inspektor szedł za nim nieco z tyłu, nie wyjmując ręki z kieszeni. Twarz jego miała wyraz czujnej gotowości. Pentham nie miał do niego o to pretensji. W podobnej sytuacji zachowałby się na pewno w taki sam sposób. Tylko znacznie mniej rzucający się w oczy. To jednak wymagało pewnej zręczności, której przecież nie można było wymagać od Mallone'a.

- Oto jest.

W wyciągniętej szufladzie czerniał ciężki kształt hiszpańskiego pistoletu kalibru dziewięć.

- Czy nie uważa pan, inspektorze, że instrument robi znacznie solidniejsze wrażenie od tak pospolitej w tych okolicach szóstki? - zapytał Pentham.

Mallone obejrzał dokładnie broń.

- Czy sądzi pan może, że strzelam z niego dla kawału kulami kalibru sześć trzydzieści pięć?

Nagle coś przyszło mu do głowy. Zamyślił się, nie zwracając uwagi na towarzysza. Mallone odłożył pistolet do szuflady.

- Czy posiada pan tylko ten jeden? Pentham spojrzał na niego bezmyślnie.

- Co? Ach, przepraszam - ocknął się z zadumy - pan o coś pytał? Proszę mi wybaczyć roztargnienie.

- Pytałem czy pan nie posiada jeszcze innego rewolweru? - powtórzył Mallone.

Twarz Penthama przybrała poprzedni drwiący wyraz.

- Ależ owszem. Posiadam ich cały arsenał. Niestety jednak ze względu na rozmiar i wagę zbiorów zaniechałem zabrania go do Blackshirre. Gdyby nie to, chętnie bym służył kolekcją dla poglądowych studiów porównawczych z dziedziny rusznikarstwa.

Inspektor zajrzał ciekawie w głąb szuflady. Pentham, widząc to, otworzył sąsiednią, wysuwając ją niemal na całą długość.

- Tu również nie chowam poszukiwanego narzędzia mordu - wyjaśnił. - I gdyby nie późna pora,

udostępniłbym panu z całą przyjemnością również wnętrza wszystkich pozostałych mebli. Nie chcę jednak zabierać panu czasu przeznaczonego przez ludzi o czystym sumieniu na spoczynek nocny... Inspektor poruszył wargami, jakby chciał coś odpowiedzieć, zawahał się jednak i zmilkł. Po chwili burknął pod nosem jakieś niezrozumiałe słowo i odwróciwszy się na pięcie, wymaszerował sztywno z pokoju.

Pentham popatrzył za nim z wyraźną dezaprobatą.

Jeżeli to miało być pożegnanie, to trzeba przyznać wypadło bardzo nie po wersalsku - skonstatował w duchu - okropnie źle wychowują tych swoich inspektorów w Scotland Yardzie - westchnął z niesmakiem.

Przeczekał jeszcze pewien czas, nad słuchując oddalających się kroków inspektora. Gdy dobiegł go stłumiony trzask zamykanych drzwi, odetchnął z ulgą.

Bez pośpiechu sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyciągając browning kalibru 6,35. Spojrzał na niego z roztargnieniem.

Swoją drogą ten cały Mallone ma dobrą pamięć.

Przyklękawszy nad walizką, otworzył jej wieko, po czym nacisnął jakąś ukrytą pod płótnem obicia sprężynę. Podwójne dno walizki odchyliło się z szelestem. Wsunął pistolet i zamknął skrytkę z powrotem. Zacisnął paski i nasunął pokrowiec.

Teraz może sobie szukać. Za mało ma sprytu, żeby to wymacał.

Władował do fajki potężną porcją tytoniu i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Jedno zdanie wypowiedziane w czasie rozmowy przez inspektora utkwilo mu w głowie jak dokuczliwy cień.

Rozważmy całą sprawę od początku - ujął ołówek i zaczął robić na arkuszu papieru jakieś hieroglify - po pierwsze: któredyś mógł się dostać do pokoju morderca?

Na arkuszu wyrosła olbrzymia jedyńka opatrzona nie mniejszym znakiem zapytania.

Przez otwarte okno na pewno nie. Konstabl Swift, który od świtu stał na posterunku przed tą właśnie ścianą, twierdził stanowczo, że nie widział nikogo w pobliżu. A Swift wyglądał na wyjątkowo solidnego funkcjonariusza.

Pentham zbyt dobrze znał się na ludziach, by miał żywić wątpliwości co do dokładności jego meldunku.

Strzał z oddali przez otwarte okno? Nonsens. Żaden, choćby najlepszy strzelec, nie dokazałby tego z rewolweru. Poza tym nie było takiej krótkiej broni, z której pocisk donosiłoby na taką odległość.

Tak - wyrysowany teraz hieroglif przypominał plan labiryntu - a jeżeli...?

Rodząca się w mózgu hipoteza była dość nieprawdopodobna - ostrze ołówka skreśliło znak zapytania, zawisło na chwilę w powietrzu, po czym pytajnik wyrósł w jeszcze większej skali.

Cóż - rozmyślał w kłębach dymu - pomimo całej pozornej niedorzeczności taka historia nie należałaby jednak do zupełnie niemożliwych. Teraz z kolei punkt drugi - ten przeklęty wilk, którego ojciec wtedy postrzelił. Gdyby nie to, że Jolly owczarza nie ma żadnej rany. Dlaczego ta wstrętna suka ma całą skórę?

Przy koślawej dwójce opatrzonej nie mniej koślawym znakiem zapytania wyrosły wielopiętrowe hieroglify, a Pentham wciąż jeszcze szukał rozwiązania.

I wreszcie gdy poprzez pokryte ornamentami mrozu szyby do pokoju zaczęła przesiąkać szarość wstającego dnia, Pentham gwałtownym ruchem odłożył fajkę. Znak zapytania przy drugim punkcie został skreślony...

## XXVIII. REWELACYJNE ODKRYCIE

- Chciałem pana uprzedzić, że wyjeżdżam na kilka godzin. Czy ma pan coś przeciwko temu?

Mallone popatrzył w jakiś punkt ponad głową Penthama.

- Oczywiście, mam całą masę zastrzeżeń. Oficjalnie jednak nic nie mogę na to poradzić.

Pentham uśmiechnął się ze współczuciem.

- Nie pozwolili panu zamknąć mnie tak jak Gordona?

- Zgadł pan - potwierdził ponuro inspektor. - Ciekawym, czy się jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczymy - dodał z powątpiewaniem.

- O - zdziwił się Pentham - ma pan zamiar już opuścić Blackshirre?

Mallone przypatrywał się z zajęciem trzymanej łyżeczce od herbaty.

- Ja nie. Ale wątpię, czy pan tu ma zamiar powrócić.

- Tyle już razy obrzydzałem panu karierę wróżbiarza, a pan wciąż swoje - pokiwał z wyrzutem głową - wrócę na pewno. I może kiedyś dożyje pan tej satysfakcji, że wyciągnę do pana obie ręce... w celu nałożenia kajdanków. Proszę nie tracić nadziei.

Gdy zajmował miejsce za kierownicą swego samochodu, dojrzał sylwetkę ukrytego za firanką inspektora.

Rozpacza z powodu mego wyjazdu jak najczulsza kochanka - skonstatował z humorem.

Nacisnął starter i z miejsca wziął dużą szybkość. Przez całą drogę nie zmniejszał jej ani trochę.

Mijani policjanci wytrzeszczali oczy ze zdumienia, sięgając po służbowe notesy. Zanim jednak zdążyli zanotować numer samochodu, tablica rejestracyjna nikła w oddali.

- Jakiś szaleniec. Na pewno skręci kark na najbliższym zakręcie.

Przepowiednie policyjne nie sprawdziły się jednak. Pentham zatrzymał się przed podjazdem Scotland Yardu. Sir Drake powitał go niewyraźnym uśmiechem.

- Z własnej woli do jaskini Iwa? - uścisnął serdecznie rękę Penthama. - A może wolałeś osobiście się przyznać do zbrodni?

Pentham poczuł, że żartobliwy ton naczelnika Scotland Yardu nie był tym razem zupełnie szczerzy.

- Na takie święto wasza kochana stara buda musi jeszcze trochę poczekać. To samo powiedziałem zresztą i panu inspektorowi Mallone'owi! Powinniście się wszyscy nauczyć trochę cierpliwości.

- A propos - sir Drake podsunął pudełko z cygarami - czy wiesz, że Mallone wiercił mi dziurę w brzuchu, bym cię pozwolił przytrzymać.

Pentham zasiadł wygodnie w fotelu.

- W porządku. Nie mam mu tego wcale za złe. Sam na jego miejscu postąpiłbym tak samo. Ale na wszystko przyjdzie czas. Przede wszystkim mam do ciebie wielką prośbę.

- Słucham? - sir Drake był wyraźnie zaciekawiony.

- Chciałbym przejrzeć akta tej przeklętej sprawy...

- Nie mamy jeszcze akt dotyczących śmierci Worceya.

- Nie przejmuj się. Chodzi mi o akta morderstwa Woodsona.

Sir Drake zawahał się.

- Przecież tego nie odmawia się nawet oskarżonemu. Naczelnik Scotland Yardu zamyślił się.

- W najlepszym razie mógłbym zażądać akt i nie bardzo uważać, co robisz przy moim biurku. Niestety mam bardzo dużo pracy. Długo to potrwa?

- Długo - potwierdził beczelnie Pentham. - Zresztą to jeszcze nie wszystko.

- Jak widzę, przyjechałeś z całą listą.

- Coś w tym rodzaju. Chciałbym mianowicie zająć wasze laboratorium rusznikarskie rozmaitymi niedorzecznymi pomysłami.

Sir Drake spojrział na niego z uwagą.

- Bardzo niedorzecznymi?

Pentham obejrzał złoto-czerwoną opaskę cygara.

- To się okaże w drugiej części. Ale cygara macie rzeczywiście pierwszorzędne - wypuścił z ust kłęb wonnego dymu. - Czy każdego podejrzanego nimi częstujesz?

- Nie - uśmiech był teraz niewątpliwie szczery - tylko wybranych, starych, specjalnie niebezpiecznych oprychów. Takich, co usiłują dezorganizować ustalony tryb naszej pracy. Zresztą cygara zastępują niekiedy badania trzeciego stopnia. Zawierają mianowicie pewien narkotyk zmuszający do mówienia prawdy.

- Jeżeli o mnie chodzi - zauważył Pentham - szkoda wydatku ze szkatuły Jego Królewskiej Mości. Na twego pokornego sługę nic już pod tym względem nie działa. Nawet święcona woda. Gorzej, żeś ty niepotrzebnie zapalił.

Przyniesiono akta. Pentham spoważniał, studiując z uwagą obszerne protokoły.

- No - mruknął - coś nie coś swoim zwyczajem naturalnie poopuszczali.

Przewracał powoli stronicę za stronicą. Nagle syknął głośno, wlepiając wzrok w błyszczącą powierzchnię dużego zdjęcia.

- Nie - zamrugał powiekami - to przecież niemożliwe.

Sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjmując mikroskopijnych rozmiarów lupę. Badał przez soczewkę każdy cal zdjęcia.

- A jednak. W jaki sposób tego mógł nikt nie zauważyć?

Sir Drake zerknął spod oka.

- Coś tam takiego odkrył? Pentham pośpiesznie zamknął akta.

- Jeżeli odkrycie się potwierdzi, Scotland Yard przeżyje bardzo przykrą chwilę. Nie on jeden zresztą.

- O... aż tak?

- Tak - potwierdził z powagą Pentham.

- I to w dodatku nie ze swojej winy. Tymczasem potrzebuję jeszcze najlepszego, jakiego znasz,



lekarza sądowego.

- Biegłego od budownictwa przypadkiem ci nie trzeba? - zapytał z podejrzaną uprzejmością sir Drake.

- Zostaw go sobie. Ale o lekarzu pomyśl, dobrze? I nie próbuj się wymigać pierwszym lepszym, który ci się nawinie. Tu chodzi o bardzo poważną sprawę. Wierz mi.

- Hm - intonacja ostatnich słów Penthama zaniepokoiła nie na żarty sir Drake'a. Znał go nie od dziś. I wiedział, że gdy używa takiego tonu, nie ma zwyczaju rzucać słów na wiatr. - Nie mógłbyś puścić trochę farby?

- Wybacz, ale tymczasem jeszcze nie. Jeśli trafiłem w sedno, historia będzie należała do paskudnie delikatnych. Zanim będę miał prawo szepnąć choćby jedno słowo, muszę przejść długą drogę. I piekielnie śliską. Niezmiernie łatwo skrócić kark na każdym kroku. No, dawaj zezwolenie do laboratorium i tego przeklętego specja od truposzów.

- Najlepszym byłby chyba sir Brambley. Pentham utkwiał wzrok w szybie okiennej.

- Sir Brambley? - powtórzył bez żadnej intonacji. - Wolałbym kogoś innego.

- Dlaczego? Brambley to autorytet...

- Dla mnie zbyt staromodny. Pomyśl o kimś innym. Sir Drake zamyślił się.

- Może w takim razie radca królewski sir Honeswood? Niemal tak samo sławny jak sir Brambley, a znacznie młodszy. I stosuje bardziej nowoczesne metody, jeżeli ci o to chodzi.

- Owszem - potwierdził krótko. - Właśnie o to. Jaki jest jego adres?

- Teraz zastaniesz go najłatwiej w szpitalu św. Anny. Pentham zerwał się z fotela.

- Dziękuję ci bardzo. - Aha - przystanął na progu - jeszcze jedno. - Czy mógłbyś mi pożyczyć odbitki zdjęć znajdujących się w aktach? - zapytał lekkim tonem. Ale sir Drake był zbyt starym wróblem, by się dać wziąć na plewy.

- O jakie ci chodzi mianowicie?

- Nie bądź taki chytry, staruszk. Nie trafisz na farbę nawet tą drogą. Potrzeba mi wszystkich.

Sir Drake pokrył rozczarowanie przyzwalającym uśmiechem.

- Dobrze - nakreślił parę słów na kartce - kopie wydadzą ci w archiwum A 5. Pokój 107. Możesz sobie wybrać...

- Nic z tego. Wezmę wszystkie. Twoi urzędnicy mają zbyt długie języki, szczególnie gdy szef we własnej osobie raczy o coś pytać. Bywaj!

- Powodzenia. A w razie czego do jakiej kostnicy kazać cię odwieźć?

- Na kostnicę też przyjdzie czas. Nie jestem tylko pewien dla kogo. Ale wszystko się może zdarzyć.

## XXIX. BIEGLI

Sir Honeswood zamyślił się.

- Czy to teoretyczne zagadnienie? - zapytał wreszcie.

- Nie - zaprzeczył Pentham - dotyczy całkiem konkretnego wypadku. Przede wszystkim jednak zmuszony jestem pana prosić, sir, o absolutną dyskrecję.

- To zrozumiałe - oświadczył lekarz.

- Dziękuję - Pentham wyjął z portfela pękata kopertę. Szperał w niej przez chwilę.

- Oto ilustracja do pytania - podał odbitkę fotograficzną dużego formatu.

Radca królewski oglądał zdjęcie z najwyższą uwagą. Wreszcie wyjął metalową calówkę i przyłożył ją do ciemnego punktu. Przemnożył na kawałku papieru jakieś cyfry.

- Nie - wyciągnął zdjęcie w kierunku Penthama - to nie jest możliwe na takiej podstawie.

- A w naturze?

- Hm... czyja wiem? To zależy od okoliczności.

- Otwarte pole. Mróz. Zadymka śnieżna. Rozpięte ubranie - odpowiedział telefonicznym stylem Pentham.

Doktor rozmyślał, obserwując obracany w palcach ołówek.

- Nie - odłożył go wreszcie na podstawkę - musiałby chyba być jasnowidzem.

- Czy to jest ostateczna odpowiedź, sir? - Tak.

- I byłby pan gotów potwierdzić swą opinię oficjalnie, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

- Chwileczkę - znowu przybliżył fotografię do oczu - zamieć śnieżna i otwarte pole? - rozmyślał na głos - nonsens. Owszem - oświadczył stanowczym tonem - jestem gotów potwierdzić.

W Scotland Yardzie inspektor Gibbs powitał Penthama bez zdziwienia.

- Sir Drake uprzedzał, że macie zamiar, pułkowniku, dać nam do rozwiązania zagadki z zakresu rusznikarstwa.

- Jeszcze jakie - roześmiał się Pentham - zagadki, łamigłówki i inne łamańce myślowe. A więc przede wszystkim, czy możliwa jest następująca kombinacja? - opisał dokładnie, o co mu chodzi.

Gibbs wysłuchał pilnie.

- Hm - mruknął, gdy Pentham skończył - bardzo niebezpieczny pomysł. Czy to ma zostać dla użytku morderców wstydzających się swego rzemiosła?

- Coś w tym rodzaju. Powiedzcie, czy to możliwe do przeprowadzenia?

- W teorii niewątpliwie tak.

- A w praktyce?

Gibbs szybkimi ruchami grafionu naszkicował rysunek.

- O to wam chodzi?

Pentham przyjrzał mu się uważnie.

- Mniej więcej. Gibbs zastanowił się.

- Jeżeli tylko wyprzedzające gazy nie stawiałyby oporu - wprowadził obok rysunku zawile równanie. - Nie - mruknął, sprawdzając rezultat. - W praktyce również powinno działać.

Pentham podarł rysunek na drobne kawałeczki i schował strzępki do kieszeni.

- Byłoby dobrze, inspektorze, gdybyście natychmiast zapomnieli o naszej rozmowie, rysunku i wszystkim, co jest z tym związane.

- Tak kategorycznie? - zaśmiał się Gibbs.

- Jak najkategoryczniej - potwierdził Pentham. Gibbs był chłopem z wiary i można mu było zaufać,

że potrafi trzymać język za zębami.

- Przedwczesne ujawnienie szczegółów naszej rozmowy mogłoby w rezultacie kosztować dwie głowy.

Gibbs spoważniał.

- Moją i jeszcze czyjaś?

- Trafiliście w samo sedno, inspektorze. Waszą i jeszcze czyjaś.

- Ta cudza decyduje. Już zapomniałem.

- Dziękuję. Teraz druga zagadka. Chodzi mianowicie o rewolwer ze sprawy C.

- Wypadek Woodsona?

- Tak. Chciałbym mianowicie stwierdzić, czy... - zniżył głos do szeptu, przytykając niemal usta do ucha Gibbsa.

Zdumienie pojawiło się na twarzy kierownika laboratorium rusznikarskiego.

- Przecież...

- Nie potrzebujecie się wysilać. Sam wiem, jakie dowody zebrano w tej sprawie.

- I mimo to? - Tak. Mimo to...

- Cóż... ostatecznie powinno by się dać przeprowadzić. Ale to bardzo skomplikowana historia. Lampa kwarcowa, rentgen, fale elektromagnetyczne, próba chemiczna - wyliczał po kolei na palcach. Musi potrwać...

- Bardzo długo? - zaniepokoił się Pentham - żebyście wiedzieli, inspektorze, ile w tym wypadku zależy od pośpiechu...

- Wierzę na słowo. I dla was robię, co tylko w mojej mocy... W każdym razie jednak prędzej niż w czterdzieści osiem godzin nie dam rady. Żebym nawet na głowie stawał.

- Nie róbcie tego.

- Czego? Tego badania?

- Nie... Nie stawajcie na głowie. To podobno bardzo szkodzi na obieg krwi.

Pożegnali się serdecznie. Gibbs nie przejmował się perspektywą wytężonej pracy w ciągu najbliższych kilkudziesięciu godzin. Zagadnienie zapowiadało się niezmiernie ciekawie. I jeżeli Pentham przypadkiem miał rację...Pentham pogwizdywał wesoło, rozwijając znów dużą szybkość. Tyle jeszcze było do zrobienia!

Flo aż załamała ręce z rozpacz, gdy ujrzała wymizerowaną twarz męża.

- Ależ, Reggi, ty jesteś naprawdę chory. Powinieneś położyć się natychmiast do łóżka!

- Nic mi nie jest. A jeżeli chodzi o łóżko, to zaczynam mieć nadzieję, że kiedyś przyjdzie czas, gdy będę mógł jak każdy normalny człowiek wyciągnąć się pod kołdrę.

- Co z ojcem? Podobno sprawa ostatnio znowu się zawikłała.

- Niech się wikła. Teraz mam już niemal pewność, że potrafię rozsupłać ten węzeł. Tym razem trafiłem na właściwy trop. Głowa do góry. Nie damy skrzywdzić ojca. - Spojrzał na wskazówki

zegara. - No na mnie już czas - podniósł się z krzesła.

- Jak to, chcesz już wyjeżdżać?

- Wcale nie przyjeżdżałem - uśmiechnął się - wpadłem tylko na chwilę, by się przy tobie pokrzepić. To wszystko.

Po paru minutach mijał już w szalonym pędzie ostatnie domy stolicy.

Tym razem policjant zdążył zapisać numer samochodu. Pentham pokiwał mu ręką w przyjacielskim pozdrowieniu. Potem spoważniał, pogrążając się w głębokiej zadumie. Zapowiadała się niezwykle ciężka rozgrywka.

### XXX. POSZUKIWANIA W TERENIE

Wielki budynek szkolny nawet w promieniach zachodzącego słońca robił ponure wrażenie. Sądząc z architektury, musiał pochodzić z wczesnego okresu wiktoriańskiego.

Kwestor na szczęście był jeszcze w gabinecie. Wypukłe soczewki wielkich okularów nadawały mu dziwne podobieństwo do rozbudzonego nagle puchacza. Z dostojną powagą wysłuchał prośby Penthama.

- Archiwa z lat dziewięćdziesiątych? Oczywiście, że są. Zechce się pan zgłosić w końcu przyszłego tygodnia. Wyszukamy panu odpowiednie roczniki.

- Mowy nie ma - roześmiał się Pentham - muszę mieć to wszystko dzisiaj.

Dostojny gentleman przeraził się nie na żarty.

- Ależ... to jest zupełnie niemożliwie, sir. Poruszył się niespokojnie jakby dla zaznaczenia, że rozpoczętej o tak późnej porze audiencji nie należy przedłużać.

Pentham sięgnął do portfela, wydobywając jakiś opatrzony pieczęciami papier, nadający się raczej do archiwum pamiątek rodzinnych, niż do prezentowania poważnym dostojnikom szkolnym.

- W służbie Jego Królewskiej Mości - dodał. Kwestor pochylił łysą jak kolano czaszkę.

- W takim razie oczywiście sprawa wygląda zupełnie inaczej. Będzie to bardzo trudne, ale...

Nie musiało być jednak bardzo trudne, skoro w niecałe pół godziny później zakurzone foliały wylądowały na pokrytym zielonym suknem stole.

Pentham musiał przejrzeć kilka tomów, zanim natrafił na to, czego szukał: „dnia dwunastego czerwca 1898 roku dwaj studenci a mianowicie...”.

Szybko przepisał notatkę. W kwadrans później silnik małego dodge'a grał znowu rytmem wyęzionej pracy. Policjant stojący na rogatce spojrział z wyraźnym zgorszeniem.

- Znowu ten sam! Trzeba napisać w raporcie: niepoprawny!

W archiwum sądu dla nieletnich wystarczył argument szeleszczącego banknotu. Figurujący na nim nominał musiał być widocznie dostatecznie duży, skoro akta znalazły się w nieprawdopodobnie szybkim czasie.

Wypisanie potrzebnych danych nie trwało zbyt długo.

Tym razem na szczęście wyjeżdżał przez inną rogatkę, ale z taką samą szybkością.

Szczęśliwa gwiazda widocznie zaświeciła na dobre nad poczynaniami Penthama. Kierownik domu wychowawczo-poprawczego przywitał go wylewnie. Okazało się, że pracowali razem w jakimś Komitecie opieki nad moralnie zaniedbanymi dziećmi.

Pentham jednak delikatnie skrócił przyjacielską pogawędkę. Zależało mu na każdej minucie.

Mister Pelow potrafił zrozumieć czyjś pośpiech. Szczególnie jeżeli chodziło o człowieka, którego czeki stanowiły podstawę egzystencji kilku przytułków dla opuszczonych sierot.

- Żałuję bardzo, sir, że nie będę mógł udzielić osobistych informacji. Ale to naturalnie miało miejsce nie za moich czasów. Ani nawet nie za mojego poprzednika, którego by się ostatecznie dało znaleźć. Ówczesny kierownik naszego zakładu, mister Binks, od przeszło dwudziestu lat spoczywa ma miejscowym cmentarzu. Wobec tego muszą panu wystarczyć akta.

Akta wystarczyły. Było w nich zresztą więcej materiału, niż się Pentham ośmielał w najodważniejszych przypuszczeniach spodziewać.

Szczególnie jedno zdanie podkreślił dwukrotnie w notesie, zaopatrując je w duży wykrzyknik... „pracuje w warsztacie ślusarskim. Wykazuje niezwykle zdolności. Dużo realnych pomysłów, które by się dało zastosować w praktyce...”. I na następnej stronie... „Instytut zainteresował się wynalazkiem automatycznego zamka, podejmując się przeprowadzić starania związane z uzyskaniem patentu na Zakład”.

Sir Wenstley właśnie wstawał od kolacji, gdy Pentham bezczelnie wtargnął do zastawionego monumentalnymi meblami gabinetu słynnego adwokata.

Sir Wenstley był zmęczony. Rozprawa przed trybunałem apelacyjnym przeciągnęła się. Każdego innego gościa kazałby niewątpliwie odprawić z kwitkiem. W stosunku do Penthama nie mógł tego uczynić. Łączyły ich bowiem zbyt dawne węzły zażyłej przyjaźni, poza tym miał względem niego niespłacony i niemożliwy do spłacenia dług wdzięczności z dawnych czasów.

- Niech pan pozwoli zebrać myśli - tarł w zamyśleniu czoło, gdy Pentham skończył wyluszczać sprawę - to było już bardzo dawno.

Pentham czekał cierpliwie.

- Owszem - zaczął wreszcie z namysłem adwokat - coś mi się przypomina jak przez mgłę. Ale bez akt niewiele panu zdołam powiedzieć. A pracownicy mojej kancelarii dawno już poszli do domu - podkreślił lekko. - Może by jednak jutro?

Pentham jednak umiał być bezczelny.

- To może ja poszukam? - zaproponował niewinnym tonem, udając, że nie dostrzega aluzji w słowach rozmówcy.

Sir Wenstley stłumił westchnienie rezygnacji, podnosząc się z fotela.

Szukali razem, szperając po olbrzymich szafach zawalonych stertami akt. Trwało to dość długo, zanim zakurzona teczka znalazła się na biurku.

Sir Wenstley aż się zasapał i ocierał pot z czoła. Nie był przyzwyczajony do fizycznego wysiłku.

- Tak - żółtawe, jakby wyrzeźbione z kości słoniowej palce powoli przewracały kartki pokryte wyblakłym atramentem - to była jedna z pierwszych moich spraw.

Nawiasem mówiąc dość niezwykła. Niech pan sobie pomyśli: młody, początkujący student o nikomu nieznanym nazwisku i nagle taka fortuna. Nie mówiąc już o tytule. Wszystko spadło jak z nieba. Szukaliśmy go bardzo długo. Robiło wrażenie, jakby umyślnie zacierał za sobą ślady. Mieszkał wtedy w Paryżu...

- Tak - potwierdził w zamyśleniu Pentham - kto wie, może miał rzeczywiście powody, by zniknąć mieszkańcom naszej Starej Wyspy z oczu?

Adwokat spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Chyba pan żartuje, pułkowniku?

Ale Pentham nie miał w tej chwili usposobienia do żartów.

Wyjeżdżał w tempie całkiem przyzwoitym, nie dając tym razem powodu do zgorszenia tkwiącym na posterunkach policjantom.

Kilka kwestii, które pozostały do rozwiązania na miejscu, mógł z powodzeniem załatwić pierwszy lepszy z pracowników agencji Glowbyego.

Znojna, pełna nerwowego napięcia praca zaczęła zbliżać się ku końcowi. Koło powoli się zamykało.

Światło czyjejś gwiazdy gasło.

- Jednak pan przyjechał pułkowniku? - We wzroku Mallone'a migotał wyraz niedowierzania.

Pentham roześmiał się w głos.

- Jak pan widzi, inspektorze, znowu pańskie przepowiednie okazały się do niczego.

- Uff - opadł ciężko na fotel przed kominkiem - a jak się panu powodziło tymczasem.

- Muszę przyznać, że całkiem podle - oświadczył ponuro Mallone. - Zaczynam mieć już dość tego wszystkiego - sapnął. - Czy pan jest bardzo zmęczony, pułkowniku?

- Na moje skromne potrzeby najzupełniej wystarczająco. A o co chodzi? Chce mnie pan zakuć w kajdany, czy też wydusić prawdę, gdzie schowałem narzędzie licznych mordów popełnionych w okolicy?

- Chciałem pana prosić o pięć minut rozmowy.

- Jeżeli to ma być naprawdę tylko pięć minut, niech stracę. Słucham pana.

Inspektor podszedł do drzwi, uchylił je, wyjrzał na korytarz, po czym zamknął starannie. To samo powtórzył przy drugich drzwiach.

Pentham obserwował spod oka te tajemnicze przygotowania. Mallone podszedł do niego z powrotem.

- Niech mi pan powie, na miłość boską, czy to pan zastrzelił Worceya? - zapytał bez wstępów.

Pentham przyjrzał mu się ciekawie.

- Pytanie rzeczywiście z gatunku tych lżejszych - mruknął w końcu.

- Daję panu słowo honoru, że to, co mi pan teraz powie, pozostanie między nami. Nie będę tego traktował jako przyznanie się. Nie wspomnę w sądzie. Chodzi mi tylko po prostu o punkt wyjścia.

- Hm... a czy pan dotrzyma słowa?

- Może pan być tego pewien.

Pentham spoważniał. Nie oczekiwał, że Mallone zdobędzie się na tak jasny sposób postawienia sprawy.

- Dobrze. Niech będzie. Choć właściwie nie powinienem panu odpowiadać na takie pytania. Otóż tej nocy rzeczywiście usiłowałem się dostać do pokoju Worceya a potem - niespodziewanie umilkł, zajmując się fajką.



- A potem? - powtórzył, płonąc z niecierpliwości Mallone.

- Potem położyłem się do łóżka.

- Co pan robił dalej, pułkowniku, tej nocy? - w głosie Mallone'a brzmiało niemal błaganie.

- Hm... prawdę powiedziawszy nic specjalnego. Trochę porządkowałem w głowie rozmaite sprawy, a później zasnąłem.

- Nie wracał pan do pokoju Worceya? - Nie.

- To znaczy, że nie pan go zastrzelił?

- Niestety nie. Gdybym zresztą wiedział, że panu tak bardzo o to chodzi, nie odmówiłbym panu tej drobnej przysługi.

Mallone zajrzał głęboko w oczy Penthamowi.

- Co dziwniejsze, wierzę panu - oświadczył niespodziewanie. - Jak wykazały badania daktyloskopijne, na powierzchni tego przekłętego rewolweru brak odcisków, które by wskazywały, że Worcey trzymał go w sposób odpowiedni do strzału.

- No?

- A gdyby ujął go tylko tak, jak trzymał po śmierci, pan by na pewno nie strzelał, zadawalając się ogłuszeniem bez rozlewu krwi.

- Brawo inspektorze - powiedział Pentham poważnie. - Tok rozumowania nie wykazuje żadnych błędów. Tak, ma pan rację, w tym wypadku nie pociągnąłbym za cyngiel.

Inspektor pokiwał ponuro głową.

- Tym gorzej dla mnie. Bo w takim razie kto po pańskiej nieudanej wizycie wszedł do pokoju Worceya i zdołał wyjść po dokonaniu morderstwa, przekręcając za sobą klucz tkwiący po drugiej stronie? Pentham podniósł ostrzegawczo palec ku górze.

- Ostrożnie. To nie jest właściwy porządek pytań. A przy rozwiązywaniu tego rodzaju łamigłówek systematyczne ułożenie wszystkiego po kolei stanowi podstawową zasadę. Pierwsze pytanie powinno brzmieć zupełnie inaczej...

- Jak mianowicie?

- Czy w ogóle ktoś mógł się dostać do pokoju Worceya, a jeżeli tak, to którędy?

- Oczywiście przez drzwi.

- To jednak nie jest takie proste...

- Worcey przecież usunął barykadę.

- Owszem, usunął. Najlepszy dowód, że nie było jej w tej chwili, gdyśmy wchodzili. A trudno przypuszczać, by morderca miał porządkować meble w pokoju. Ale nie o to chodzi. Czy pan pomyślał o posterunku pod drzwiami sir Gordona? Każdy, kto chciałby dostać się do pokoju Worceya, musiałby przechodzić koło konstabla.

- Pan również przechodził.

Wargi Penthama drgnęły uśmiechem.

- Owszem. Ale akurat wtedy Drews drzemał.

- Mógł zasnąć również później. Pentham pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Mało prawdopodobne. Proszę wziąć pod uwagę zamieszanie powstałe wskutek wizyty niefortunego włamywacza, który w rezultacie nie został ujęty i mógł kręcić się gdzieś w pobliżu. Takie historie nie usposabiają policjantów do snu, proszę mi wierzyć. Zresztą tak się złożyło, że nie spałem jeszcze w chwili, gdy następowała zmiana posterunków. Czy sądzi pan, że konstabl, który już odespał swoje, będzie drzemał, szczególnie gdy kolega go uprzedza o możliwości napadu ze strony czającego się gdzieś w pałacu opryszka? Przypadkiem słyszałem ich rozmowę - dorzucił.

- Więc sądzi pan, że morderca nie mógł wejść przez drzwi?

- Raczej nie.

- W takim razie którędy tam wszedł? Przed oknem stał policjant. Chyba, że oddalił się na chwilę i właśnie wtedy?

- Nie. Na pewno się nie oddalił. Rozmawiałem z nim na ten temat. To jest człowiek, któremu bezwzględnie można wierzyć.

- Nic nie rozumiem - skonstatował niemal z rozpaczą Mallone. - Naprawdę nic.

- Proszę uwzględnić otwarte okno i ampułkę ze śmierzdzącym gazem, ktoś zanieczyszczając powietrze w pokoju Worceya, zmusił go, by otworzył okno w odpowiedniej chwili.

- Skoro ktoś mógł wejść, by podrzucić ampułkę... - oponował Mallone,

- Rozumiem - przerwał Pentham - po co miał podrzucać ampułkę, skoro będąc już w pokoju mógł od razu zastrzelić Worceya? Czyż nie tak?

- Tak.

- Ale nie każdy, kto zechce się podjąć zrobienia nieprzyjemnego psikusa osobie, do której pokoju ma swobodny dostęp, zgodzi się również popełnić morderstwo.

- Ma pan na myśli kogoś ze służby, jako współnika mordercy?

- Niekoniecznie współnika. Podrzucenie komuś próbówki z nieszkodliwym gazem nie można jeszcze uważać za przestępstwo. Ktoś, kto to wykonał, mógł nie podejrzewać, jakie są prawdziwe zamierzenia dowcipnisa...

Inspektor machnął niecierpliwie ręką.

- Zresztą mniejsza o to. A więc pozostaje fakt otwartego okna.

- Bardzo znamienny fakt.

- Co mam jednak z nim począć, jeżeli ustaliliśmy już, że nikt przez to okno nie mógł wejść do pokoju?

- Hm... niekoniecznie trzeba wejść do pokoju, by popełnić morderstwo...

Mallone zachnął się.

- Ale w tym wypadku... urwał nagle - ma pan na myśli strzał z oddali?

- Niczego nie mam na myśli. Podaję panu tylko szereg faktów do rozważenia.

- Słyszał pan kiedy o pistolecie, z którego można trafić na kilkaset jardów? Bo ja nigdy.

- Ja także nie. Za to słyszałem kiedyś historyjkę, z której można by w tym wypadku wyciągnąć pewne bardzo pouczające wnioski. Chce pan posłuchać?

- Bardzo chętnie...

- Otóż podobno w czasie tamtej wojny w rosyjskiej intendencji panował okropny bałagan...

- Co tu ma do rzeczy rosyjska intendencja?

- Chwileczkę, cierpliwości - spojrzał spod oka na Mallone'a - cenię bardzo pańską chęć współdziałania w opowiadaniu, jednak w ten sposób trudno mi będzie uwypuklić w należyty sposób jego pointę...

Mallone poczerwieniał.

- Przepraszam - bąknął - już milczę.

- Tak. Otóż na pewne odcinki frontu, na którym stała ciężka artyleria, nadeszły pociski znacznie mniejszego kalibru. Artylerzyści byli bezradni. Skoro jednak Niemcy zdopingowali ich solidną porcją ognia, wpadli na bardzo ciekawy pomysł: otóż zaczęli owijać naboje w szmaty i wpychać do zamków dział. Jakoś poszło... Nie nasuwa to panu żadnych asocjacji?

- Nie - mruknął po dłuższej chwili wytężonych rozmyślań Mallone - żadnych. Przecież Worceya nikt nie zastrzelił z armaty?

- Uf - westchnął Pentham, kierując wzrok w przestrzeń. - Rzeczywiście, jego nie. Ale światu nic nie zaszkodziłoby, gdyby niektóre osoby zostały zastrzelone z armaty. I to najcięższego kalibru.

Mallone zacisnął pięści. Wargi zadrżały mu, sygnalizując nadciągający wybuch wściekłości. Awantura wisiała w powietrzu. W końcu pięści powoli się rozluźniły. Policzki lekko pobladyły. Nastroszona postać oklapła jak balonik, z którego nagle wypuszczono powietrze.

- Może pan sobie używać, pułkowniku - powiedział z rezygnacją - jestem chwilowo bezbronny.

Penthamowi zrobiło się przykro. Zerwał się z fotela i podszedłszy do inspektora, uścisnął mu rękę.

- Niech mi pan wybaczy, to nie było fair z mojej strony. Ale to już taki paskudny sposób bycia, od którego nie mogę się odzwyczaić. Zresztą to, co pan wspomniał o swojej bezbronności, nie odpowiada prawdzie. Ma pan teraz w ręku całkiem solidną broń.

- Tę historyjkę z armatami?

- Tak. Tylko chciałem pana uprzedzić: jeżeli pan zdoła rozgryźć ją, proszę trzymać język za zębami. Przynajmniej do czasu. Jeden już zapłacił życiem za przedwczesną chęć zwierzeń...

- Czy tym kimś był właśnie Worcey?

Pentham nie odpowiedział, patrząc w milczeniu w płomyki leniwie pełgające po ogromnych kłodach.

## **XXXII. KOŁO ZAMYKA SIĘ**

Pentham przycisnął słuchawkę mocniej do ucha.

- Na pewno?

- Tak... czas zgadza się co do joty. Podobno jakaś operacja...

- Aha. A punkt drugi?

- Jeszcze i teraz dłubie od czasu do czasu dla odpoczynku. Ma nowocześnie urządzone warsztacik w domu.

- Wspaniale. Wypłać agentowi gratyfikację. Doskonale się spisał.

- Już wypłaciłem w twoim imieniu. Punkt trzeci jest załatwiony. Przewidywania słuszne. Musieliśmy długo szukać. Rok tysiąc dziewięćset dziewięć. Jakaś ekspedientka z magazynu.

Uwiedzenie i samobójstwo. Zostawiła list. Prowadzono dochodzenie, bo wprost wymieniła nazwisko uwodziciela. Potem sprawie ukrecono łeb. Znalezienie tego przekłętą śledztwa kosztowało masę pracy. Gratyfikacja wypłacona.

- Punkt trzeci?

- Nikt właściwie nie mógł tego ustalić, bo zadymka. Ale każdy pamiętał, gdzie sam stał. Punkt zwrotny sędzia „N”. Najniebezpieczniejszy. Mógł zapakować naszego człowieka do ula za podszywanie się pod Wydział Śledczy. Jakoś się udało. W rezultacie było właśnie tak, jak przypuszczałeś. Dedukcję wyprowadziłem osobiście. Czy mam sobie wypłacić gratyfikację?

Pentham pogwizdywał triumfalnego marsza. Tym razem najwyraźniej zaczęła się dobra passa. Wychodząc z gabinetu, natknął się na Mallone'a, który go przytrzymał za rękaw.

- Chwileczkę, pułkowniku. - Aż sapał z wściekłości. Pentham spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Stało się coś nowego? Bo mój program nie przewiduje tymczasem żadnych tragicznych zdarzeń. Przynajmniej w obrębie pałacu.

- Butler Worceya zniknął bez śladu!

- Johnson?

- Tak. Ale - zacisnął pięści - już ja mu... Pentham zaniepokoił się. Przeciwnik nie liczył się z niczym, gdy chodziło o sprzątanie niewygodnych świadków.

- Podejrzewa pan jakieś nieszczęście? Mallone uśmiechnął się z goryczy.

- Nieszczęście, ale dla mnie. Znowu poszkapilem. Zniknął z wszystkimi swoimi rzeczami. Czy zabrał jeszcze coś ponadto na pamiątkę, nie mogłem ustalić...

Pentham odetchnął z ulgą.

- Głupstwo. Nie warto się przejmować. Nic nie znaczący pionek. Prawdopodobnie przycisnął go pan zanadto...

Mallone powoli ochłonał.

- Wręcz przeciwnie. Zabrałem się do niego delikatnie jak do noworodka. Poczul jednak pismo nosem. Szczwana sztuka - zapalił papierosa - Wie pan co? Rozwiązałem zagadkę z tymi armatami - oświadczył z dumą. - Kosztowała mnie pół nocy.

- Brawo. Robi pan błyskawiczne postępy. Inspektor uśmiechnął się skromnie. Widać było, że pochwała zrobiła mu przyjemność.

- Czy to jednak możliwe w praktyce?

- Owszem. Zasięgałem opinii biegłego rusznikarza.

- Ma pan może, pułkowniku, jeszcze coś w tym rodzaju. Dzięki panu nabrałem ogromnego smaku do łamigłówek.

- Nie, ale mam za to pewną propozycję.

- Słucham.

- Niech pan wypuści Gordona z tego przeklętego pokoju. Biedaczek nudzi się jak mops, szczególnie od chwili gdy mu odebrałem cyjanek potasu. Oczywiście na tych samych warunkach, co poprzednio: bez prawa oddalania się poza obręb pałacu.

Mallone był wyraźnie zaskoczony propozycją.

- Hm - przecież to sam sir Drake postanowił...

- Niech pan zrobi to posunięcie na własną odpowiedzialność.

Mallone'owi coraz bardziej rzedła mina. Ostatecznie w sekrecie dałoby się taką historię, przy zachowaniu ostrożności, urządzić. Ale stawiać czoło samemu sir Drake'owi? Nie bardzo czuł się na siłach.

Pentham tłumaczył:

- Jestem niemal pewny, że już jutro nadejdą rozkazy nakazujące zwolnienie Gordona i umorzenie przeciwko niemu śledztwa. Jeżeli zaś pan zrobi to dziś, nie posiadając tych danych, które będą wtedy do dyspozycji, posunięcie to oczywiście wywrze zupełnie inne wrażenie. Zresztą proszę samemu rozważyć wszystkie za i przeciw. Bo nie mogę zaprzeczyć, że jest w tym jednak pewne ryzyko.

Mallone myślał dłuższą chwilę. To nie było jednak takie łatwe. A jeżeli Pentham się myli? Z drugiej strony zniknięcie Johnsona popierało niewątpliwie wysuniętą przez niego teorię. Wreszcie zdecydował:

- Niech się dzieje, co chce. Przyjmuję propozycję.

- Nie pożałuje pan tego - oświadczył Pentham.

Yardley miał minę całkiem żalostną.

- Długo mnie jeszcze ma pan zamiar trzymać w tej zakazanej gospodzie? Pisanie artykułów, które muszą leżeć w teczce, stanowczo nie jest zajęciem, za którym bym przepadał.

- Już niedługo - uspokoił go Pentham - a co z naszym owczarzem?

Reporter westchnął z rezygnacją.

- Ciągłe pan powtarza: niedługo, a kwarantanna jakoś się nie kończy. Skisnę tu chyba na amen.

- A nasz owczarz? - przypomniał Pentham.

- Nasz? - Yardley skrzywił się z niesmakiem - dziękuję za taki prezent - odstąpię panu swoją połowę gratis i franco razem z jego kochaną suczką. Zresztą ma pan szczęście - dodał na widok zniecierpliwienia Penthama - przyłapałem go w lesie, gdy składał swoje manatki. Najdalej za dziesięć minut powinien wracać.

- Mam z nim trochę do pogadania - jeżeli pogadanka się uda, sprawa dobiegnie niemal końca.

- Niech pan nie zapomina o naszej sensacji - rzucił za odchodzącym reporter.

Pentham w czasie marszu rozmyślał o Yardleyu. Jakoś nie wyglądało na to, by miał otrzymać obiecaną sensację. Będzie żywił słuszną pretensję. To nie było w porządku. Nie lubił nie dotrzymywać umowy. Ale w tym wypadku... No cóż względy na rację stanu... to oczywiście decydowało o wszystkim.

Był już najwyższy czas, gdy dobrnął wreszcie do leśnej drogi. Akurat na zakręcie ukazał się zgięty pod ciężarem drzewa owczarz.

Pentham po mistrzowsku udał zdziwienie.

- Jeżeli mnie oczy nie mylą, mój zbawca? Mister Hybs!

Owczarz przywitał go jak dobrego znajomego.

- Jaki tam zbawca - uśmiechnął się skromnie.

Miał na sobie nowy kozuch i w ogóle wyglądał o wiele bardziej przyzwoicie niż za pierwszym razem. Nie oburzyła go propozycja wstąpienia na rozgrzewkę.

- Ale ja dziś stawiam.

- Taki z was bogacz? - zdziwił się Pentham.

- Żebyście wiedzieli, co u mnie zaszło od tamtego czasu. Zupełne jak w jakimś kinie. Wtedy, gdy siedzieliśmy w gospodzie, jacyś dwaj bandyci napadli na mój szałas...

- Zrabowali coś?

- Długo by u mnie musieli szukać, by znaleźć coś do zrabowania. Głupi jacyś. Pytali o dolary z Ameryki. A ja nawet nie wiem, jak taki dolar wygląda. Tyle, że psa uśpili i przewracali wszystko w chacie do góry nogami.

- To Jolly zdechła?

- Gdzie tam. Przespała do rana i zdrowa jak byk. Ale poczekajcie, to jeszcze nie koniec. Na drugi dzień przynoszą dwa przekazy pocztowe. Jeden dla mnie, drugi dla Mary. Każdy po pięć funtów. No, myślę sobie, chyba jakaś omyłka. Kto by mi przysłał takie pieniądze. Ale nie - mówią - stoi wyraźnie. Więc pytam, kto przesyłał. Bo ja, wiecie, nie bardzo piśmienny, nie było jakoś okazji liznąć nauki. A listonosz ani rusz nie może odczytać, tak było nabazgrane.

Posiedzenie w gospodzie potoczyło się według poprzedniego programu. Pentham przystąpił do sprawy dopiero wtedy, gdy Hybs miał już dobrze w czubie. Wizyta tajemniczych bandytów stanowiła wygodną odskocznię.

- Pewno się biedactwo bardzo przestraszyło. Z takim chorym dzieckiem trzeba ostrożnie jak z jajkiem - przeplatana gęsto kieliszkami rozmowa toczyła się zupełnie gładko. Owczarz brnął, nie dostrzegając zastawionych pułapek. A Pentham zastawiał coraz nowe, coraz mniej zamaskowane, w miarę jak alkohol wzmagał swoje działanie. Pytanie, kto leczył dziecko po wypadku wypadło zupełnie naturalnie.

Hybs ani na chwilę nie zawahał się z odpowiedzią. Twarz Penthama nawet nie drgnęła, gdy padło nazwisko.

- I po co mu była potrzebna wasza Jolly na polowaniu? Owczarz był już zupełnie pijany.

- O to samo się go pytałem. Wiedział przecież, że boi się strzałów, i na zwierzynę do niczego. Ale... o czym to ja mówiłem?

- O tym żeście odradzali zabranie Jolly na polowanie - dodał Pentham.

- Ooo - przestraszył się nagle, a w jego niespokojnych oczach zamigotał błysk podejrzliwości - a po co ja to mówiłem? To... to... niedobrze... prosił, żeby nikomu... nigdy... a teraz...

- No, to nie mówcie, skoro przysięgaliście - zgodził się łatwo Pentham. Właściwie wiedział już wszystko, co było potrzeba.

- Napijmy się!

Wypił i ciągnął monolog:

- Jolly... dobry piesek... Tylko na strzały... ogon... pod siebie - bełkotał Hybs. - A ten nic... tylko żeby przyprować... że uratował życie Mary... A Mary rączki złożyła... Płacze... zostawcie moją Jolly... jeszcze ją kto zastrzeli... a ten mówi, że dla... no... dla ekspe... eksme... takie dziwne słowa powiedział... więc cóż miałem robić?... A Jolly... no...

Po następnym kieliszku zaczął już mruzczyć jakieś słowa bez żadnego związku.

Pentham ostrożnie odsunął swoje krzesło. Tą część pracy należało uważać za skończoną.



- Biedny Henry - pomyślał ze współczuciem o naczelniku Scotland Yardu - nie zazdroszczę mu najbliższego okresu.

Na odgłos otwieranych drzwi Yardley biegł z góry, przeskakując po trzy stopnie.

- No i jak? - zapytał niecierpliwie - wydusiliście wreszcie z tego typu wszystko, co potrzeba?

- Od biedy ujdzie - bąknął wymijająco.

- Więc kiedy ostateczna rozgrywka?

- Czy ja wiem - zawahał się - może pojutrze...

- Przecież przedtem mówiliście o jutrze? - jęknął reporter - a teraz znowu odwlekacie?

- Zobaczymy.

W duchu czuł jednak pewien niesmak. Bo rzeczywiście miał właśnie zamiar już jutro przystąpić do odsłonięcia kart. Ale zachodziły pewne względy.

### **XXXIII. REWOLWER, Z KTÓREGO NIGDY NIE STRZELANO**

Gibbs zatelefonował z samego rana.

- Coś po prostu niesłychanego - głos drżał powstrzymanym podnieceniem - jednak to, co pan podejrzewał, sprawdziło się w stu procentach.

Pentham usiadł z rozmachem na fotelu. Spodziewał się tego, ale wątpliwości go nie opuszczały. Gdyby wynik ekspertyzy okazał się negatywny, całe z takim trudem wzniesione rusztowanie mogło runąć. Teraz nie było już o tym mowy. Koło zostało szczelnie zamknięte.

- Czy to zupełnie pewne?

- Najzupełniej. Wszystkie badania potwierdzają wynik. Właśnie przygotowuję odpowiedni raport dla sir Drake'a. Ale pana musiałem uprzedzić pierwszego.

- Bardzo panu dziękuję.

- Przecież to właśnie wyłącznie pańska zasługa, że doszliśmy do tych rezultatów. Nikomu ani nawet na myśl nie przyszło podobne podejrzenie. Co pana na nie naprowadziło,

- Pies.

- Co? - nie zrozumiał Gibbs - co pan powiedział?

- Pies - powtórzył Pentham. - Wspaniała suka imieniem Jolly.

Mallone siedział przy stoliku, paląc niezbyt wonne cygaro. Na trzask otwieranych drzwi podniósł ociężale głowę. Minę miał osowiałą.

- Zadowolony pan, pułkowniku? Sir Gordon spaceruje sobie za wszystkie czasy - mruknął bezbarwnym głosem.

Pentham przystanął.

- I jakże tam poszło wczoraj? Raport doznał pewno bardzo gorącego przyjęcia.

- Wręcz przeciwnie. Temperatura była lodowata - brr... - wstrząsnął się na wspomnienie tonu sir Drake'a.

- Nie zazdroszczę panu, inspektorze. I cóż: walczył pan jak lew?

- Robiłem, co mogłem. Jeżeli jednak pańskie teorie wezmą w łeb, jestem skończony.

- Widzi pan, inspektorze, jakie to fatalne skutki pociąga dla przyzwoitego policjanta przebywanie w nieodpowiednim towarzystwie.

Mallone nie podjął jednak żartobliwego tonu. Widać było, że jest zgnębiony.

- Dobrze panu żartować, a ja...

- Pan też za chwilę będzie w dobrym nastroju - Pentham przysunął do stolika krzeselko, siadając na nim okrakiem jak na koniu - niech pan nadstawi uszu. Otóż dokonano ekspertyzy rewolweru Gordona...

- Jeżeli wszystkie pańskie dzisiejsze sensacje należą do tego samego gatunku... - urwał znacząco - bo o tej nowości wiem mniej więcej od tygodnia...

- Zaraz... niech się pan nie żołądkuje. Mam na myśli drugą ekspertyzę, której wyniki stały się wiadome dopiero dzisiaj.

- I co... może się okazało tym razem, że pocisk pasuje raczej do armaty? - zapytał z goryczą. Od chwili rozmowy z sir Drake'iem nie mógł odzyskać równowagi ducha. Że też posłuchał tego całego Penthama i wdał się w nedorzeczną awanturę stawania okoniem wobec zarządzeń Komendy Głównej? To zdarzyło się dopiero po raz pierwszy w ciągu kilkadziesiąt lat służby. Takemu to dobrze - skomentował z niechęcią - wystrychnie starego na dudka i będzie się śmiał w kułak. Kto mu co zrobi?

- Jeszcze lepiej - Pentham podjechał wraz z krzesłem tuż do Mallone'a - okazało się - zniżył głos niemal do szeptu - że z rewolweru Gordona... - wytrzymał efektowną pauzę - w ogóle nie strzelano!

Mallone wyprostował się, wlepiając osłupiały wzrok w twarz Penthama.

- Jak to? - przecież osad spalin prochowych w lufie? Sam zresztą to stwierdziłem.

- Zaraz. To wszystko racja. Osad spalonego prochu był na swoim miejscu, trudno zaprzeczyć. Wyraziłem się przed chwilą niedokładnie. Ma pan słuszość. Z pistoletu sir Gordona strzelano... tylko, że z lufy nie wyszedł ani jeden pocisk od chwili wypuszczenia jej z fabryki...

Mallone przetarł oczy.

- Nie rozumiem? - bąknął.

- Całkiem zwyczajna historia. Po prostu jedyny strzał, jaki z niego oddano, nastąpił z naboju pozbawionego pocisku. Popularnie nabój taki nosi nazwę ślepaka - wyjaśnił.

Mallone zerwał się na równe nogi.

- To... to oczywiście dalszy ciąg pańskich żarcików? - zapytał.

- Wyjątkowo dzisiejsza enuncjacja należy do poważnych - odpowiedział. - Przed chwilą właśnie miałem telefon od inspektora Gibbsa. Kończy raport, który ma przedstawić sir Drake'owi. Wynik ekspertyzy został ostatecznie ustalony i nie ulegnie już żadnym zmianom. Czy pan teraz rozumie, inspektorze, w jakim świetle będzie dziś wyglądało pańskie posunięcie wobec Gordona? - zapytał z naciskiem.

Na policzkach Mallone'a pojawił się słaby rumieniec. Wciąż jednak nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- A ten zastrzelony wilk? Przecież sir Gordon twierdził z całą stanowczością, że go zastrzelił? - wysunął nową wątpliwość.

- Zastrzelony wilk miewa się dobrze. Mieszka tu w pobliżu i w każdej chwili może się zaprezentować panu inspektorowi. Niech pan siada - pociągnął Mallone'a za rękaw, zmuszając go do zajęcia miejsca - opowiem panu co nie co, żeby pan mógł robić dobrą minę przy odbieraniu gratulacji, jakie niewątpliwie na pana spadną z Komendy Głównej. Otóż...

Inspektor otworzył usta i zapomniał ich zamknąć. Wygląd jego znacznie odbiegał od powagi należącej wysokiemu urzędnikowi policyjnemu. Chwilami robił po prostu komiczne wrażenie. Raz po raz sapał, mruczając podnieconym głosem - ależ to niemożliwe... to zupełnie niemożliwe! - Potem znówu milkł, zajmując się przecieraniem okularów, które w końcu włożył w roztargnieniu do którejś kieszeni i nie mógł ich odnaleźć.

Pentham nie opowiadał o wszystkim. Pewne okoliczności musiał jeszcze ukrywać do czasu.

Gdy wreszcie umilkł, Mallone trwał zastygły w bezruchu.

- Tak - westchnął wreszcie z nabożnym podziwem - tu każdy szczegół ma ręce i nogi. Zazębione jedno i drugie, że ani rusz rozerwać łańcucha. A - spojrział błagalnie na Penthama - czy wie pan również, kto na tym łańcuchu zawisnie?

Pentham wyprostował się.

- Wiem - powiedział przez zęby. - To znaczy, jestem niemal pewny. I chyba tylko jakiś cud mógłby mnie odwieść od doprowadzenia do stryczka łajdaka, który z zimną krwią zamordował dwóch ludzi i o mały włos nie spowodował haniebnej śmierci trzeciego.

- I... i kto nim jest?

- Nie, panie inspektorze - głos Penthama brzmiał powagą - jeszcze nie... Zachodzą pewne względy... względy dużej doniosłości, które mi nie pozwalają wymienić nazwiska... Gdybym je nawet wymienił, nie uwierzyłby mi pan... Zresztą niech się pan przygotuje. Dziś jeszcze dokonamy aresztowania zbrodniarza.

- Już dziś?

- Tak. I czynność ta nie będzie należała do przyjemnych. Musi pan być przygotowany na potężny wstrząs.

- Ja... ja zaczynam się domyślać - szepnął - aresztowanie nie będzie dokonane tu, w pałacu?

- Słusznie. Ale na miłość boską, niech pan zachowa domysły dla siebie.

W nocy ściągnięto Penthama z łóżka. Dzwonił Londyn. Słuchał w milczeniu krótkiej relacji. Odwiesiwszy słuchawkę otarł pot z czoła. - Koniec - mruknął, wracając do swojego pokoju.

#### **XXXIV. NIEWZRUSZONY SIR DRAKE DOZNAJE WSTRZĄSU**

Sir Drake wyciągnął serdecznie rękę.

- Cóż triumfatorze? Przychodzisz się z nas pośmiać, a później zażądać złotego wawrzynu od biednego Scotland Yardu, który jeżeli jeszcze istnieje, to tylko dzięki wspaniałomyślności Penthama?

- Niestety - uśmiech Penthama pozbawiony był cienia wesołości - przychodzę po coś całkiem innego...

- O - sir Drake zerknął nieufnie na wypchaną tekę - bomba?

- Tak - potwierdził niewzruszenie Pentham - zgadłeś. I to bomba najgorszego gatunku - zasiadł wygodnie w fotelu, kładąc rękę na biurku naczelnika - musimy trochę pogadać - oświadczył krótko, otwierając skomplikowane zamki teczek.

- Hm... - sir Drake sięgnął po cygaro - pogawędka zapowiada się na czas dłuższy?

- Owszem.

- Przyznaj, stary, przynosisz coś wyjątkowo paskudnego?

Pentham rozłożył ręce.

- Nic na to nie poradzę.

- Trudno - oświadczył Drake z rezygnacją - wyciągaj swoją rewelację. Czy to chodzi o wypadek Woodsona?

- Trafiłeś. Plus wypadek Worceya, plus wypadek Gordona.

- Przecież sir Gordon jeszcze żyje, o ile mi wiadomo?

- No... nie ponosicie w tym specjalnej zasługi - zauważył znacząco Pentham.

Palce sir Drake'a zabębniły po biurku.

- Zaczyna się. Używaj sobie na nas, ile wlezie - zaproponował uprzejmie.

- Nie mam zamiaru znęcać się nad wami. I tak... Zresztą słuchaj. Oto - wydobył plik papierów z teczki z obszernym szkicem na wierzchu - plan topograficzny polowania, w czasie którego został zastrzelony Woodson.

- Tak - Drake spoważniał, nachylając się nad rysunkiem - zamieniam się w słuch.

- Te kółeczka - wyjaśnił Pentham - oznaczają stanowiska myśliwych. Tu gdzie krzyżyk, znaleziono ciało Woodsona. W sąsiedztwie stali: z lewej strony Gordon, po prawej myśliwy, którego tymczasem oznaczmy literą „X”.

- Jak to? - sir Drake podniósł głowę - przecież po prawej stronie miał stanowisko sędziego Thompsona?

- Zgadza się. Miał wyznaczone stanowisko, na którym powinien się znajdować. Znajdował się jednak gdzie indziej.

- Ale wszyscy zbadani świadkowie, zeznali, że...

- Nic podobnego - przerwał Pentham - świadkowie zeznali, że według rozkładu stanowisk z lewej strony Woodsona miał stać sędzia Thompson. Jednak zadymka była tak silna, że nikt nie mógł poznać swego sąsiada. A sędziego Thompsona po prostu zapomnieliście przesłuchać. Masz - podsunął arkusz wypełniony gęsto rzędami drobnego pisma - przeczytaj jego zeznania.

- O - we wzroku jego zamigotało powątpiewanie - komisarz służby śledczej Andreas Simpson? Nie znam takiego...

- Niech cię to ani trochę nie przejmuje. Nie poznasz go również w przyszłości - mruknął obojętnym tonem - zresztą to nieważne. Czytaj dalej.

- Ale, że taki stary wyjadacz jak Thompson dał się nabrać - sir Drake pokiwał z podziwem

głową, zabierając się znów do czytania: „już gdyśmy szli na stanowiska, poproszono mnie, bym zamienił się na miejsce. Moje jako leżące pod osłoną lasu było bardziej zaciszne” - hm... Kto prosił? - przebiegł szybko wzrokiem rzędy pisma, chcąc odwrócić protokół na drugą stronę.

Szybkim ruchem Pentham odebrał mu arkusz.

- Poczekaj. Gdybyś wiedział za dużo przed czasem, mógłbyś się zbyt prędko zestarzeć - mruknął w odpowiedzi na pytające spojrzenie. - Na wszystko przyjdzie kolej. Teraz posłuchaj opinii Królewskiego Towarzystwa Sportu Strzeleckiego:

„Po zapoznaniu się z przedłożonym planem topograficznym i wskazanymi warunkami atmosferycznymi stwierdza się z całą stanowczością, że umyślne trafienie człowieka znajdującego się na stanowisku oznaczonym krzyżykiem przez strzelca stojącego na miejscu oznaczonym literą „a”... - literą „a” oznaczyłem stanowisko Gordona - wyjaśnił - bądź na stanowisku „X” jest absolutnie niemożliwe przy zastosowaniu krótkiej broni palnej”.

- Cóż... wobec wyniku ekspertyzy rusznikarskiej - jest to właściwie zupełnie obojętne...

- Nie - zaprzeczył Pentham. - Nie tak zupełnie obojętne. Bo Woodson został zastrzelony przez strzelca znajdującego się na stanowisku „X”.

- Pomimo opinii Królewskiego Towarzystwa?

- Towarzystwo ma zupełną rację. Trafienie z pistoletu na tę odległość było wykluczone w czasie zadymki. Ale Woodson nie został zastrzelony z rewolweru.

- Hamuj stary! Bierzesz stanowczo za szybkie tempo. Przecież wydobyta z ciała Woodsona kula była pociskiem rewolwerowym. - W głosie Drake’a brzmiało wyraźne niedowierzenie.

- Więc cóż z tego? Nie z każdego jajka podłożonego kurze wykluwa się akurat kurczak. Woodsona zastrzelono z takiej oto broni - naszkicował kilkoma rzutami rysunek - lufa kalibru 6,35 osadzona w normalnej lufie winchestera. Początkowo myślałem, że zastosowano po prostu zwykłą rewolwerową, lufę. W rzeczywistości jednak okazało się, że broń stanowi arcydzieło sztuki rusznikarskiej. Wewnętrzna lufa jest niemal tak samo długa, jak zewnętrzna. Nabój sztucznie dłuższy zawiera niepomniernie większy ładunek prochu niż normalny nabój pistoletowy. Tylko pocisk jest taki sam. Teraz rozumiesz?

Sir Drake oglądał z uwagą szkic.

- Widziałeś tę broń?

- Ja nie. Ale byli tacy, co widzieli i przysłali mi dokładny opis.

Sir Drake zamyślił się głęboko.

- To chyba z tej samej broni zastrzelono Worceya w zamkniętym pokoju?

- Tak. Wróćmy jednak jeszcze do wypadku Woodsona. Dlaczego twierdzą, że został on zastrzelony przez myśliwego znajdującego się na stanowisku po lewej stronie? Odpowiedź na to jest więcej niż prosta. Otwór wlotowy kuli położony jest po lewej stronie. Wprawdzie biegły stwierdził, że Woodson mógł po postrzeleniu okrócić się o 180° zanim upadł. Oczywiście że mógł. Mógł również uczynić tysiące innych rzeczy. Ale w tym sęk, że nie uczynił nic. Upadł tak jak stał. Biegły po prostu dał się zasugerować pozostałymi okolicznościami sprawy, z których wynikało, że strzał powinien być paść z prawej strony.

Sir Drake pomyślał przez chwilę.

- Słusznie. A teraz, jeśli łaska, kto jest mordercą? Zapadło milczenie. Pentham zuł cybuszek fajki.

- Tak - odłożył ją, nagle energicznym ruchem - teraz przyszedł właściwy czas. - Otóż mordercą jest... - wymieniając nazwisko, ściszył głos.

- Co? - Sir Drake zerwał się gwałtownie - Jak powiedziałeś?

Pentham powtórzył.

Sir Drake, odsunawszy krzesło, zaczął biegać nerwowo po gabinecie.

- Absurd! Nonsens! Żeby on? Dlaczego miałby to uczynić? W jakim celu? - Przystanął nad siedzącym nieporuszenie Penthamem. - No, gadaj wreszcie na miłość boską!

- Nie chciałem ci przerywać monologu - odpowiedział flegmatycznie - przede wszystkim uspokój się i siadaj. W ten sposób nie możemy kontynuować rozmowy. A mamy jeszcze kawał roboty do odwalenia, zanim nie wywietrzeje ci ostatni cień wątpliwości z głowy.

Sir Drake zawstydział się swego wybuchu.

- Przepraszam cię, stary. Ale to była rzeczywiście bomba. Mów dalej, co znalazłeś.

Pentham sięgnął po przyniesiony plik dokumentów.

- Dobrze. Rozpatrywać wszystko będziemy we właściwej kolejności. Oto - podał notatkę - odpis z kronik pewnej bardzo szacownej szkoły. Rok 1898. Dwóch studentów nazwiskiem Woodson i Gordon przyłapało ogrodnika noszącego skromne miano Smith na usiłowaniu włamania do kasy szkolnej. Może nawet mieli zamiar puścić go wolno po wymierzeniu ojcowskiej admonicji, jednak w decydującym momencie nadszedł nocny stróż. - Tu podał następny dokument. - Odpis wyroku sądu dla nieletnich dotyczący tego samego nieszczęsnego ogrodnika. Teraz następują udokumentowane etapy jego dalszych kolei życia. Pobyt w zakładzie wychowawczo-poprawczym, gdzie zachowywał się wzorowo, poświęcając się pracy w warsztacie ślusarskim - zamiłowanie zresztą do ślusarki, nawiasem mówiąc, pozostało mu do dziś. Przedterminowe zwolnienie z zakładu. Okres pracy w nieistniejącym już dziś przedsiębiorstwie mechanicznym na West End. Teraz następuje tragedia. Ekspedientka również od dawna nie istniejącej kwiaciarni, panna Wells, popełnia samobójstwo, zostawiając list do narzeczonego, tegoż Smitha. W liście tym wymienione jest nazwisko uwodziciela,

ówczesnego znanego w kołach londyńskich don Juana, mister Woodsona. Śledztwo zostaje umorzone. W jakiś czas później do Woodsona ktoś strzela zza węgła. Sprawcy nie udaje się wykryć. Pewien okres życia naszego Smitha tonie w mroku. Wreszcie widzimy go w Paryżu jako słuchacza Akademii Medycznej. Jakimi drogami toczyło się w międzyczasie jego życie, nie wiadomo. Nagle olśniewający uśmiech losu. Masz tu notatki ze sprawy prowadzonej przez sir Westleya. Na biednego studenta spada skutek śmierci tragicznej nieznanego stryja, który też zapewne nie podejrzewał nawet istnienia niereprezentacyjnego bratanka, zamek w Walii i tytuł. Teraz już wiesz, kim był w późniejszym życiu mały ogrodnik Smith i jakie miał powody, by nienawidzić Woodsona i sir Gordona?

- Tak - sir Drake przesunął ręką po czole - ale jeżeli chodzi o Worceya?

- Przez pewien czas, muszę przyznać, szedłem fałszywym śladem. Worcey w czasie polowania miał przy sobie pistolet 6,35, do którego się nie przyznawał. Grał na zniżkę obu Trustów, tak że był niewątpliwie zainteresowany w śmierci zarówno Woodsona, jak Gordona. Poza tym zachowywał się bardzo podejrzanie. Później jednak zdołałem ustalić, że jego rola w tragedii była dość nikła. Grał na zniżkę Trustów, bo wiedział o nienawiści, jaką do siebie żywili obaj prezesi. Oprócz tego Woodson wygadał się o zamierzonych posunięciach wobec Gordona. Worcey kalkulował sobie zupełnie słusznie, że otwarta wojna może wprawdzie zniszczyć Gordona, ale w pierwszej chwili zachwieje również i Niklem. Umyślnie wyznaczył im stanowiska obok siebie, aby ich rozjątrzyć i przyspieszyć starcie. Nieszczęściem dla niego było to, że widział moment strzału.

- Widział?

- Tak. Wystarczyło jednak kilka słów, by mu zamknąć usta. Morderca wiedział o jego grze na zniżce Stalowego Trustu, wiedział, że ma w kieszeni pistolet, który zabrał, panicznie bojąc się wściekłych wilków. Wiedział, bo sam to bezpośrednio przed polowaniem Worceyowi poradził. Wytłumaczył mu, że kula, która zabiła Woodsona, jest kalibru 6,35. Worcey kiedyś strzelał ze swojego rewolweru, zapominając go z wrodzonego niedbalstwa oczyścić. Nie zdawał sobie oczywiście sprawy, że można ustalić, z jakiego czasu pochodzi nalot spalonego prochu. Mam wrażenie, że jeszcze na polowaniu był moment, gdy Worcey mimo wszystko chciał zakomunikować sędziemu Thompsonowi, jak się ma w rzeczywistości sprawa zabójstwa. W ostatniej chwili zabrakło mu jednak odwagi. Po raz drugi Worcey załamał się, gdy zaczął podejrzewać, że ktoś wie o posiadaniu przez niego pistoletu kalibru 6,35. Wtedy na pewno powiedziałby prawdę. Nie zdążył jednak. Oto szczątki listu znalezionej w kominku Worceya po jego śmierci. Uzupełnienie braków nie należało do łatwych zadań. Liścik brzmi bardzo przyjemnie. Posłuchaj i sam osądź:

„Jeżeli wydasz, zginiemy obaj. Weź z sobą pistolet. Spotkamy się na szosie punktualnie o...”, godziny oczywiście nie dało się ustalić, to zresztą obojętne. „Zniszcz koniecznie list. Wszystko będzie w porządku”.

- Worcey wydobył z ukrycia fatalny pistolet i w momencie, gdy go trzymał, padł strzał. Jedyny błąd w tym wszystkim, że nie trzymał go we właściwy sposób. No i że Scotland Yard wpadł na pomysł dokonania analizy chemicznej nalotu w lufie.

Teraz rozważ sobie zeznania butlera Worceya, który został na skutek rozesłanych przez



Mallone'a listów gończych zatrzymany przez policję w Abbaswille.

Johnson bez najmniejszego skrępowania wymienia nazwisko osoby, od której nosił list do Worceya i która przekupiła go, by rozgniół w pokoju swego pana ampulkę z drażniącym gazem. A niewinny kawał z ampulką zmusił w konsekwencji Worceya do otworzenia okna, umożliwiając w ten sposób zastrzelenie go z zewnątrz.

Pentham uśmiechnął się nijako.

- Pozwoliłem sobie zabrać go do Londynu. Siedzi biedaczek w którymś z pokoi w pełnym rynsztunku bojowym i czeka. Oddał duże usługi w tej sprawie.

- Rozpatrzmy jeszcze punkt wyjścia całej historii: porównaj błyszczące odbitki fotografii z opinią radcy królewskiego Honeswoda i odpowiednim wstępem przeprowadzonego przez nas śledztwa.

Sir Drake studiował w milczeniu fotografię. - Dlaczego ta rana jest tak wielka? - podniósł ociężałym ruchem głowę.

- Właśnie. Jest wielka! Tu tkwi drugi błąd. Kula zahaczyła bokiem o brzeg rogowego guzika i urwała kawałek wduszając go w ranę. Jest rzeczą, absolutnie niemożliwą na podstawie pobieżnych oględzin, dokonanych poza tym w jak najbardziej niesprzyjających warunkach, powziąć podejrzenie, że otwór wlotowy pochodzi od kuli małego kalibru... Rozważ to wszystko sobie w spokoju ducha i poweźmij odpowiednią decyzję. Ja, nie będę ci w tym przeszkadzał.

Zapadła cisza, zakłócona jedynie szelestem przewracanych nerwowymi ruchami papierów.

Miarowo tykał stylowy zegar stojący na gzymsie kominka, odmierzając upływające minuty.

Za oknami powoli szarzało.

Big Ben zaczął uroczyście wybijać godzinę.

Sir Drake ocknął się z zadumy.

- Tak - wyprostował się. Twarz jego postarzała się o kilka lat - tu nie ma nad czym medytować. I pomyśleć, że przez tyle lat współpracowaliśmy z tym człowiekiem. Trudno. Decyzja może być w tym wypadku tylko jedna.

Wyciągnął powoli palec w kierunku dzwonka.

- Ach tak - zatrzymał go w powietrzu. - Kogo chciałbyś zabrać na tę uroczystość? - skrzywił usta w pełnym goryczy grymasie.

- W każdym razie muszą to być ludzie, którym możesz ufać bez najmniejszych zastrzeżeń. Ty sam pójdiesz?

- W tym wypadku nie mam prawa się cofnąć. Mogą zajść nieprzewidziane okoliczności, w których moja obecność będzie konieczna...

- Tak, masz rację - Pentham doskonale zdawał sobie sprawę, jakie okoliczności ma Drake na myśli - o ile to możliwe, chciałbym, byśmy zabrali ze sobą inspektora Mallone'a.

- Przecież Mallone jest w Blackshirre?

- On? - Mallone nie byłby na pewno zachwycony, słysząc ton sir Drake'a - Hm, wprowadzie to posunięcie z sir Gordonem dość mu się udało, podejrzewam jednak...

- W ogóle jeżeli chodzi o Mallone'a chciałbym ci coś zaproponować - przerwał pośpiesznie Pentham. - W tej sprawie zachował się zupełnie lojalnie.

- Chciał cię zamknąć.

- Ba... Więc cóż z tego? Miał do tego pełne prawo na podstawie zebranego materiału. A wierz mi, że materiał był jeszcze niepełny. Ale przez cały czas grał zupełnie fair. Znacznie bardziej fair ode mnie. Poza tym miał kilka całkiem dobrych przebłysków. Jak długo już jest inspektorem?

- On? No, w każdym razie dłużej, niżby należało. Miałem właśnie podpisać wniosek o przeniesienie go na emeryturę...

- Ale podpiszesz inny.

- Jaki?

- Słyszałem, że wakuje stanowisko kierownika archiwum, do którego jest przywiązany stopień nadinspektora.

Sir Drake skrzywił się jak po połknięciu gorzkiej pigułki.

- Więc tam celujesz - zamyślił się - no cóż, jeżeli nalegasz...

- Owszem. Zrobisz mi tym wielką przysługę.

- Wolałbym wprowadzie mianować tresowanego słonia niż jego. Ale jakoś się zrobi.

- Będę miał do ciebie jeszcze jedną prośbę, o tym jednak innym razem. Tymczasem - spojrzął na wskazówki zegara - chyba już czas?

Sir Drake stłumił westchnienie.

- Niestety. Nie wykręcimy się - nacisnął dzwonek.

## XXXV. SPRAWIEDLIWOŚCI STAŁO SIĘ ZADOŚĆ

Radca królewski sir Bramble osunął się znużony na fotel. Ostatnio czuł się jakoś nieswojo. Podświadomy niepokój nie przestawał nurtować go ani na chwilę. Wprawdzie wszystko szło tak gładko, jak tylko można sobie wyobrazić, ale... Miał wrażenie, że otacza go ze wszystkich stron jakaś dusząca atmosfera.

- Przeczulone nerwy, ot co - łyknał uspokajające specyfiki. Nie pomagały jednak.

- Starość - próbował wynaleźć inną przyczynę upadku ducha - człowiek, który przekroczył połowę siódmego krzyżyka, nie może się czuć jak młodzik.

Ale były również i pewne konkretne fakty.

Przed paru dniami butler Phips miał całkiem niewyraźną minę. Radca królewski zbyt dobrze umiał czytać w ludzkich twarzach, by tego nie zauważyć.

I tego samego dnia zamek w drzwiach stalowej szafy, który dotychczas działał bez zarzutu, zaczął się nagle zacinać.

Oczywiście jedno i drugie mogło być bez znaczenia.

Na przykład jakaś drobna kradzież domowa, popełniona przez butlera. Jakieś zwykłe obluźowanie sprężyny w zamku stalowej szafy. Ale mogło też być i inaczej... A wtedy...

Przepaść otwierała się przed oczyma królewskiego radcy.

Bo Phips z całej służby znał najwięcej szczegółów dotyczących życia chlebobdawcy. Cóż z tego, że nie potrafił wycisnąć z nich niczego konkretnego? Ktoś inny, bardziej sprytny, potrafiłby niewątpliwie tego dokonać. Szczególnie jeżeli chodziło o jedno zdarzenie z ostatnich dni i o jedno przyzwyczajenie, które trwało niemal przez całe życie, od czasu, gdy...

A w szafie stalowej spoczywało pudło zbyt wielkie, by się go dało zamknąć w sejfie. Pudło w którym...

Powziął postanowienie. Phipsa trzeba zlikwidować. Ma przecież rodzinę w zapadłej wiosce Yorkshire. Niech sobie jedzie. A jeżeli nie zechce? Znajdą się inne sposoby. Siła wyższa. Pudło wraz ze swą zawartością też spełniło już swoje zadanie. Powinno zniknąć na zawsze.

- Ciekawym - rozmyślał - czy tego Gordona w końcu powieszają?

Od pewnego czasu gazety zamilkły na temat tragedii w Blackshirre. Może źródło sensacji wyschło, a może po prostu zmuszono je do zamilknięcia. Zasięganie informacji na własną rękę było niebezpieczne. A jak na złość nikt nie zaczynał o tym rozmowy z własnej inicjatywy. Trzeba czekać. Potrafił przecież wytrwać kilkadziesiąt lat, więc te kilka czy kilkanaście dni nie grało żadnej roli.

Nagle drgnął, wlepiając wyblakłe oczy w polerowaną taflę drzwi. W sąsiednim pokoju zabrzmiały czyjeś przyciszone głosy. Przecież kategorycznie zabronił wpuszczania kogokolwiek.

- Czyżby? - nadśluchiwał z natężeniem. Znaczenia słów nie potrafił jednak wyłowić. W każdym razie fakt, że w sąsiednim pokoju przebywało kilka osób, był dosyć znamienity. I groźny w tej sytuacji.

Błyskawicznym ruchem odsunął szufladę stolika, przy którym siedział. Coś drobnego jak biały okruch zniknęło pomiędzy ściśniętymi palcami prawej ręki. Znowu zeszywniał w bezruchu. Teraz był przygotowany. Kroki zbliżyły się. Ktoś energicznie zapukał.

W tej samej chwili naciśnięto kłamkę, drzwi otworzyły się gwałtownie.

Radca królewski patrzył nieruchomym wzrokiem na postacie, które zapełniły pokój. Sir Drake. Wystarczyło spojrzeć na jego posępną minę, by wiedzieć, po co przyszedł. Pułkownik Pentham. Nadinspektor Scharke, największy mruk w całym Scotland Yardzie, Inspektor Mallone. Za drzwiami jeszcze ktoś został. W rękach Mallone'a czerniał wielki pistolet. Prawe dłonie pozostałych tkwiły znacząco w kieszeniach płaszczy. Za przeciwnymi drzwiami coś się poruszyło.

- Tak. Komplet. Tylko w jaki sposób do tego doszli? Więc jednak Phips i stalowa szafa. Trzeba było pozbyć się Phipsa zawczasu. Teraz już za późno. No, nie. Na jedną rzecz jeszcze czas. A poza tym może po prostu blefują?

W gardle mu zasychało. I serce...

- Czemu mam przepisać zaszczyt?

Sir Drake jeszcze bardziej spochmurniał.

- Jamesie Tomaszu sir Brambley, aresztuję pana w imieniu prawa - urzędowa formułka została wypowiedziana lodowatym, równym głosem. Wrażliwy słuch radcy królewskiego wyczuł w niej jednak ledwo dostrzegalne drżenie. Poczul coś jakby triumf. Sir Drake był bardziej zdenerwowany w tym momencie niż on sam. - Wszystko co pan powie od tej chwili...

- Przecież nie miałem wtedy rewolweru... - pożółkłe zęby sir Brambleya przycięły wargi o ułamek sekundy za późno. Tego rodzaju wykrzyknik był niemal równoznaczny z przyznaniem się. Nie wyczekał sformułowania zarzutu. Zwiesił głowę.

- Koniec!

Pentham dojrzał wyraz jego twarzy.

- To obojętne, sir - podniósł rękę - bo w tej oto szafie - wskazał ruchem głowy.

- Dobrze. Niczego nie żałuję poza tym, że Gordona pomimo wszystko nie powieszają.

Błyskawicznie podniósł prawą rękę do ust. Pentham rzucił się naprzód. Twardy uchwyt czyichś palców za rękaw powstrzymał go w pół drogi. Obejrzał się przez ramię.

- Co? - warknął groźnie, umilkł jednak na widok zwieszanej nisko głowy sir Drake'a.

- Za późno - szepnął naczelnik Scotland Yardu. - A poza tym - zniżył głos do szeptu - przecież to w tych warunkach najlepsze wyjście.

Po ciele sir Brambleya przebiegło urywane drżenie, po czym znieruchomiał.

- Sprawiedliwości stało się zadość - oświadczył półgłosem sir Drake - miał lekką śmierć. Widocznie jakaś piorunująca trucizna.

- Naturalnie - sarknął Pentham. - Poza wszystkimi innymi umiejętnościami był przecież jednym z najzdolniejszych chemików. Ale takie łagodne przejście na drugą stronę nie stanowi żadnego zadośćuczynienia za przygotowane na zimno morderstwa dwóch ludzi i szatański plan zamordowania trzeciego - dodał z zawziętością.

- Tak - westchnął sir Drake - jednak myśl o prestiżu. Brambley przez tyle lat był radcą sądowym.

- Do licha z waszym prestiżem - odparł gniewnie - wszystko byście... - urwał, machnąwszy ostro ręką - zresztą mniejsza o to. A może w rezultacie masz rację stary - odezwał się po chwili - tylko widzisz, ja mam w oczach śmierć Worceya. I ojciec Flo o mały włos nie popełnił samobójstwa.

- Rozumiem - sir Drake uścisnął mu rękę - ale i ty powinieneś zrozumieć...

W pokoju wszczynął się ruch. Nadinspektor Scharke, raz po raz stukając w widełki aparatu telefonicznego, usiłował się połączyć z Komendą Główną.

Pentham ociężałym krokiem skierował się ku wyjściu. Nie miał tu już nic do roboty. Jego rola była skończona. Zaczęło go ogarniać zmęczenie. W hallu dogonił go zdyszany Mallone.

- Panie pułkowniku - ścisnął mu wylewnie rękę - serdecznie panu dziękuję.

- Za co? - nie zrozumiał w pierwszej chwili, wytrącony nagle z zadumy Pentham.

- No... sir Drake mówił mi już o awansie. Wiem przecież, komu go zawdzięczam.

- Ba - wargi Penthama drgnęły w słabej imitacji uśmiechu - oczywiście sir Drake'owi.

- Toteż jemu podziękowałem... Ale niech mnie pan nie uważa za tak znów głupiego...

- Bynajmniej - zaprzeczył szczerze - to mi nawet przez myśl nie przeszło. Zrobił pan kolosalne postępy od ostatniej naszej rundy w Gordons Hill.

- Dziękuję. Jeżeli jeszcze zechce mi pan pułkownik wyjaśnić pewną, dla mnie niezrozumiałą w całej tej sprawie okoliczność, obiecuję dalszą poprawę.

- Jaką mianowicie okoliczność?

- W jaki sposób sir Brambley zdołał wyciągnąć igłę patefonową ze sztucera, skoro go w ogóle

nie miał w rękach po wypadku?

- Słusznie - pokiwał głowią - pytanie bardzo na miejscu. Otóż historia z tą igłą stanowi fałszywy krok z mojej strony, który o mało nie wyprowadził mnie na manowce. Powinienem zresztą od razu zrozumieć, jak to było ze sztucerem. Otóż igłę znalazłem na niskim pniaku, tuż obok miejsca, gdzie stał Gordon. Na pniaku - powtórzył z naciskiem - Czy panu nic nie mówi ta okoliczność?

- Zaraz - Mallone zastanowił się.

- No? - poddał Pentham - Pniak. Twardy pniak.

- Czyżby... hm... igła wypadła sama, gdy odrzucony sztucer uderzył o drzewo? - głos Mallone'a brzmiał dosyć niepewnie.

- Brawo - Pentham poklepał czerwonego z zadowolenia inspektora po ramieniu. - Tylko tak dalej, a prześcignie pan samego Sherlocka Holmesa...

### **XXXVI. JUTRO POLOWANIE**

- I wówczas, gdy zobaczyłem fotografię rany przed jej oczyszczeniem doszedłem do wniosku, że nikt inny tylko Brambley... - skończył opowiadanie Pentham.

Twarz Flo płonęła podnieceniem, oczy jej błyszczały. Nawet końce pergaminowych uszu sir Gordona zaróżowiły się lekko od napływu krwi.

- Ale skąd - pytała Flo, przysuwając się jeszcze bliżej ze swym krzesłem do męża - skąd wiedziałeś, że to Brambley?

- Zaraz ci to wytłumaczę. Kula wdusiła kawałek guzika do rany, która przez to robiła wrażenie spowodowanej znacznie większym pociskiem, niż to miało miejsce w rzeczywistości. Nikt na podstawie tej rany nie mógł podejrzewać, że powstała od kuli małego kalibru. Brambley jednak musiał wysunąć już na miejscu polowania tego rodzaju hipotezę.

- Musiał? No, Reggi mów na miłość boską, cedzisz tak słówka...

- Zaraz... - Pentham bohatercko przemagał zmęczenie i senność. - Musiał, bo inaczej nikomu by na myśl nie przyszło wydobywać kulę od razu. A wtedy starannie przygotowana historia z wściekłym wilkiem i rewolwerem mogłaby łatwo spalić na panewce.

- A przecież nikt na to nie zwrócił uwagi poza tobą jednym.

- Ba - mruknął sennie - kwestia szczęścia i tyle.

- Nie - zarzuciła mu ramiona na szyję - nie bądź tak obrzydliwie skromny. Jesteś po prostu cudotwórcą!

- Cudotwórcą? - powtórzył, tłumiąc ziewanie - Niech będzie. Widocznie los tak chciał.

- A teraz mój duży chłopiec idzie spać do łóżeczka. Ruszył wolno w kierunku schodów, biorąc Flo pod rękę.

- Wiesz, to jest jednak całkiem przyjemny wynalazek...

- Będiesz spał, biedaku - pogładziła go ruchem pełnym macierzyńskiej pieśczozy po lekko siwiejących włosach. - Nie pozwolę cię budzić jutro przez cały dzień.

- Wspaniale - tym razem nie potrafił powstrzymać już ziewnięcia - O! - nagle przystanął, przesuając ręką po czole - Nic z tego. Jutro musimy wstać najpóźniej o siódmej rano.

Spojrzała na niego z niepokojem.

- Co się stało, kochanie?

- Nic - uśmiechnął się - nic się nie stało. Tylko widzisz, na śmierć zapomniałem, że obiecałem sir Drake'owi nasz przyjazd na polowanie urządzone w jego wiejskiej posiadłości. Właśnie jutro.

- Jakie polowanie? - jeszcze nie rozumiała.

- Zwyczajne polowanie na lisy. I bez wściekłych wilków podobno. Już widzę rudą kitę na twoim ramieniu.

- Mowy nie ma o żadnym polowaniu. Jutro będziesz spał.

- Jutro jedziemy na polowanie - odzyskał niespodziewanie stanowczość. - Aha byłbym zapomniał. Dzwoniłem do Wintera, żeby załadował twoją Beatrycze. Wiem, że nie lubisz w czasie polowań dosiadać nieznanym koni.

- Ależ, Reggi, przecież ty...

- Przecież ja jestem śpiący i zmęczony. To prawda. Ale do jutra rana wyśpię się za wszystkie czasy. Jedziemy na polowanie do sir Drake'a - powtórzył uparcie.

Zmiękła. Tak bardzo lubiła polowania na lisy. A skoro Reggi też tego pragnął...

Pentham przystanął jeszcze raz przed pierwszym stopniem schodów.

- Ojciec też jest oczywiście proszony - odwrócił głowę - Tylko lepiej hm... bez rewolweru...

- Dziękuję ślicznie - sir Gordon odchylił się na oparcie swego krzesła - ale jeżeli chodzi o mnie, mam dosyć wszelkiego rodzaju polowań na dłuższy czas.

## XXXVII. POKŁOSIE YARDLEYA

- Hm - obracał sztywny karton w palcach - jak widzę załatwiają to w bardzo wytworny sposób. Ale żebym miał być tym zachwycony...

Rzeczywiście uczucia, jakiego doznał reporter na widok zaproszenia naczelnika Scotland Yardu, dalekie były od zachwyty.

Nic tylko ten stary dureń Mallone poleciał z językiem do naczelnika i naskarżył, że maczałem palce w blackshirrskiej sprawie pomimo kategorycznego zakazu.

Pentham też dobry sobie. Nie tylko mnie wykiwał i obietnicę diabli wzięli, ale jeszcze wpakował człowieka w taka kabałę.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nawet nad małą wycieczką na kontynent. Ostatecznie wypada od czasu do czasu się przewietrzyć. Porzucił jednak ten zamiar jako nie prowadzący do celu. Nie mógł przecież na stałe zamieszkać we Francji, a Scotland Yard ma dobrą pamięć.

Nie ma co - westchnął z rezygnacją - trzeba iść. W ostateczności odsiedzi się, co potrzeba. Nie będzie to chyba wiele. A w szczęśliwym wypadku może uda się wykręcić jakąś grzywną?

Sir Drake przyjął go nadzwyczaj uprzejmie.

Źle - skonstatował w duchu reporter, siadając trochę nieśmiało na wskazanym fotelu - skoro zaczyna z takimi ceregielami, szkoda marzyć o grzywnie. Może jednak lepiej było machnąć na kontynent zamiast włączyć w paszczę Iwa?

Było już jednak za późno na odwrót.

- Może cygarko? - sir Drake zachęcającym ruchem podsunął pudełko. Yardley nie śmiał odmówić.

- Słyszałem o pańskiej owocnej współpracy w Blackshirre - zaczął sir Drake.

Yardley jęknął w duchu.

- Gdzież tam - zaprzeczył żarliwie - ja tylko...

- Niech pan nie będzie zbyt skromny.

- Kiedy ja naprawdę nic... tylko... Taki, rozumie pan naczelnik, nic nie znaczący pionek. - Skromność reportera płynęła z głębi niespokojnie bijącego serca.

- No - uśmiechnął się sir Drake - my już wiemy, jak to naprawdę było. Pułkownik Pentham opowiadał mi wszystko. Podnosił znaczenie pańskiej współpracy pod niebiosy.

Yardley poruszył się niespokojnie. Ten Pentham musiał też wsadzić swoje trzy grosze.

- Niestety został pan pozbawiony oczekiwanej sensacji. Rozumie pan jednak, że wyższe



względy...

- Rozumiem. Głupstwo - był gotów darować im bez cienia żalu cały swój zawód i rozczarowanie.

- Chcielibyśmy jednak panu wynagrodzić jego trudy i...

- Dziękuję - bąknął bezmyślnie - ja przecież nic... Myśli tłukły się pod czaszką jak spłoszone ptaki.

„Wynagrodzić”. Teraz zaczynają się kpiny, później przyjdzie badanie trzeciego i jakiegoś stopnia, a później... Czuł, jak pot występuje mu na czoło.

- Słyszał pan o sprawie fałszerzy banknotów?

- Słyszałem.

Sprawa należała do największych sensacji stolicy. Któż by o niej nie słyszał? Ale właściwie nikt nie wiedział nic pewnego. Nagle zdrętwiał. Oczywiście podstęp. Zaczyna się badanie.

- To jest chciałem powiedzieć, że nic o niej nie wiem... - zaprzeczył pośpiesznie.

- Czyżby? - zdziwił się szczerze sir Drake.

Ale reporterowi wydało się, że słyszy w jego głosie wyraźne kpiny. Palec sir Drake'a nacisnął dzwonek. Yardley znieruchomiał.

Drzwi otworzyły się bez szelestu. Na progu wyrósł kwadratowy kształt olbrzymiego policjanta. A może to tylko Yardleyowi wydawało się, że jest tak olbrzymi?

- Akta sprawy B. 305 - rozkazał krótko sir Drake. To już zdążyli zaprowadzić moje akta? - zdziwił się pomimo przerażenia reporter. - A może figurują w nich wszystkie grzeszki od Bóg wie ilu lat?

Stuknięcie obcasami i policjant zniknął. Zanim jednak Yardley zdążył odetchnąć, zjawił się z powrotem.

- Oto akta fałszerzy - zwrócił się do reportera sir Drake - Może pan z nich skorzystać dla reportażu. Materiału wystarczy na całą serię. I jeszcze żaden reporter nie miał do nich dostępu.

Yardley milczał, z trudem zbierając rozpierzchłe myśli. Upłynęło jednak trochę czasu zanim przerzucił się od zwątpienia i strachu do najwyższej radości.

- Naprawdę - palce Yardleya miłosnym ruchem gładziły szorstki karton okładki - Naprawdę pan pozwoli, naczelniku? - w głosie drgało niedowierzenie.

- Tak - potwierdził z uśmiechem sir Drake - Cóż mam z panem począć? To będzie coś w rodzaju

odszkodowania za niedotrzymanie przez Penthama umowy. Może to trochę nieformalnie, że oddaję na żer publiczności akta dochodzeń, ale ostatecznie... Śledztwo, zostało już zamknięte, więc...

Yardley już nie słuchał. Ołówek jego pracował gorączkowo.

Ten Pentham to jednak porządny chłop. Co tam Blackshirre! To co miał przed sobą, było warte dziesięć tamtych historii!

W myśli automatycznie już układał tytuły: „Wykrycie bandy fałszerzy”. Garmond. Druk tłusty. Sensacja!

Sensacja rzeczywiście wypadła imponująco. Nazajutrz „Megaphon” bił nakład za nakładem. Konkurenci żółkli z zazdrości.

Yardley uważał za stosowne podziękować Penthamowi za triumf. Pałacyk Penthama robił wrażenie opuszczonego. Dopiero po dłuższym dzwonieniu wyjrzał odźwierny.

- Pana pułkownika nie ma. Wyjechał z panienką...przepraszam chciałem powiedzieć z panią pułkownikową na polowanie.

- Na polowanie? - powtórzył Yardley, nie dowierzając.

- Tak. Dzisiaj o siódmej rano.

Drzwi zatrzasnęły się. Yardley pokręcił głową z niekłamany podziwem.

- Ależ ten człowiek ma zdrowie.

## O AUTORZE

Tadeusz Kostecki urodził się w 26 maja 1905 roku w Białej Podlaskiej. Po ukończeniu studiów prawniczych zaczął pracować w sądzie w Skierniewicach, następnie przeniósł się do Warszawy, gdzie podjął pracę w sądzie grodzkim. Po wybuchu II wojny światowej znalazł się w hitlerowskim obozie jenieckim w Prusach Wschodnich, z którego został wykupiony przez żonę. Wojnę spędził w Warszawie, a po jej zakończeniu przeniósł się do Katowic, gdzie pracował jako adwokat do 1949 r. Następnie ponownie zamieszkał w Warszawie. Tam też zmarł 30 maja 1966 r.

Swoje powieści pisał, używając pseudonimów: Krystyn T. Wand, W.T. Christine, T. Kryswan. Zadebiutował w 1938 r. cyklem książek o tematyce Dzikiego Zachodu (*Żółtodziób, Krwawy szlak pogranicza, Kanion Słonej Rzeki, Czerwony diabeł*). Po ukazaniu się pierwszych książek w recenzjach podkreślano, że „główną zaletą powieści T. Wanda jest ich interesująca, często pełna napięcia dramatycznej treść, oraz zwarta, logicznie skomponowana konstrukcja, o umiejętnym rozłożeniu efektów narracyjnych”.

Również w czasie okupacji niemieckiej pisał powieści (m.in. ciąg dalszy *Żółtodzioba*), niestety ich maszynopisy spłonęły. Kolejne powieści Tadeusza Kosteckiego ukazywały się w latach 1946-

1948 i od 1955 roku.

Nazwano go „klasykiem polskiej literatury sensacyjnej”. W jednej z recenzji zauważono, że autor należy do „najcieńszych z naszych autorów sensacyjnych”, a książka *Zaulek mroków* to „bez wątpienia jest to najlepszy z powojennych «kryminałów» cały czas trzymający czytelnika w napięciu i przynoszący czytającemu w efekcie wszystko, co dobra powieść tego rodzaju dać powinna”.

W powieściach, których akcja toczy się na terenie Anglii (*Waza z epoki Ming* i *Kaliber 6,35*), bohaterem jest płk Reginald Pentham - były oficer Secret Service, który rozwiązuje zagadki, z którymi nie radzi sobie zawodowa policja.

Bohaterem powieści kryminalnych, których akcja rozgrywa się w Polsce, jest Jerzy Kostrzewa - lekarz chirurg, który został oficerem śledczym. W kolejnych powieściach Kostrzewa opuszcza milicję i jest tylko osobą prywatną pomagającą w rozwiązywaniu trudnych spraw.

Kostecki był jednym z najpopularniejszych pisarzy powieści sensacyjnych. Zachowane w zbiorach bibliotecznych egzemplarze jego powieści są najbardziej „zacytane”, co najlepiej świadczy o olbrzymim powodzeniu jego twórczości.